



*Mulligan Steve*

*Ekstaza 05*

*Daj mi głęboką rozkosz*

*Moray poszedł za nią, jak automat. Przyglądał się jej pięknym udom i długim nogom owiniętym czarną jedwabną pończochą, jej pośladkom wypełniającym czarny kombinezon. Czuł, jak bardzo była podniecona, czuł zapach jej ciała. Stanęli przy szafce nocnej. Rose zdjęła bransoletkę, kolie, kolczyki. Na samym końcu zegarek.*

## Rozdział pierwszy

Ciepły podmuch majowego wiatru delikatnie poruszył krzakami wrzосу owijając sukienkę Geraldine dookoła jej zgrabnych nóg. Leżący na trawie chłopak westchnął:

— No więc? Na co czekasz? Geraldine nadał stała nad nim nie mogąc się zdecydować.

Moray bardzo jej się podobał, ale nie zamierzała posuwać się z nim za daleko. Czuła, że jeżeli tylko położy się obok niego, ustąpi i zrobi to, czego on będzie chciał. Geraldine miała zaledwie piętnaście lat, a teraz musiała wybierać pomiędzy swoją zmysłowością, spragnioną pocałunków Moraya, a zdrowym rozsądkiem podpowiadającym jej, żeby nie ruszać się z miejsca. Byli wystarczająco daleko od miasteczka, a samo miejsce wydawało się bezludne. Jak do tej pory, udawało jej się zaspokoić potrzeby chłopaka przy pomocy pieścizot i całusów, jednak od pewnego czasu Moray przebąkiwał coś o wyjeździe do Ameryki i zażądał od niej dowodu miłości. Dlatego też, wiedząc, że chłopak wyjedzie i być może nigdy nie wróci do Szkocji, Geraldine nie chciała go

słuchać. Pragnęła zachować to, co miała najlepszego dla jednego z chłopaków z Forres, dla tego z nich, który ją poślubi. Mimo to, Moray cholernie ją pociągał...

— Moray! Jeżeli się położę obok ciebie, to obiecujesz, że będziesz się grzecznie zachowywał?

— Naturalnie, oczywiście, że tak!

— Ale wczoraj wieczorem wcale nie chciałeś leżeć spokojnie...

— Proszę uprzejmie! Jeśli sobie nie życzysz, możemy wrócić do domu — odburknął młodzieniec i szybkim ruchem stanął na nogach. Nie był wcale wysoki, ale miał smukłą sylwetkę i był raczej dobrze zbudowany. Włosy proste, kruczoczarne, oczy w kolorze ciemnego turkusu nadawały jego ślicznej twarzy wyraz dziewczęcej urody.

Dziewczyny i kobiety z Forres uważały go za bardzo przystojnego.

— Moray, proszę cię, zachowuj się, jak trzeba! Geraldine oparła się rękoma o niego, a on przyciągnął ją do siebie mocno przytulając. Całowali się wariacko, bez wprawy. Geraldine była nadal dziewicą; Moray natomiast, mimo iż był w łóżku z różnymi kobietami, potrafił jedynie wbić się w nie i wściekle ruchać. Ich języki nawet nie brały udziału w pocałunku, Geraldine czuła jak ręce Moraya błakają po całym ciele i obmacują zachłannie. Jego żądza udzieliła się teraz i jej. Położyli się na trawie w cieniu dużego krzaku wrzosu, a ona pozwoliła, ażeby ręce pieściły swobodnie jej nogi i uda, te jednak starała się trzymać dobrze ściśnięte..

— Geraldine, proszę cię, daj się tam dotknąć! — błagał ją Moray usiłując ściągnąć majteczki. Podobała mu się jej przekora, uważał ją za przyzwoitą dziewczynę, ale piękną. Pragnął ją posiadać za wszelką cenę i to mimo faktu, że była najlepszą przyjaciółką jego siostry Mary. Geraldine była dziewczyną o długich włosach w kolorze miedzi, ładnych piersiach i niewiarygodnie długich nogach. Jej skóra była delikatna jak jedwab, a szczególnie podniecająca wewnątrz ud.

— Geraldine, pozwól się dotknąć! Całowali się, jak obłąkani, on chciał za wszelką cenę przedrzeć się przez jej wewnętrzną obronę, która tak silnie trzymała zwarte uda. Geraldine płonęła, ale nadal obliczała, co też jej się opłaca. O seksie nie wiedziała w gruncie rzeczy zbyt wiele, a żeby było śmieszniej, właśnie poprzedniego wieczoru przyłapała swoich rodziców w intymnym momencie. On wrócił z pubu na małym rauszu i w kuchni usiłował dobrać się do żony, ona jednak tego dnia była niedysponowana. Posadził ją więc na stołku, a Geraldine, która o mały włos nie weszła do kuchni, zatrzymała się na progu podglądając rodziców przez szparę pozostawioną pomiędzy drzwiami a framugą. Patrzyła, jak penis ojca, wielki i zgięty w pół, jest poddawany obróbce języka, jak powiększa się, jak twardnieje, coraz bardziej przypominając długą i nabrzmiałą rurkę mięsa znikającą w ustach żony. A później, chrapliwe pojękiwania, stękania, gdy jego żona ssała mu go. Te słowa, tak bezwstydnie podniecające:

— Ssij, dziwko! Mmmmh! Jesteś wielką dziwą, Jennifer! Ssij go, właśnie tak! Jeszcze, jeszcze! Błagam cię, chcę ci się spuścić do ust!

Geraldine gapiała się, jak zaczarowana. Czuła się podle i czuła się winną, ale nijak nie mogła oderwać wzroku. W końcu jej ojciec spuścił się mruczając pod nosem sprośności, jakie pierwszy raz słyszała na własne uszy, gdy tymczasem matka połykała tę gęstą ciecz, którą Geraldine nauczyła się rozpoznawać w trakcie pieszczot z Murayem. W pierwszej chwili poczuła się plugawo, lecz chwilę później pod wpływem obserwacji matki naszyły ją wątpliwości.

— Ty świnię! Jesteś świnią! — krzyknęła matka, patrząc jednak na męża wzrokiem osoby równie winnej, co i on. Tej nocy Geraldine nie mogła zasnąć wyobrażając sobie twardego członka Moraya penetrującego jej usta i siebie samą ssącą go, połykającą fontannę jego namiętności... Morayowi udało się odciągnąć majteczki Geraldine, usiłował teraz wcisnąć palca pomiędzy lekko rudawymi krzaczkami prosto do jej wilgotnej pochwy; ona nadal ścisnęła uda, jednak już nie tak pewnie.

— Moray, kochanie, proszę cię... dogodzę ci tak, jak lubisz... Och! Kochanie! Boli mnie! Za silnie! Ach!!! Moray, kochanie, dlaczego nie chcesz, żebyśmy zrobili to tak, jak zawsze? Krzycząc to, myślała wciąż o tym, żeby wziąć do ust tego śliskiego i twardego penisa, ale... jak mu to zasugerować, żeby nie pomyślał, iż jest zwykłą ladacznicą? Dlaczego nie chciał przejąć inicjatywy w swoje ręce? A może ten sposób kochania był osobliwy dla

dorostych, po prostu ludzi starych? Moray ułożył Geraldine na wznak na trawie, położył się na niej, a ona czuła, jak jego twardy członek wdziera się w nią wcierając się w jej uda. dzielnie trzymała je ściśnięte, gdy Moray z szeroko rozwalonymi nogami leżał na niej i mrużąc rozpinął koszulkę.

— Leż spokojnie, Geraldine, leż spokojnie! Z rozpiętej koszulki wyskoczyły piersi, nabrzmiące, zakończone sutkami, a w nich, niczym goździki, tkwiły brodawki. Moray, wierząc się z penisem pomiędzy udami, instynktownie zaczął ssać jej piersi, gryźć je, a Geraldine poczuła nagle, że płonie. Bezwiednie rozszerzyła uda, kutas znalazł się tuż poniżej wzgórza łonowego.

— Geraldine! Oooch! Geraldine!! — ciężko dyszał Moray, i gdy ona w myślach błagała go, żeby przestał, żeby zaczekał, Moray spuścił się: na nią i na jej białe majteczki. Wiedziała, że na szczęście na tym nie poprzestanie, mało tego: nawet się nie zatrzyma! Ile to już razy trzymała w swoich dłoniach ten delikatny jak aksamit i twardy jak kij do baseballu drąg Moraya? Ile to już razy ten śliski i nieugięty kutas strzelał dwu- lub trzykrotnie, a ona nawet nie poprzestawała w pieszczotach?

— Och, Geraldine! Kochanie! Błagam, cię rozkracz nogi, kochanie! Rozwarła je. Jego zaborcze palce wdarły się pomiędzy wilgotne nogi i prowadziły do przodu wibrującego kutasa. Geraldine poczuła, jak pucułowata żołądź, miękka i spuchnięta, ociera się o jej lekko rozchylone przyrodzenie i wtedy....

— Mooooooray! Geraldineeeee! Gdzie jesteście? Mooooooray! Dochodzący z bliska głos Mary wytrącił ich ze snu. Przeklinając na czym świat stoi, Moray podskoczył do góry naciągając w locie spodnie, gdy w tym samym czasie Géraldine, wyslizgując się spod niego, zapinała drżącymi palcami koszulkę, sprawdzała pomiętą spódnicę.

— Hej! Tu jesteśmy! Czego chcesz, do diabła?!

— krzyknął Moray, wściekły, jak nigdy. Ujrzał Mary. Biegła do nich, sapiąc i ledwo dysząc. Spojrzał na nią spode łba.

— Mo... Moo... Moray! — wydusiła z siebie łapczywie łapiąc powietrze.

— Och, Moray! Och, Géraldine! Ooooch! Była niewielką dziewczyną, brunetką o ciemnej karnacji, z lekko zaokrąglonymi kształtami o ogromnych, inteligentnych, słodkich, ciemnych oczach.

— Och! Moray! Wuj Thomas... napisał... przed chwilą przyniósł go listonosz... bilet... Ooooch! Moray! Jutro jedziesz do Ameryki!!

— Co!? Jutro!? — osłupiał Moray — Jutro!?

— Na wszystkie czarownice z Forres! — zaklęła Géraldine.

— Na Boga! Proszę, pozwólcie mi odetchnąć!

— błagała Mary — Pomyślałam, że gdzieś... gdzieś was znajdę... i o rany! Przyszedł list od wuja Thomasa. Jest tam również bilet lotniczy. Wyjedziesz jutro do Inverness, pociągiem do Glasgow, a stamtąd samolotem do Nowego Jorku!!

— Skąd ten cholerny pośpiech?! — wykrzyknął Moray — Skąd nagle ten cały pośpiech?!  
Od tyłu



miesiące czekamy na jego odpowiedź, a potem, nagle... w ten sposób! — pstryknął palcami niezadowolony, ale jakże podniecony tą nową myślą.

— A więc to już jutro? — smutno rzekła Geraldine Nie wiedziała, czy ma sobie gratulować, że pozostała dziewicą (w Highlands dziewictwo ma swoją wartość) czy też ma płakać, że Mary nie przyszła ciut później, wystarczająco, ażeby...

— Ciocia Abigail chce żebyś zaraz przyszedł do domu — tłumaczyła Mary bratu — Musisz przygotować bagaże i... pójść do sklepu Hazel, żeby coś kupić... nową parę butów czy coś tam innego...

— Dobra, dobra! Nie podniecaj się tylko za bardzo — wyrzucił z siebie Moray. W rzeczywistości, równie jak ona był podniecony podróżą za ocean, a ponadto, w końcu nie będzie płynął, tylko będzie leciał ponad chmurami i... Myśl ta, byc zawieszonym w powietrzu pomiędzy chmurami, była ponad wszystkim, co do tej pory odczuwał; na samą myśl drżały mu kolana. Ruszyli więc do domu, Mary u boku Geraldine, ze wzrokiem pytającym i domyślającym się tego, jak daleko mogli posunąć się jej brat z przyjaciółką, do jakiego punktu on pragnął dojść, a jakiego ona bała się przekroczyć. Oczy Geraldine wyrażały to tak jasno... ulga i żal jednocześnie... Pierwsze domy ich miasteczka, Forres.

Niezbyt wysokie, z kamieni,

0 nisko opadających dachach. Ciotka Abigail stała na progu wypatrując bratanków, podekscytowana

1 podenerwowana. Moray i Mary Braemer Dunnot-tar zostali sierotami w dzieciństwie, a ona sama,

wdowa po Dunnottarze i kuzynka jednej z Braemer, podjęła się ich wychowania. Niestety dla siedemnastoletniego młodzieńca, jak Moray, znalezienie pracy w Forres było praktycznie niemożliwe, a ciotka Abigail nie mogła sobie pozwolić na utrzymywanie ich trójki. Moray nie uchylał się bynajmniej od pracy i zawsze wynajdował różne fuchy, ale co to za przyszłość czekała młodego człowieka w takich warunkach? Abigail napisała więc do swojego brata Thomasa żyjącego w Nowym Jorku; pierwsza odpowiedź brata nie mogła być zadowalająca. Droga Abigail — pisał Thomas — tu, w Nowym Jorku nie jest łatwo o pracę, tak jak kiedyś, gdy ja przybyłem. Ciężko było wówczas, a jeszcze ciężiej jest dzisiaj, zwłaszcza dla takiego młodzieńca, jak Moray. Zobaczą, co uda mi się zrobić, ale niczego nie obiecuję; gdyby był silny, mógłby pracować w rzeźni, tu gdzie i ja, twój brat Thomas, pracuję od przeszło trzydziestu lat. Ale może to nie jest odpowiednia praca dla niego, zarzucić sobie na plecy połówkę zamrożonej krowy, dwadzieścia cztery krowy czy byki przez dziewięć godzin pracy; ale i tak te najważniejsze to te dwie nadgodziny, czyli razem jednaście. Tutaj nadgodziny są dobrze płatne, nie tak jak w Forres, gdzie wprawdzie zaharowujesz się przy wycinaniu drzew, a później idziesz do Aberdeen, gdzie zaharowujesz się z kolei przy obróbce śledzi. Może mógłby pracować jako kelner, coś mu znajdę, jeśli ma tylko ochotę pracować. Gdy coś się trafi, dam znać. Od tej chwili upłynęło sześć miesięcy i dzisiaj nadszedł list, a wraz z nim bilet lotniczy.

Droga Abigail — pisał Thomas — jest miejsce w rzeźni i miejmy nadzieję, że chłopak wytrzyma. Dobrze tam płacą. Przesyłam również bilet lotniczy, spłaci mi go w sześć miesięcy bez żadnych odsetek, może pomieszkać ze mną i z moją żoną Beth, jeśli to porządny chłopak, i to za kilka dolarów.... Geraldine pobiegła do domu, wpraw umawiając się z Morayem na spotkanie wieczorem, tuż za jej domem. Moray, ciotka Abigail i Mary czytali raz za razem tych kilka słów od ich krewnego z Ameryki. Moray nie mógł już usiedzieć spokojnie.

— Skocz do Hazel! — zdecydowała w końcu ciotka Abigail — nie masz porządnych butów, nie masz koszuli, majtki masz tak pocerowane, że wyglądają raczej, jak pajęczyna. Porozmawiaj z nią i poproś o kredyt tak, jak poprzednio, a ja spłacę to wszystko na raty. A ty, mam nadzieję, przyślesz mi trochę grosza, oczywiście dla twojej siostry Mary także... .

— Lecę! — zdążył krzyknąć Moray i pobiegł. Sklep Hazel był w rzeczywistości jedynym sklepem w miasteczku, handlowano w nim wszystkim poza samochodami. Właścicielka, kawał niezłej baby, uwielbiała mężczyzn, a jej głównym faworytem był Moray potrafiący zaspokoić wszelkie żądze i to w sposób nieporównywalny z nikim innym. Moray nie wiedział zbyt wiele o przystawkach, ale na główne danie nadawał się znakomicie i w tym co robił był nie do pokonania, a ona potrafiła to docenić, Hazel wyszła za męża za człowieka starszego od siebie i po zaliczeniu wszystkich młodych

z miasteczka (podobno tych trochę starszych też) stwierdziła, że Moray jest właściwym nabytkiem, stąd zapewne przeświadczenie, że nie odmówiłaby mu udzielenia dalszego kredytu. Moray pobiegł w te pędy do sklepu; Hazel rozkazała pozostać za ladą starszemu już wiekiem sprzedawcy, a sama zaciągnęła młodzieńca do magazynu, nie dała mu nawet możliwości dojścia do głosu i już gwałtownym ruchem przytuliła się do niego wpychając łąpczywie język do ust. Uwielbiała to; Moray, o wiele mniej doświadczony nie potrafił jeszcze tego docenić.

— Zostaw mnie w spokoju, Hazel! Mam dla ciebie wiadomości... wykrztusił z siebie Moray.

— A gdzie je trzymasz, może tutaj? — zamruczała Hazel chwytając za wybrzuszenie na spodniach.

— Nie! Chodzi o wuja Thomasa — wytłumaczył Moray — Píše z Nowego Jorku, przysłał też bilet lotniczy. Jutro wyjeżdżam do Inverness, do Aberdeen dojadę pociągiem i... — Co ty wygadujesz, Moray!? Chcesz powiedzieć, że jutro wyjeżdżasz do Ameryki? — Hazel była kompletnie zaskoczona.

— Tak, właśnie tak! — odpowiedział cały z siebie zadowolony Moray. Jego radość przygasła nieco, gdy ujrzał minę Hazel. Było jej zwyczajnie przykro, on jednak spostrzegł to za późno.

— Niech to szlag trafi! — wkurzyła się Hazel — Wyjeżdżasz, a mnie zostawiasz tu samą?

— Oj! Tymczasem moglibyśmy się tutaj troszkę pokochać; a na przyszłość, kto ci powiedział, że ja zostanę na zawsze w Nowym Jorku?

— Cholera! I to właśnie teraz, gdy chciałam zrobić z tobą coś zupełnie nadzwyczajnego! Moray czekał cierpliwie, aż Hazel się wyżali. Jego koncepcja seksu była prymitywna: wpakować go, a potem wio! Pełną parą do przodu i do tyłu. Jeden raz, dwa, trzy, cztery razy! Byle sił starczyło. Reszta mało go interesowała. Nie lubił czuć w ustach języków kobiecych, tolerował ich ręce na penisie, ale tylko tak długo, a w zasadzie tak niewiele, jak uważał to za niezbędne. Potem, do środka i eja! Nie można powiedzieć, żeby kobietom to się nie podobało. Wiele z nich doceniało wszelkie gry wstępne i różne podchody, ale jeszcze bardziej doceniały kawał niezłej pały, jaką miał Moray, a na pierwszy rzut oka wydawała się ona niewyczerpanym źródłem radości. —Patrz! — krzyknęła Hazel wyciągając ze stosu różnych czasopism pornusa, do którego zdążyła się dostać przed przyjściem Moraya. Gorączkowo zaczęła go kartkować, Moray patrzył na obrazki wzrokiem całkiem obojętnym, jemu ten rodzaj literatury nie podobał się wcale. Po co gapić się na obrazki, kiedy samemu można to robić?

— Popatrz na tę kobietę! Nie wydaje ci się, że jest do mnie podobna? Moray rzucił okiem na zdjęcie z ciekawością. Widniała na nim blondynka pochylona nad stołem; wypinała swój tyłek w stronę napastującego ją mężczyzny. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że penis faceta poruszał się w jej odbycie. Podobieństwo? Może i było, może sprawiły to te wielkie usta, a może białka oczu wywrócone w obłąkańczej przyjemności; a może

włosy przystryżone na krótko? Moray odpowiedział, że i owszem, jakieś podobieństwo między obydwoma kobietami istnieje...

— Chcę, żebyś mi go wpakował do tyłka! — krzyknęła podniecona Hazel — Szybko! Nie traćmy czasu! Jest twardy czy nie?! Fiut Moraya nie był jeszcze twardy, chłopak rozmyślał właśnie o kredycie, którego miała mu udzielić Hazel, lecz gdy zobaczył kobietę podciągającą do góry ubranie, penis, do tej pory spoczywający swobodnie w spodniach, błyskawicznie nabrzmał. Nie pozostało nic innego, jak ściągnąć spodnie: to była najlepsza odpowiedź dla Hazel, która zobaczyła penisa Moraya twardego i nabrzmałego, gotowego do akcji. Moray, nigdy wcześniej nie robił tego, o co poprosiła go Hazel i uważał to za święństwo... ale chodziło tu w końcu o kredyt na buty i ubrania, więc... a ponadto, taki tyłeczek, jak ten, przed którym stał, zachęciłby każdego. Centymetr w tę czy w tamtą nie miało to znaczenia, pomyślał Moray oportunistycznie, wystarczy, żeby była jakaś dziura, w którą można by wsadzić kutasa...

— Moray, masz najpiękniejszego fiuta, jakiego kiedykolwiek widziałam! — krzyknęła Hazel. Moray wyglądał tak, jakby tylko czekał na taki komplement; spojrzał na kutasa. Długi prawie na trzydzieści centymetrów (w końcu mierzył go!), gruby tak bardzo, że z ledwością mieścił się w niektórych szklankach, miękki i śliski jak tylko miękka potrafi być stalowa rura obciągnięta aksamitem. Żołądź, czerwona jak ogień z tendencją do osiągnięcia fioleto

w miarę, jak Moray się podniecał, miał niezłą średnicę i mógłby wystraszyć jakąś dziewicę, ale w rzeczywistości był delikatny i śliski niczym jedwab, zerkał sobie jednym okiem, uśmiechał się zadowolony, prosząc o języki śliskie i miękkie, o wąskie pochwy. Faktycznie, był to ten szczególny rodzaj penisów, który wydaje się bardziej przyciągający, gdy jego właściciel ma twarz kobiecą, przypominającą twarz pazia średniowiecznego, a teraz sterczał sobie pośrodku rzadkich włosów pomiędzy udami twardymi i muskularnymi pozbawionymi owłosienia, jak pozbawiona owłosienia była sama twarz Moraya, zupełnie gładka, niczym twarz kobiety. Słowem, było to podniecające móc patrzeć na tę pałę między udami mężczyzny o ciele młodzieńca.

— Och, Moray! - charczała Hazel, cała napalona chcę go, wsadź mi go do tyłka! Błagam cię! Wsadź go do tyłka! Wyruchaj mi tyłek, kochanie! Chcę to robić tak, jak na tych zdjęciach! Od kiedy je zobaczyłam, płynę jak fontana! Moray nie widział niczego nadzwyczajnego w swoim penisie, ale skoro się podobał, to należało to wykorzystać. Widział, jak Hazel podciągała ubranie i zauważył, że nie nosiła majteczek (mówiła, że nie chce tracić czasu na ich ściąganie). Jej pośladki były wielkie i okrągłe, miękkie i białe. Hazel chwyciła za nie, rozwierając palcami tyle, ile mogła ukazując dziurkę pośrodku ciemnych włosów.

— Chcesz, żebym ci go wpakował do środka, Hazel? Czy on w ogóle wejdzie do środka...? Nie chciałbym zrobić ci krzywdy... Moray myślał o kredycie, ona o kutasie.

— Wejdzie, wejdzie, nie martw się! Wepchnij go do środka, nieważne czy będzie bolało czy nie! Chcę go w tyłku!

— Tak, jak na zdjęciu? — zapytał Moray. Wydawało mu się, że jego kutas ma mniejszą objętość od tego na zdjęciu i nie był pewien, czy ma słuchać Hazel, ale właśnie w tym momencie, Hazel krzyknęła:

— Tak! Dokładnie, jak na zdjęciu! — nadal rozszerzała swoje pośladki zapraszając do środka Moraya. Nie ociągając się dłużej, Moray wsadził żołądź w dziurkę i odczuł tak wielką przyjemność, że pchnął ją z całej siły. Hazel krzyknęła z bólu, Moray natychmiast się zatrzymał.

— Nie! Rozwal mnie! Chcę go mieć w tyłku i chcę, żebyś mi krzyczał świństwa! — darła się Hazel nie przejmując się specjalnie tym, że sprzedawca w sklepie mógłby ją usłyszeć. Moray długo się nie zastanawiał; chwycił Hazel za białe pośladki i wbił się w nią z większą siłą. Dziurka się rozszerzyła, Hazel krzyknęła raz jeszcze:

— Do cholery! Moray, chcę go w środku!

— A ty myślisz, że co ja tu robię?! — wściekł się Moray pchając z całej siły. Żołądź weszła już cała, reszta była już o wiele łatwiejsza. Hazel darła się na cały głos zupełnie jak śmiertelnie ranne zwierzę; klęła, on nie pozostawał jej dłużny.

— Co, dziwko?! Chciałaś go w tyłku? To i go masz! Rozpoczął pompowanie na całego. Tam i z powrotem. Jej twarz była pokryta łzami; patrzyła na obsceniczne zdjęcia w czasopiśmie, jednocześnie



pocierała palcami mokrą i rozwartą szparkę. Wydawało jej się, że kutas Moraya utknał jej w gardle i żłobie w niej bezlitośnie swoją drogę. Mimo bólu, podobało jej się to, odczuwała przyjemność w tej zwierzęcej scenie, w uszach tętniły odgłosy uderzeń ciała o ciało, ból powoli zamieniał się w przyjemność i również Moray czuł się dobrze w tym cienkim i gorącym otworze.

— Uderz mnie, Moray! Bij mnie po pośladkach i po udach! — darła się Hazel — Ciągnij mnie za włosy! Rób tak, jak ci każe, podły świntuchu! Moray nic nie rozumiał z bólu i brutalności sprzęgniętej w całość; wydawało mu się to odpychające. Mimo to, uderzył ją w jeden z pośladków nie przestając rżnięcia.

— Silniej! Zostaw mi ślady! Chcę mieć siniaki! Chcę, żeby ten niedołęga Lennar je widział! Lennar

— był to jej mąż. Moray uznał, że Hazel nie miała prawa tak go ponizać. Potępił ją, poczuł się od niej lepszy, ciosy przyszły mu z większą łatwością. Uderzenia powtarzały się, aż białe ciało Hazel pokryło się czerwonymi plamami, on tymczasem nie przestawał ruchania, zaczynał odczuwać narastającą przyjemność, w tym jakże nowym dla niego doświadczeniu.

— Powiedz mi, że jestem prawdziwą dziwką!

— krzyczała Hazel — Powiedz mi, że jestem dziwką burdelową i że chcesz mi rozwalić tyłek!!

— Uważaj, bo naprawdę to zrobię! — wystękał z siebie Moray, nieźle już napalony. Zaczął ją walić z całą siłą, Hazel krzyczała z bólu i z przyjemności,

Moray bił ją teraz otwartą dłonią po pośladkach i po udach, ciągnął ją za włosy, podobało mu się to, że wbija się w jej wnętrzości i że przewracają w ten sposób. Morayowi tak się to spodobało, że o mały włos nie spuścił się za wcześnie. Uratował go stary sprzedawca, który nadbiegł i stanął na progu z wybałuszonymi oczami, szukając w rozporoku penisa. Wiadomo od dawna, że śmieszne sceny nie idą w parze z przyjemnością tego rodzaju; widok starego świntucha przywołał na dziewczęcej twarzy Moraya uśmiech, opóźniając w ten sposób zbliżający się nieuchronnie orgazm. Udawał więc, że niczego nie widzi, trzymał na wszelki wypadek na oku pomarszczonego starca dzierżącego w dłoni zwiotczałego fiuta. Hazel niczego nie spostrzegła, nada! jęczała, rozdzierana przyjemnością i bólem, zbliżała się coraz szybciej do orgazmu.

— Ooooch, Moray! Rozwalisz mnie! Jesteś podłym tchórzem! Moray, masz największego kutasa! Najbardziej twardego na ziemi! Aaaach, Moray! Ooooch, Moray!

— Jesteś dziwką, która lubi brać go do tyłka! — warczał do niej Moray, waląc ją niemiłosiernie i nie spuszczać oka ze starego sprzedawcy, który całkiem niepotrzebnie usiłował walić konia. Złapał Hazel za włosy, ciągnął je, chwycił ją za uszy, a ona, uwielbiając takie traktowanie, zbliżała się do szczytowania.

— Jesteś tchórzem! Boli mnie to! Gwałcisz mnie! Ooooch, boli mnie to!... Już, już... Teraz! Teraz! Ty podła świniou!!!

— Spuszczę ci się do tyłka!!! — darł się Moray bijąc ją po pośladkach, które zrobiły się fioletowe od uderzeń.

— Ja ci ten twój tyłek rozwalę na pół!

— Aaaach!!! Aaaach!!! Teraz!!! — krzyczała Hazel przygryzając sobie usta, Moray walił ją z każdą chwilą coraz mocniej, ona uderzała kolanami o stół z czasopismami. W ostatniej chwili wyciągnął fiuta na zewnątrz, wytrysk za wytryskiem wylatywał z napiętej do granic ostateczności pały, uderzał Hazel w głowę i w naprężony kark, pokrywał jej plecy białymi pręgami, lądował na zaczerwienionych pośladkach.

— Dziwka! Dziwka! — mruczał zadowolony Moray. Jego kutas wcierał resztki spermy w szparkę, rozcierał biały krem na plecach. Hazel opadła z sił; gdyby nie Moray runęłaby zapewne na podłogę, chwycił ją w ostatniej chwili.

— Aaach! Do wszystkich diabłów! Nigdy w życiu nie było mi tak dobrze, jak dzisiaj, kochanie! Ależ mi dogodziła ta twoja pała...

— Też mi się podobało — westchnął Moray. Kątem oka zauważył znikającego sprzedawcę. Chwilę później, jego zmysł praktyczny wziął górę.

— Hazel, musimy porozmawiać.

— Słuchaj, nie mam już sił — ręką wycierała plecy — Aleś mnie oblał, ty świntuchu! Poprawiała ubranie, szukając na nim mokrych plam. Moray podał jej chusteczkę, żeby wytarła sobie włosy i kark.

— Byłeś cudowny, Moray...

— Hazel, muszę jechać...

— Do cholery! Nie przypominaj mi ciągle o tym. Po jakiego diabła wyjeżdżasz do tej Ameryki? Mógłbyś pracować tu u mnie, jako sprzedawca.

— Wiesz dobrze, że twój mąż by tego nie ścier-piał — warknął Moray. — A ponadto, moja droga, wyjeżdżam do Ameryki zarobić kupę forsy. Chcę wrócić do Forres, jako bogacz. Teraz, niestety, potrzebuję kredytu, Hazel, nie mogę przyjechać do wuja Thomasa do Nowego Jorku ubrany, jak żebrak...

— Okay! — westchnęła zniechęcona Hazel — Powiedz, czego ci potrzeba...

## Rozdział drugi

Marynarka z porządnej wełny, spodnie, koszula, jedna para butów na podwójnej podeszwie, po trzy pary majtek i skarpet. Ciotka Abigail i Mary łakomym wzrokiem patrzyły na nowy dobytek Moraya, a on sam, całkiem tym nie przejęty, żuł w ustach kawałek chleba i ze wzrokiem utkwionym w bilecie lotniczym kolejny raz odczytywał wszystkie napisy, starając się ich nauczyć na pamięć, tak, jakby zależało od tego jego życie. W tym samym czasie, w którym Moray zabawiał się z Hazel, ciotka Abigail dogadywała się z Duffem Murrayem, jadącym do Glasgow, iż podrzuci on Moraya na lotnisko; w ten sposób zaoszczędzi się trochę grosza na kosztach przejazdu autokarem, a później pociągiem. Całkiem niespodziewanie Mary rozkleiła się.

— Och, Moray! Wiesz, aż mi się nie chce wierzyć, że dzisiaj to ostatni wieczór, który spędzamy razem. Kto wie, kiedy cię znowu zobaczymy... Ciotka Abigail, jakby tylko czekała na hasło. Ochoczo przyłączyła się do płaczu. Moray pocieszał je, jak

tylko potrafił. Na szczęście głód wziął górę nad bolączkami. Zaczęto przygotowania do kolacji: haggis nadziewane otrębami i jęczmieniem, na pierwsze danie zupa z dzikich szparagów. Po skończonej uczcie, przy akompaniamencie plotkującej ciotki i siostry, Moray zabrał się do pakowania starej ojczynej walizki, włożył do niej tych kilka rzeczy, które nabył ostatnimi czasy. Chyba gdzieś około dziewiątej przypomniał sobie, że umówił się z Geraldine, która pewnie siedziała teraz za swoim domem z utęsknieniem wyczekując swojego chłopaka. Nie pozostało więc nic innego, jak tylko coś szybko wymyśleć: Ciociu! Lecę pożegnać się z przyjaciółmi! Już go nie było. W Highlands wieczory są chłodne przez okrągły rok, a trzeba przyznać, że maj nie należy do tych najcieplejszych. Moray odnalazł Geraldine skuloną za wielkim krzakiem na skraju pola. Była całkiem zziębnięta, a co gorsza obrażona za spóźnienie. Moray przytulił ją do siebie i całował tak długo, aż poczuł, że dziewczyna odwzajemnia się z tak dobrze mu znanym zapachem. Geraldine tak bardzo pragnęła porozmawiać o nich i o podróży, która miała ich rozdzielić, ale Moray nie był wystarczająco wyżyty po potyczce z Hazel i teraz płonał z żądz. Całował ją. Śmiało obmacywał i pieścił. Odpowiedziała mu z pasją. Zamiast koszulki włożyła na siebie golf podchodzący wysoko pod szyję. Moray wpakował dłonie pod spód, łąpczywie chwycił jej piersi szukając twardych sterczących brodawek. Te małe cycuszki stanowiły zbyt miły

kąsek. Moray rozebrał ją, zaczął je ssać i całować; wykorzystując właściwy moment, wsadził rękę pod spódnicę, pieścił jej uda starając się je rozchylić. Geraldine stawiała coraz mniejszy opór. Gotowała się. W końcu, Moray osiągnął cel; majteczki tkwiły w jego ręku, a pod palcami wyczuł delikatne ciało. Geraldine ustąpiła. Jej uda rozszerzyły się zapraszając do pieścizot spragnionego chłopaka. Chaotycznie ściągał z siebie spodnie i majtki. Chwycił Geraldine i ułożył ją na trawie, samemu kładąc się na niej bez większych ceregieli.

— Moray! Proszę cię! Przestań! Co ty wyprawiasz?! Płakała. Pozostawiła mu jednak pełną swobodę ruchów, on podniecony nawet nie zauważył, że mu się poddaje, że uczestniczy w igraszkach z pełnym oddaniem. Moray chwycił swoją fujare, oparł ją o miękkie włoski na jej ciele i pchnął trochę do przodu.

— Moray! Jest za duży... będzie mnie bolało... Oooch! Moray boli mnie! — Leż spokojnie Geraldine! Leż spokojnie! Wchodzi! Siedzi już... Mmmmmh! Geraldine, kochanie!

— Moray! Proszę cię! To naprawdę mnie boli!

— Rozkracz nogi! Mówię ci: rozkracz je... Mmmmmh! Jest cały w środku! Dobrze o tym wiedziała, że tkwi w niej cały, ten wielki kutas! Moray zaczął ją pompować, Geraldine przygryzała wargi z bólu oczekując na opóźniającą się przyjemność. Moray był napalony, jak nigdy przedtem. Dziewczyna słysząc jego sapanie przeraziła się, że wyjedzie i zostawi ją z niebyłe jakim kłopotem na

głowie. Raptownie, oczekiwanie na przyjemność przemieniło się w strach.

— Och, Moray! Proszę cię! Uważaj, błagam cię uważaj!... Właśnie szczytował. Wyciągnął pałę zalewając jej brzuch morzem spermy.

— Oooch, Moray! Najdroższy.... Miłość i ulga, niezaspokojona żądza, namiętność i rozczarowanie: wszystko w jednym zdaniu. Chwilę później z oddali dobiegły ich uszu głosy przyjaciół szukających Moraya po całym miasteczku: to przecież ich kolega miał następnego dnia wyjechać do Ameryki!

— Moooray! Gdzie się podziałeś? Moooooo-oray! Moorayyyyyyyyy! Wyłaż!! Gdzie jesteś, Mo-rayyyy?! Geraldine z wielkim rozczarowaniem patrzyła, jak Moray wstaje, poprawia ubranie, jak zapina rozporek. Było po wszystkim. Pomógł jej się ubrać, uprzejmie oczyścił ją z resztek suchej trawy. Uprzejmie, ale w pośpiechu. Pocałowali się. Moray przyrzekł, że na pewno do niej napisze od razu po przyjeździe. Lecz w chwili, gdy Geraldine otrzymywała to zapewnienie, zrozumiała, że to nieprawda i że po raz ostatni widzi swojego chłopaka. Nie płakała. Pocałowała go, delikatnie pogłaskała jego twarz. Moray rozpląnął się w nocy, jak cień, idąc w ślad za odgłosem przyjaciół...

Przez całą drogę, Duff Murray, pięćdziesięcio-latek niskiego wzrostu z puciołowatą gębą o niczym innym nie gadał, jak tylko o kobietach, o tym, jakimi są dziwkami, wszystkie, ale w szczególności te z Forres.



— Nigdy nie mają dość kutasa! Chcą go ciągle zmieniać. Mało tego: gotowe są go zamienić nawet na gorszego, byle nie był to kutas własnego męża.... Moray czuł się idiotycznie, ponieważ spośród rozlicznych kobiet z Forres zaliczył również i jego czterdziestopięcioletnią żonę. Ale Duff wcale nie czynił aluzji, on po prostu stwierdzał fakty.

— Weźmy, na przykład, Hazel. Miała więcej facetów, niż cała reszta tych dziwek wzięta razem. Ale nie! Jej nigdy nie jest za wiele, chciałyby ich coraz więcej i więcej... Gdy w końcu dojechali do Glasgow, całkiem ogłupiały Moray wiedział o kobietach, żonach i córkach więcej niż jakikolwiek sprośny umysł i własne doświadczenie mogłyby mu podpowiedzieć. Moray uznał, iż powinien odpłacić się kierowcy za jego grzeczność, a ponieważ Hazel oprócz ubrań wsunęła mu do kieszeni pięć funtów, mógł dzięki temu zaprosić Duffa do baru. Na lotnisku wypili po parę piw. Czuli się trochę nieswojo; ruch pasażerów, samolotów, ciągle powtarzające się komunikaty nadawane przez radio: to nie miało nic wspólnego z rytmem ich małego miasteczka. Do ich uszu dobiegła informacja o samolocie odlatującym do Nowego Jorku; rozstali się płacząc. Moray obiecał, że przyśle Duffowi najpiękniejszą kartkę pocztową z widokiem Manhattanu. W końcu jakimś sposobem zapakowano Moraya wraz z jego walizką do małego błękitnego autokaru, którym przewieziono go pod ogromny samolot: pod Jumbo Jęta. Walizkę musiano mu odebrać niemal siłą w sposób grzeczny, lecz zdecydowany

i teraz, gdy wsiadał do samolotu był cały spocony ze strachu. Jeśli walizka nie doleci do Nowego Jorku razem z nim, to przecież zostanie z jedną parą majtek na sobie?! I co wtedy? Wchodząc po schodkach, odniósł wrażenie, że odczepił się od ziemi: był bardzo zdenerwowany. Wewnątrz samolot był ogromny. W miarę tego, jak kolejka posuwała się do przodu, steward pomagał nowo przybywającym pasażerom znaleźć miejsce. Proszę, niech pan usiądzie tutaj! rzekł steward do Moraya. Ten, nigdy nie będąc określony mianem pana, myślał, że mowa jest o kimś innym i odsunął się na bok. — Proszę pana! Proszę, to miejsce jest wolne! tłumaczyła cierpliwie obsługa. Moray zobaczył dwójkę pasażerów siedzących w rzędzie po prawej stronie, elegancką panią, piękną kobietę o blond włosach zajmującą miejsce od strony okienka; miejsce od strony korytarza zajmował korpulentny pan. Nowi sąsiedzi Moraya powitali go z uśmiechem na twarzy ustępując mu miejsca, by łatwiej mógł zająć swoje i ulokować się dokładnie pomiędzy nimi. Morayowi serce waliło ze strachu, nie mógł przełknąć śliny, jednak nie przeszkodziło mu to zauważyć ładne nogi współpasażerki, która zgrabnie wyeksponowała, a zwłaszcza tę wyższą część ozdobioną parą cieniutkich rajstop. Moray usiadł. Pomyślał, że może skoro ci wszyscy ludzie lecą razem z nim, a nikt nie krzyczy ze strachu, to może nie jest tak źle... Wzdłuż korytarza spacerowała stewardesa, na twarzy przyklejony służbowy

uśmiech, kontrolując, czy wszystko w porządku. Jej spojrzenie spoczęło na Morayu i zdało się, że służbowy uśmiech zmienił się w coś miłszego i cieplejszego.

— Czy wszystko w porządku, proszę pana?

— Ja? Mmmh... myślę, że tak... Oczywiście, że tak... — nie wiedział, co odpowiedzieć Moray. Do cholery! Po czym poznała, że pierwszy raz w życiu leci samolotem?

Odpowiedziała mu zabójczym uśmiechem i oddaliła się miło kołysząc się w biodrach.

Blondyna z prawej strony uśmiechnęła się do niego starając się pocieszyć, facet natomiast poklepał go spoconą dłonią po kolanie.

— Widać, że to pański pierwszy lot — rzekł z wymową, którą Moray ocenił jako obrzydliwą

Siedzi pan na pasach bezpieczeństwa.

— Och, Bill! To nie jest jego wina — musiała interweniować blondynka. Moray siedział cicho okropnie się wstydząc. O co im chodziło z tymi pasami bezpieczeństwa i dlaczego, skoro się znali, zostawili jedno miejsce wolne pomiędzy sobą?

— Odwagi, młody człowieku! Niech pan się trochę podniesie — poprosił Bill i gdy tylko Moray się podniósł, mężczyzna wsadził rękę pod jego pupę wyciągając jedną część pasów. Z drugiej strony platynowa blondynka starała się zrobić to samo.

— Niech pan usiądzie. Trzeba je zapiąć w ten sposób — powiedział Bill pokazując Morayowi, jak to zrobić — No cóż, przepraszam, powinienem był się przedstawić. Nazywam się Bill Murchison, jestem z Newark, a to jest moja żona, Dory....

— Miło mi — przedstawiła się.

— Cała przyjemność po mojej stronie — bąknął Moray — Ja... nazywam się Moray Braemar Dunnottar i pochodzę z Forres w Highlands. Jadę do Nowego Jorku, do mojego wuja Thomasa.

— Na wakacje, czy do pracy? — spytał Bill. Nad siedzeniami zapaliły się czerwone napisy, nakazujące zapiąć pasy bezpieczeństwa i zakazujące palenia papierosów.

— Do pracy! — z dumą powiedział Moray.

— W Szkocji krucho jest z pracą, co? — pytał się Bill — No cóż, w Stanach znajdziesz jej aż nadto, drogi przyjacielu! Bill klepał Moraya po kolanach. Samolot zaczął kołować w kierunku pasa startowego, Moray był coraz bardziej spięty...

— Jeszcze nie startujemy — uśmiechnęła się Dory — Kołujemy w kierunku pasa startowego. Nie powinien pan się wstydzić strachu. A jak ja się bałam przed moim pierwszym lotem!

— A dzisiaj latamy minimum raz w miesiącu — mówił Bill. Handluję maszynami do obróbki, wszystko diabelnie precyzyjne urządzenia. Londyn, Ankara, Istambuł, Rzym, Kair. Myślę, że mamy na koncie więcej godzin lotu niż niejeden pilot z długim stażem pracy w Pan American...

— Ale... Może będzie lepiej, jeśli odstąpię panu czy pani swoje miejsce...

— Nie, nie! Nie trzeba! — z pośpiechem odpowiedział Bill — Ja nienawidzę siedzieć przy oknie, za to moja żona uwielbia. Siedzimy bardzo dobrze.

— Podróżujemy zawsze w ten sposób — mówiła Dory opierając swoje kolano o kolano Moraya. Samolot stanął w wyznaczonym miejscu na pasie startowym i czekał teraz na pozwolenie startu z wieży kontrolnej. Ruszył z miejsca jadąc coraz szybciej i szybciej, aż w końcu wzbił się w powietrze; Moray z wlepionym przed siebie wzrokiem szczykał zębami i poczuł, jak jego własny tyłek odrywa się od matki ziemi. — Niech się pan rozluźni! — po raz kolejny Bill klepnął go po kolanie.

— Jestem całkiem zrelaksowany — wystękał przez zaciśnięte zęby Moray. Kolano Dory silniej napierało na jego nogę, był jednak pewien, że chodzi tu tylko o wymuszoną pozycję. W chwilę później, kapitan powitał gości na pokładzie życząc wszystkim miłego lotu: lot miał być spokojny, pogoda wspaniała, podróż miała przebiegać na wysokości siedmiu tysięcy stóp.

— No, teraz może pan odpiąć pasy, panie Moray! — uprzejmie poinformowała go Dory i sama ruszyła się, by to uczynić. Przypadkiem palce Dory dotknęły jego twarzy, a on poczuł zapach jej perfum.

— Okay! Skoro lecimy, to myślę, że utnę sobie drzemkę! — ogłosił wszem i wobec Bill układając się wygodnie w fotelu.

— Nie chce pan popatrzeć przez okienko, panie Moray? Za chwilę samolot będzie zakręcał. Będzie wspaniały widok wybrzeża Szkocji... Moray miał ochotę powiedzieć, że nie... że absolutnie pod jakimkolwiek warunkiem... ale akurat ręka Dory

spoczęła na jego udzie lekko je ściskając. Uśmiechnęła się zachęcająco. Jak mógłby odmówić takiemu zaproszeniu i to ze strony amerykańskiej kobiety?! Bill zamknął oczy. Równo oddychając zasypiał w fotelu. Może nudziła się sama i nie chciała samotnie patrzeć przez okno? Moray przesunął się trochę w prawą stronę akurat w chwili, gdy samolot przechylił się. Ręka Dory spoczywała swobodnie na jego udzie, może była trochę przesunięta w kierunku łona, w każdym bądź razie odczuł jej obecność. I chyba tylko dzięki temu nie krzyknął ze strachu, gdy ujrzał pod sobą wybrzeże i płaskie bezludne morze, które jeszcze przed chwilą wyglądało, jak ściana, a teraz zniknęło pod srebrnym skrzydłem. Morayowi wydawało się, że jest zawieszony gdzieś pod niebem i utrzymuje się tam tylko dzięki tajemniczej sile, której w każdej chwili może zabraknąć: poczuł serce w gardle. Nawet ręka Dory, pozostawiona na nodze Moraya, nie była w stanie zrekompensować wrażenia zbliżającego się końca. Moray zbladł przeraźliwie. Dory spostrzegła to. Zabrała swoją rękę. Zaczęła rozpytywać go o wiek, o to co będzie robił w Nowym Jorku i o życie, które prowadził do tej pory. Była naprawdę miła, toteż Moray opowiedział jej wszystko o sobie i o swoim życiu w Forres. Gdy zrobiło się ciemno, Moray czuł się w jej towarzystwie znakomicie. Jednak przeszkadzały mu nadal pewne jej gesty, zbyt poufałe jego zdaniem: a to ręka przypadkowo spoczywająca po wewnętrznej stronie jego uda, czy to fakt, że Dory w ogóle nie zwraca uwagi na to, że jej spódnica odsłania zbyt duże fragmenty ciała, włącznie z tym kawałkiem nie przysłoniętym przez pas do

pończoch. W czasie podróży z Forres do Glasgow dowiedział się od Duffa o obyczajach amerykańskich kobiet. Zdaniem Duffa, chętnie nawiązują one kontakt, który na pierwszy rzut oka wydaje się poufałością, ale spróbuj, bracie, nadużyć ich zaufania, natychmiast się obrażą; Moray nie chciał tracić przyjaźni Dory w tak banalny sposób, nie potrafił jednak powstrzymać własnego członka od podniecenia: wypychał jego spodnie dość ewidentnie! Bill zbudził się wieczorem. W chwilę później, podeszła stewardesa, ażeby z pomocą stewarda podać ciepłą zupę. Było to jedzenie bardzo odmienne od tego, które jadał co dzień. Lecz chętnie skosztował, podobnie jak spróbował amerykańskiej whisky (postawił ją Bill), zwanej Bourbonem —jak mu to wytłumaczyła Dory. Stewardessa zbierająca brudne naczynia zapytała, czy Morayowi dobrze się podróżuje, odpowiedział, że i owszem. I gdy zachwycony patrzył w oczy blondynki, jej wzrok skrzyżował się z oczyma Dory; panie popatrzyły na siebie. Z ponurą miną blondynka odeszła, ostentacyjnie kołysząc się w biodrach. Później wyświetlano kolorowy film i to nie jakieś starocie: nowość ze znanymi aktorami! Dla Moraya było to wspaniałe przeżycie, bowiem w Forres istniało jedynie małe kino otwierane tylko w lecie. W końcu, chrząknięciem i delikatnym uderzeniem, Bill dał mu znać, że czas odcedzić kartofelki na noc. Poszli więc do toalety, sikali razem śmiejąc się jak dzieci

i uważając, ażeby nie narobić gdzieś z boku. Moray był chyba trochę pijany, w każdym bądź razie czuł się euforycznie. Gdy wrócili na miejsca, przyszła kolej na Dory, która opuściła ich na parę chwil i wróciła pachnąc perfumowanym mydłem. Przechodząc obok męża, pochyliła się, żeby go pocałować w policzek; jej ręka spoczęła na łonie Moraya. Jego kutas natychmiast zrobił się twardy. Zostawiając rękę tam, gdzie była, rzekła cicho: Dobrej nocy, Moray; poczuła w dłoni efekt swoich zabiegów. Zgrabnym ruchem wślizgnęła się pomiędzy panów i usiadła na miejscu. Wielki samolot spał. Gdziekolwiek słychać było przyciszone odgłosy rozmów. Obsługa roznosiła lekkie koce. Dory poprosiła o jeden, przykryła nim siebie, nakryła również Moraya. On z kolei ciągle się miotał nie wiedząc, co

o tym sądzić. Czekał na rozwój wypadków. W końcu, gdyby któraś z kobiet w Forres tak się zachowywała, jak Dory, pomyślałby, że jest to przyzwolenie. A może Duff się pomylił? Upewnił się co do tego już w chwilę później. Ręka Dory trzymała go za wybrzuszenie na spodniach, które nie zmałało od kiedy wróciła z toalety. Moray spojrzał na Billa: leżał, miał lekko rozchylone usta, jak ktoś, kto śpi mocnym snem. Odwrócił się więc w kierunku Dory. Ona również miała zamknięte oczy, jej głowa spoczywała na oparciu fotela. Można by pomyśleć, że śpi, ale jej ręka nie: pracowała pod kocem, dzierżyła w dłoni kutasa Moraya. Nie! Nie można się było pomylić. A może ona naprawdę zasnęła i śni, że koło niej siedzi mąż? Moray był podniecony,



ale nadal przerażony całą sceną. Jeżeli Dory jeszcze chwilę będzie tak się zachowywać, to jak nic, on zaraz popłynie i obleje własne spodnie: wszystko to wydawało mu się niezwykle podniecające. Po korytarzu cichuteńko chodziła stewardesa, jej oczy odnalazły błądzący w próżni wzrok Moraya, spostrzegły dłoń Dory. Przez zaciśnięte usta wydała z siebie suche: dobranoc, skierowane do Moraya, który nawet jej nie zauważył. Przygaszono niebieskie światła. Zdawało się, że samolot zmarł, nie było słyhać żadnych ludzkich głosów. Ręka Dory nadal wiosłowała.... Moray zdobył się w końcu na odwagę, swoją lewą rękę włożył pod koc, zwinnym ruchem rozpiął zamek błyskawiczny nowych spodni, które dostał w prezencie od Hazel, gdy natknął się na palce Dory. Zaciśnęły się w miłym dla ciała splocie. Wiedział, że może działać. Kutas wyskoczył ze spodni, twardy i śliski: Dory chwyciła go, zaczęła wolno pieścić. Moray był bliski śmierci: nie oczekiwał aż tak wielkiej przyjemności. Śmierć szybko nadeszła, pokrywając dłoń Dory białym kremem. Ona nawet się nie zatrzymała, jakby przeczuwając, że Moray byłby nie usatysfakcjonowany. Pieściła go nadal. Jemu zdawało się, że znajduje się w ogrodach miłości. Spojrzał w stronę Billa. Facet smacznie spał, niczego nie podejrzewając, a on poczuł się winny, ale tylko przez chwilę, ponieważ w chwilę później, został porwany przez ogarniające go fale dzikiej przyjemności, jaką dawała mu dłoń zaciśnięta na fiucie. Dory tak ułożyła dłoń, że mogła spokojnie wykonywać swoje ruchy idealnie utrzy-

mując stały rytm, spokojny rytm, ale jakże chciwy. Tak Moray to sobie wyobrażał i to właśnie sprawiało mu największą przyjemność... Bill wydając z siebie senny pomruk przekręcił się w fotelu w kierunku Moraya. Moray zastygł sparaliżowany strachem. Ręka Dory nie przestała nawet w momencie, gdy położył swoją dłoń na kocu, by uprzedzić ją przed niebezpieczeństwem czyhającym ze strony męża. Mało tego. Ten gest spowodował, że Moray podniecił się jeszcze bardziej, mimo iż Bill mógł obudzić się w każdej chwili i spostrzec, co się dzieje. Palce Dory ścisnęły, głaskały, waliły, ślizgały się po wielkiej i twardej pale Moraya. Poczuł, że za chwilę znowu się spuści. Nigdy w Forres nie spotkał kobiety czy dziewczyny, która by potrafiła w tak doświadczony sposób walić konia jakiemuś mężczyźnie. Owszem, robiły to, ale podobnie jak właściciel tylko tak, by działał należycie. Zresztą Moray zawsze myślał podobnie i nigdy mu się to specjalnie nie podobało. No może, pierwszymi razy, gdy kochał się z Geraldine. Teraz miał uczucie, że trudno sobie wyobrazić coś równie ekscytującego, zwłaszcza że Dory była jedną z najpiękniejszych i najbardziej wyrafinowanych kobiet, jakie kiedykolwiek spotkał. Może sprawiły to włosy jej cipki o takim samym kolorze, jak te na głowie. Może byłoby czymś bardzo podniecającym móc zatopić członka w jej mokrej pochwie, ale na razie Moray nie pragnął innych pieszczot ponad te, których doznawał.... Popatrzył na twarz Dory: oblizywała sobie usta, jak miała to w zwyczaju czynić Hazel

w momentach największej przyjemności. Możliwe, żeby było jej aż tak dobrze? Później zauważył jakieś ruchy pod kocem, ale inne niż te, które wykonywała lewa ręka, którą Dory masturbowała go i zrozumiał wtedy, że jednocześnie starała się sobie dogodzić. Tak go to podnieciło, że natychmiast się spuścił. Patrzył, jak Dory przygryza wargę. Czuł, jak jej ręka rusza się szybciej i szybciej na jego członku strzelającym spermą. Chciał jej powiedzieć: jeśli ci się podoba, to proszę! Dalej! I tak mój fiut wytrzyma, dwa razy to dla niego zwykła błahostka, zwłaszcza z tak piękną kobietą, jak ty. Nie miał jednak odwagi szepnąć nawet słówka i nie chodziło wcale o bliskość męża, a raczej o to, że nie miałyby odwagi kierować nią, mówić jej: zrób to czy tamto. Może to i absurdalne, ale bał się, że Dory obudzi się z jakiegoś snu i że cała przyjemność zniknie tak, jak znika bańka mydlana po dotknięciu jej ręką. Porozumiewali się ciałem i ten kontakt wystarczał. Dory zdawała się doskonale rozumieć ten język, ponieważ nie przestała pieścić go nawet teraz. Druga ręka mocno pracowała pod kocem. Moray widział jej uda, były rozwarte, pełne, spróbował wyobrazić sobie różową szparę i... jego kutas stanął twardo niczym stalowy pręt, gdy tymczasem Moray czuł, jak sperma spływa pomiędzy palcami Dory. Bill znowu zamruczał. Moray stężał. Przez sen gruby Amerykanin wyciągnął dłoń, kładąc ją na biodrach chłopaka. Najważniejsze, żeby się nie zbudził i nie usłyszał, jak Dory wzdycha z rozkoszy. Podniecony na myśl o tym, co kobieta wyprawia pod kocem,

pragnął odsunąć ten koc, zobaczyć jej wspaniałe uda, odchylone majteczki, a może...? A może Dory zdjęła majteczki w toalecie? Kciuk Dory trzymał pałę Moraya. Wyglądało na to, że ona sama obsunie się na ciało Moraya tak, jakby usiłowała się o niego oprzeć. Był to ruch, jakby we śnie. Leżała na Morayu i zdawało się, że spada coraz niżej. Instyktownie chciał ją przytrzymać ręką, ale było już za późno. Zgięta w pół, z rozrzuconymi włosami na kocu, spoczywała dokładnie na jego łonie i zdałoby się, że ogarnął ją sen, gdyby nie to, iż jednocześnie jej dłoń umiejętnie głaskała twardego członka młodego Szkota. Moray nie miał zbyt wiele czasu na zastanawianie się nad tym. Prawa ręka Dory zsunęła koc. Jej usta wchłonęły większą część jego fiuta, Moray miał wrażenie, jakby został porażony prądem! Było to jego pierwsze doświadczenie: ani on, ani jego kobiety nigdy nie miały czasu na podobne wybryki. Miał wrażenie, że został pochłonięty przez coś niezmiernie ciepłego i bardzo mokrego, niechcący głośno westchnął. Jednocześnie poczuł, jak inna ręka zaciska się u nasady członka i, gdy Dory obciągała go, ręka rozpoczęła szalone wiosłowanie. Te dwa, tak odmienne źródła przyjemności spowodowały, że eksplodował po raz trzeci. Spuścił się prosto do ust Dory i dopiero po kilku chwilach, długich, jak całe lata, zdał sobie sprawę, że ta druga ręka, która waliła mu konia, to była ręka Billa!

## Rozdział trzeci

— W Stanach znajdziesz całe mnóstwo takich bezpruderyjnych par, jak nas dwoje — tłumaczył Bill Morayowi — żadnej zazdrości, całkowita swoboda i obustronna wolność. Dlaczego nie miałbym pozwolić Dory, ażeby ci go obciągnęła, jeśli tylko na to miała ochotę? Łapiesz?

— Och, tak! Myślę, że tak! — szybko odpowiedział Moray, mimo iż nadal miał spore wątpliwości. Samolot leciał zawieszony w ciemnościach. Większość świateł była zgaszona i chyba tylko oni szeptali siedząc w swoich fotelach.

— Ażeby być całkowicie pewnym tego, co wydawało się, że robicie — ciągnął dalej Bill — wziąłem twojego kutasa do ręki. Czułem, kiedy się spuszczałeś do buzi Dory. Podobało ci się?

— Bardzo — potwierdził Moray. Zerknął na Dory, która usiadła z powrotem na fotelu i paliła w zupełnej ciszy długiego, cienkiego papierosa. Uśmiechnęła się do niego, Moray poczuł, jak coś się w nim zaczyna ruszać. Pierwszy raz przytrafiło mu się spuścić do ust kobiety, ale... tak naprawdę, to

miał ochotę po prostu ją zerznąć, tę platynową blondynę, poczuć, jak kutas wbija się w jej gorące wnętrze, zadowolić ją w taki sposób, jaki najbardziej lubił.

— Chciałbyś ją wyruchać, prawda? — szepnął mu na ucho Bill całkiem, jakby mu czytał w myślach. — Myślę, że byłoby to jednak trochę krepujące, tutaj na tych fotelach. Mogłaby przejść stewardesa, rozumiesz?

— Chcesz kochanie, żebym ci go trochę possała? — szeptała cicho Dory zbliżając swoją twarz do buzi Moraya — Czy chcesz, ażebym się nim trochę pobawiła, a potem wzięła go do ust, gdy Bill będzie na nas patrzył?

— Do cholery, Dory! Chłopak miał już trzy orgazmy — sprzeciwił się Bill. — Ale za to jaja to ma jak byk! — odparła Dory — No to co, Moray kochanie, masz jeszcze ochotę?

— Ja... ja nawet bym chciał, pani Dory — odrzekł Moray czując, jak jaja zaczynają się gotować i jak jego kutas ponownie odżywa.

— Chciałabym trochę ci go possać, a potem na nim usiąść — szeptała Dory. Nie patrzyła na Moraya, zerkając tymczasem na Billa, jakby szukając aprobaty ze strony męża. Bill miał dziwną minę.

— Nie powinniśmy przyciągać uwagi, skarbie. Obsługa mogłaby narobić niezłego rabanu...

— O tej godzinie nie chodzą już, bądź spokojny. A zresztą, co też by zobaczyli? Mnie siedzącą na kolanach chłopaka. Nic ponadto. A zresztą nic mnie to nie obchodzi, niech sobie myślą, co chcą...

— A ja miałbym siedzieć i gapić się? — zapytał Bill śliniąc sobie usta.

— Mógłbyś wziąć udział, moim zdaniem — odrzekła Dory. Obydwoje popatrzyli na siebie, jak starzy gracze w karty, którzy dobrze się znają od lat. Moray zastanawiał się, w jaki sposób taki korpulentny facet, jak Bill mógłby uczestniczyć w igraszkach. Może biorąc go do ręki i trzymając go, gdy tymczasem Dory będzie go ssała? To już w końcu robił, Moray zorientował się, gdy było po wszystkim, ale teraz, myśl ta denerwowała go. Jednak na razie nic nie powiedział. Za niego mówił jego kutas, znów nabrzmiały i śmiesznie wystający ze spodni.

— Jesteś prawdziwym smakołykiem — westchnęła Dory gasząc papierosa w popielniczkę — twój kutas wygląda, jak rzeźba z mięśni... .

— W niektórych środowiskach mógłbyś zrobić majątek — dodał od siebie Bill, który nie mógł oderwać wzroku od członka chłopca. Moray nie zrozumiał, ale i tak mu na tym nie zależało. W tej chwili wiedział tylko, że za chwilę Dory podniesie do góry swoje ubranie, zdejmie majteczki (oczywiście, o ile nie zrobiła tego wcześniej w łazience) i że powoli usiądzie na nim, wbije się na członka... Kutas stał, jak posąg. Dory ujęła dłonią żołądek, później wzięła do ręki całego fiuta.

— Podoba ci się? — szetała Dory Morayowi, który nie był w stanie mówić. Skinął głową na znak aprobaty.

— Chciałbyś mnie wyruchać? — pytała dalej Dory. Moray nadal się godził.

— Jesteś prawdziwym świntuchem, wiesz o tym? — szepnęła mu Dory spoglądając porozumiewawczo na męża.

— Jesteś świntuchem, ale podobasz mi się... A ponadto, masz wspaniałego kutasa... Poczekaj chwilę, trochę go spróbuję... Podoba ci się mój języczek? — tym razem Moray zdobył się na westchnienie. Czuł się niewiarygodnie na samą myśl

o tym, że ten język znowu go weźmie w obroty i że będzie go ssała tak, jak poprzednio!

— Tak! Weź go do ust — powiedział Bill i Moray drżąc z podniecenia pomyślał, że nawet gdyby Bill trzymał jego kutasa podczas, gdy jego urocza żona będzie go ssała, to i tak nie ma to znaczenia. Ale Bill nawet nie drgnął, gdy głowa Dory schyliła się ku łonu młodzieńca. To jej ręka, a nie ręka Billa, chwyciła jego kutasa u nasady. To jej usta całowały żołądź, to jej język zbierał biały płyn wypływający z fiuta i, w końcu, to jej usta zamykały się, gorące

i wilgotne od śliny, na smacznym kąsku. Moray poczuł, jak przeszywa go prąd. Jego młode ciało drżało poruszane falą namiętności. Ta chwila trwała jednak krótko i Dory przestała. Patrzył na nią, jak podnosi ubranie; jej białe ciało wydusiło z niego westchnienie, zbliżała się słodka chwila tak długo oczekiwana. Przytrzymując ubranie obydwoma rękami podniosła się z fotela i przesunęła się tak, by znaleźć się nad chłopcem. Pozwoliła, by chwycił ją w pasie, podczas gdy sama opuszczała się powoli, aż łono napotkało wystającego kutasa. Teraz przyszła kolej na nią. Przeszywana namiętnością westchnęła.



Ubranie opadło, przykrywając rozgrywającą się scenę jej ręce nadal trzymały fiuta kierując go tam, gdzieobydwoje tego chcieli. Kręcąc biodrami opuszczała się coraz niżej. Jej pupa dotknęła ud Moraya^ W tym samym momencie chłopak poczuł, jak żołądź dotyka najmniejszej części ciała: zrozumiał, że posiadał całe wnętrze Dory. Emocje i przyjemność były tak wielkie, że o mało nie spuścił się w tej samej chwili, zaprzeczając swojej sławie i niepotrzebnie frustrując Dory. Na szczęście Dory zwróciła się do

- Twoja kolej... To zdanie absolutnie zablokowało orgazm Moraya. Co to miało znaczyć? Co robi Bill? Bill podniósł się, rozejrzał dookoła siebie podejrzliwym wzrokiem i widocznie uspokojony ciszą panującą w samolocie, wcisnął się pomiędzy nich a fotel, schylił się i Moray zobaczył, jak Dory rozchyła nogi by zrobić mężów, jak najwięcej miejsca. Pozycja ta spowodowała, że Bill musiał podciągnąć nogi żony do góry. Jego twarz zanurkowała w jej ciało. Moray poczuł męski język buszujący po jego jądrach i po tej malutenkiej części jego fiuta, której nie udało mu się wbic w wilgotne i ciepłe ciało Dory!

— O tak, kochanie! Liź nas! Liź nas oboje! Liź jego kutasa i moją cipę! Patrz, jak Moray rźnie mnie - szeptała Dory. Moraya nic nie obchodził język Billa, ale wyobrażając sobie jak liże cipę żony, poczuł straszną chuć, spróbował poruszać się w wąskiej pochwie Dory. Ponieważ Dory była ciężka, ręce musiał włożyć pod jej ubranie, chwycił ją za

pośladki i podniósł. Podnosił i opuszczał jej ciało bez większego wysiłku, za każdym razem podnosił ją coraz wyżej tak, by kutas mógł przechodzić przez całą długość cipy. — Och, Moary! Jesteś taki silny! Mmmmh! Rznij mnie, kochanie! Pomiedzy kolanami Moray czuł głowę Billa, czuł, jak jego język liże kutasa i cipę. Gryzł wargi z wysiłku, żeby się nie spuścić. Ręce Billa, wielkie jak bochny chleba, chwytaly raz po raz uda Dory i nogi Moraya, ścisakały je, pompowały, obmacywały. Moray nie przestawał. Starał wbić się jak najgłębiej. Miał wrażenie, że odbija się od jej żołądka. Bill, tkwiąc w miejscu zbyt małym jak na niego, dmuchał, mrucał, lizał i ślinał kawałek kutasa chłopaka i cipę żony, ale Moray odniósł wrażenie jakiegoś nowego, dodatkowego ruchu. Zerknął i zobaczył prawą rękę Billa poruszającą się z dużą prędkością. No tak! Facet lizał, a jednocześnie masturbował się, drugą natomiast obmacywał uda żony i Moraya. Cała rzecz trwała jeszcze krótką chwilę (przynajmniej dla Moraya). Jako pierwsza orgazm osiągnęła Dory. Oznajmiła go długim przeciągłym cichym wyciem, tuż po niej przyszła kolej na Moraya, który nie zdążył wyskoczyć na zewnątrz tak, jak nauczyły go dziewczyny i kobiety w Forres. jego mleko zalało wnętrze Dory. Na samym końcu spuścił się Bill. Ciężkim mruzeniem oznajmił to wszem i wobec. Kilku innych pasażerów, o czujnym śnie, zaczęło protestować. Na szczęście wzięli to za czyjś sen. Chwilę później samolot ponownie ogarnęła cisza. I tuż po

tym, jak Dory zsiadła z Moraya i zajęła swoje miejsce, cichuteńko nadeszła lekko rozdrażniona stewardesa. Zobaczyła już tylko Billa bezradnie walczącego z systemem rozkładania fotela. Moray i Dory leżeli z zamkniętymi oczyma na swoich fotelach. Stewardesa z widoczną wściekłością pomogła Billowi, potem odeszła. Usłyszeli jak pod nosem mówi do siebie:

— Cholerne pieprzone skurwysyny! Wielki samolot wziął zakręt i tuż za skrzydłem pojawiła się Statua Wolności, niedawno odrestaurowana. Dory trzymając jedną rękę na udzie Moraya tłumaczyła, że została ona podarowana Amerykanom przez Francuzów itd. Moray, walcząc z lękiem wysokości i przyjemnością, którą wywoływała w nim ręka Dory, nie odpowiedział. Chwilę wcześniej wymienili adresy. Bill zapewnił Moraya, że w razie potrzeby znajdzie mu dobrą pracę w Newark, oczywiście jeśli nie uda się Morayowi znaleźć czegoś ciekawego w Nowym Jorku. Gdy podwozie dotknęło lotniska Moray odetchnął z ulgą, ale jednocześnie zrobiło mu się przykro, że straci Dory z jej dziwnymi seksualnymi obyczajami i jej kobiecym wdziękiem. Była jego pierwszą kobietą, wykwinną, elegancką, seksowną, podniecającą i wyzwoloną, czyż ona i jej mąż nie zabawiali się z całkiem obcą dla nich osobą? Gdyby go widzieli jego przyjaciele z Forres! Samolot kołował do właściwego terminalu. Wszyscy pasażerowie, z bagażami podręcznymi w ręku, stali w kolejce do wyjścia z samolotu. Bill i Dory ciągle wyglądali przez okienka. Byli dziwnie zdenerwowani.

Moray czuł się rozbity, podniecony i śmieszny w ubraniu pogniecionym na skutek podróży. Ciągłe nie otwierano drzwi. Musiało to być czymś niezwykłym. Moray poznał to po protestach amerykańskich pasażerów i dziwnym podenerwowaniu Billa i Dory. Jeśli chodzi o niego, to mało go interesowało opóźnienie, chociaż nie mógł się doczekać chwili, gdy będzie mógł stąpać po ziemi obiecanej. Uzgodnienia z wujem Thomasem były takie, że na lotnisko wyjedzie po niego kuzynka Ruth; dlatego też nie było powodu do zmartwienia. Oczekiwanie przedłużyło się do kwadransa. W końcu drzwi otworzyły się, ale tylko po to, żeby przepuścić czterech facetów wielkich, jak szafy. Wskoczyli do samolotu ruchem zdecydowanym, dwóch od dziobu i dwóch od tyłu. Przesuwali się środkowym korytarzem przyglądając się wszystkim pasażerom zimnym wzrokiem. Kiedy tych dwóch, którzy weszli od rufy, zbliżyło się do środka i stanęło na wysokości Moraya, ten poczuł coś, jakby strach, ale już po chwili zorientował się, że ich uwaga jest skoncentrowana na Billu i Dory.

— Państwo Murphy, jeśli się nie mylę? — zapytał jeden z olbrzymów — Proszę z nami. Jesteśmy z Biura Narkotyków.

— Nazywam się Murchison, Bill Murchison

— próbował protestować Bill — Może niech pan zajrzy do paszportu...

— Oglądaliśmy go już wielokrotnie, przyjacielu

— odparł tamten chłodno — Zapoznaliśmy się z wszystkimi: od Billa Moreya do Bena Morelanda,

od Benoît Moreau do Billa Murchisona w ciągu kilku zaledwie podróży. Inne nazwiska, ale te same twarze i tak dotarliśmy do Benny Murphiego. Oczywiście z małżonką. To co? Idziemy?

— Dobra, dobra — westchnął Bill tonem wskazującym na to, że pogodził się z sytuacją. Zaskoczony i skonsternowany zajściem, Moray ujrzał swoich dziwnych towarzyszy podróży, jak zabierają podręczny bagaż i idą na tył tuż za goryłami. Co to było to Biuro Narkotyków? Bill tłumaczył przecież, że handluje urządzeniami precyzyjnymi, zresztą wcale nie wyglądał na przemytnika narkotyków. Podekscytowany, ruszył za pozostałymi pasażerami, którzy komentując między sobą wydarzenie, wychodzili na zewnątrz. Jeśli o lotnisku w Glasgow można powiedzieć, że oszołomiło Moraya, to lotnisko Kennedy'ego wydało mu się kręgiem piekielnym. A co gorsze, Amerykanie nie rozumieli go i on nie rozumiał Amerykanów. Wyglądało tak, jakby to nie był ten sam język. Amerykanie z tymi ich przekłętymi aaah i aaaoooh, a on z tą swoją wymową i z tym swoim akcentem z Highlands wyglądali na to, że pochodzą z dwóch różnych światów. Moray śledził przepływ pasażerów, uwierzył w cuda, gdy udało mu się odnaleźć walizkę, która została obejrzana dokładnie przez jakiegoś oficera. Drugiemu z nich, z ledwością udało się wytłumaczyć, że oczekuje go krewny i że nie przyjechał do Nowego Jorku po to, aby żebrać, sprzedawać narkotyki czy też kogoś zabić. W końcu znalazł się sam na przystanku autobusowym,

gdzie stał przez pół godziny zastanawiając się, że skoro kuzynka Ruth nie wyjechała po niego, to czy może pojechać autobusem i samemu odnaleźć adres wuja w Bronx. Jednak, jak przystało na przyzwoitego Szkota oglądającego każdy grosz przed wydaniem go, postanowił poczekać jeszcze pół godziny. I ta minęła. Autobusy odjeżdżały jeden za drugim, a helikoptery wznosiły się w najbrudniejsze powietrze, jakie kiedykolwiek Moray oglądał na własne oczy. Moray zdecydował się zadzwonić. Wolał to od zbędnego wydawania pieniędzy na autobus, zwłaszcza, że miał tylko angielskie pieniądze, a tych w autobusie zapewne nie chcieliby przyjąć. Właśnie przeczesywał kieszenie w poszukiwaniu karteczki z adresem i numerem telefonu wuja Thomasa, gdy podjechał do niego samochód wielki jak krążownik, stanął i z okienka wychyliła się uśmiechnięta twarz Billa Murchisona (czy też jak go diabli zwali).

— Hej, Moray! Chodź, chłopcze, podrzucimy cię! No dawaj, wchodź! Moray podniósł walizkę, ale wahał się. Za kierownicą wozu siedział Murzyn o twarzy zbira. Zdecydował się wsiąść dopiero w chwili, gdy obok twarzy Billa pokazała się twarz Dory.

— Wchodź Moray! Na co czekasz? Tyłne drzwi otworzyły się i Moray wszedł do środka zabierając ze sobą walizkę. Bill przesunął się ustępując mu miejsca.

— Wchodź chłopie! Co, myślałeś już, że jesteśmy bandziorami? Ci z Biura Narkotyków mylą się

często jak diabli. Wiesz o tym? Ale raczej... Mówiąc to, Bill wsadził łapę do kieszeni Moraya, wyciągnął paczkę i pokazał ją Dory bezczelnie się uśmiechając. Moray gapił się na niego osłupiały.

— Spokojnie chłopcze. Spójrz do prawej kieszeni. Moray włożył rękę do kieszeni kurtki i wyciągnął z niej drugą identyczną paczkę. Bill odebrał ją cały z siebie zadowolony:

— Doskonale. Zrobiliśmy ich w konia. No, a teraz Moray, odwieziemy cię do domu, wcześniej jednak, weź to... zapracowałeś na nie w końcu! Moray zobaczył, jak Bill wciska mu do kieszeni złożony na pół banknot.

— To sto dolców. To od Organizacji, synu. Pamiętaj, żeby trzymać gębę na kłódkę. Dory i ja chętnie cię zobaczymy któregoś wieczoru gdybyś miał ochotę na trochę nietypowy wieczór. Masz już nasz numer telefonu w Newark. Zadzwoń do nas, gdy będziesz miał ochotę na niezłe rżnięcie. Zawsze będziesz mile widziany.

— Słuchajcie, nic z tego nie rozumiem — zaczął mówić wahając się Moray. Dory przerwała mu.

— Daj sobie spokój, Moray, najdroższy! Tu nie trzeba niczego rozumieć. Gdzie mieszka ten twój krewny? Moray odczytał adres i czarnuch za kierownicą, który przysłuchiwał się, skomentował to tym swoim dziwnym akcentem:

— Aaaaah, Bronx! Okaaay, zaraz tam będziemy, chłopcze, ty i twoja walizka. Moray wsadził do kieszeni banknot, który dostał od Billa i pomyślał, że Ameryka to naprawdę dziwny, dziwny i trudny do zrozumienia kraj...

## Rozdział czwarty

Ulica była głośna, wypełniona chaosem. Dom czarny od brudu z ostatnich kilku lat, schody lepiące się i wyszczerbione. Ale Moray nigdy wcześniej nie widział ani windy, ani kolorowego telewizora, ani niewidzialnego ogrzewania i nigdy nie miał okazji odkręcić kranu, z którego pociekłaby gorąca woda. Wuj Thomas, dumny ze swojego bogactwa, był szczupłym i silnym mężczyzną, o ciemnych oczach i włosach, mówił mieszaną angielszczyzną składającą się z amerykańskich słówek i szkockich zwrotów. Ciotka Beth bardzo zaskoczyła Moraya, który oczekiwał kogoś w stylu ciotki Abigail. Tymczasem ujrzał zgrabną kobietę, zadbaną, wyglądającą o wiele młodziej niż na swoje czterdzieści pięć lat. Ale największą niespodzianką była kuzyne-czka Ruth, szesnaście lat, przepiękna, kruczoczarne włosy, identyczne jak Moraya, identyczne oczy w kolorze turkusów i ciało będące całkowitym zaprzeczeniem niedojrzałości. Ruth twierdziła, że musiało zajść nieporozumienie, ponieważ ona czekała na niego przy terminalu samochodów osobo-



wych, a on natomiast czekał na nią przy terminalu autobusowym. Jakkolwiek by było, wuj Thomas skomentował całe wydarzenie z dumą: młody Moray poradził sobie znakomicie, tak samo dobrze, jak on sam dwadzieścia lat wcześniej, gdy przyjechał po raz pierwszy do Nowego Jorku.

— Moray chyba faktycznie dobrze sobie poradził — powiedziała Ruth uśmiechając się szyderczo do niego — Właśnie zaczęłam rozglądać się po terminalu autobusowym, kiedy zobaczyłam go, jak wsiada do ostatniego modelu cadillaca, a w środku siedziała zdaje się całkiem niezła blondyna.

— Towarzysze podróży — wytłumaczył Moray — Byli bardzo mili. Pozostałe szczegóły przemilczał. Przed kolacją Moray opowiedział wujowi Thomasowi wszystkie szczegóły o rodzinie Braemar Dunnottar, o ważniejszych wydarzeniach w Forres oraz o sytuacji w Highlands. Później rozmowa przeszła na pracę.

— Nie uważam, żeby Moray nadawał się do pracy w rzeźni — rzekła ciotka Beth — Jest... chyba za delikatny, nie sądzisz?

— Jestem wystarczająco silny, ciociu Beth — zaprotestował Moray. Wuj Thomas obejrzał go sobie raz jeszcze, po czym odpowiedział Beth:

— W jego wieku byłem bardziej kruchy od niego, a mogłem utrzymać krowę na plecach. Zobaczymy. Jutro rano poddam go próbie.

— Ej, tatku! Zgłupiałeś? — zaprotestowała Ruth. — Daj mu kilka dni oddechu. Niech się przyzwyczai do nowego świata. Moraya zatkało.

Ujdzie w tłoku nazywanie ojca tatkiem, ale zwracać się do niego mówiąc, że zgłupiał — w Forres oznaczałoby to oberwać porządne lanie. Wuj ograniczył się jednak do dziwnego uśmiechu. Był taki dumny ze swojej córki, z jej sposobu bycia, z jej urody i wcale się z tym nie krył.

— Moray pochodzi w końcu z naszej rodziny, a każdy Braemar Dunnottar, skarbie, potrafi wyrwać drzewo z korzeniami i przesadzić je gdzieś dalej, jeśli tylko będzie miał na to ochotę.

— No, nie wiem, ale zaczynać tak od razu z rana... — usiłowała protestować ciotka Beth. Wuj uciszył ją dość typowym amerykańskim gestem. Przed kolacją Ruth pokazała Morayowi łazienkę, zapraszając go do wykąpania się. Chłopak nie mógł się nadziwić, jak wielki i dobrze wyposażony jest ten pokój. Żartując Ruth pokazała mu, jak manewrować kurkami prysznicza i przed pozostawieniem go w samotności, puściła do niego oko i rzekła: — Jesteś bardzo ładny, ale postaraj się zrobić jeszcze piękniejszym, jeśli możesz. Dzisiaj wieczorem wychodzimy razem na przejażdżkę z moim chłopcem. Dla ciebie zaprosiłam moją znajomą. Nazywa się Maisie i jest bardzo ładna. Moray przesiedział pod gorącym prysznicem całe wieki, a najbardziej podobał mu się mocno pachnący płyn do kąpieli. Zszedł na kolację lśniący i pachnący. Na nogach miał nowe buty, ale jego ubiór spodobał się tylko wujowi Thomasowi. Ciotka Beth była zaskoczona jego marynarką i krawatem. Ruth nawet się roześmiała.

— Nie, skarbie, tak nie możesz się pokazywać. Żadnych krawatów i żadnych marynarek. Włóż sweter i rozepnij koszulę pod szyją. Wyglądasz tak, jakbyś wybierał się na ślub!

— Czy mogę się dowiedzieć, dlaczego mężczyzna nie może wyjść ubrany, jak Pan Bóg przykazał

— protestował wuj Thomas — A ten krawat, jeśli tego nie wiecie, jest w barwach naszego klanu.

— Ależ tatko, wszyscy będą się z niego śmiali

— sprzeciwiła się kuzynka — A ponadto, oberwalibyśmy porządne lanie jeszcze przed wyjściem z Bronxu!

— Ruth ma rację — powiedziała ciotka Beth

— wiesz, jacy są ci dranie, Tom! Jak tylko zobaczą kogoś innego niż oni, natychmiast chcieliby go zabić!

— A tam! Rodzina Braemar Dunnottar ma w nosie każdego chuligana z Bronxu i okolic!

— wyrzucił z siebie wuj Thomas. Ale udało się go w końcu przekonać, że lepiej będzie dla Moraya wyjść w ubraniu podobnym do miejscowego. Ruth zaprowadziła Moraya do swojego pokoju i ku wielkiemu jego zdziwieniu, ani wuj, ani ciotka nie oponowali, ani ich nie śledzili. W Forres byłoby to nie do pomyślenia.

— Oj, coś się obawiam, że moje dzinsy nie będą na ciebie pasowały — mruzczała pod nosem Ruth mierząc go wzrokiem — Ale jeśli chodzi o resztę, to coś wykombinujemy. Zdejmij marynarkę, krawat i koszulę.

— Ale czy to jest oby w porządku? — protestował zawstydzony Moray i Ruth zaskoczona i znie-

cierpli wioną odpięła pierwszy guzik zachęcając go do kontynuowania — Pośpiesz się! Za dziesięć minut jest kolacja! Morayowi nie pozostało nic innego, jak tylko usłuchać. Zdjął marynarkę, koszulę i stał obserwowany bacznie przez kuzynkę.

— Okay! Masz bary o wiele potężniejsze niż by się to wydawało, ale z drugiej strony, ja mam piersi, które to rekompensują i być może znajdę coś i dla ciebie... Do diabła! Ależ była rozgadana ta kuzyne-czka! A piersi? I owszem, były całkiem niezłe! Dwa niezłe melony pod koszulką i od razu było widać, że nie nosiła stanika, ponieważ nie potrzebowała go.

— W porządku. Przymierz to — zaproponowała Ruth wygrzebując coś z szuflady. Dała mu koszulkę w kolorze czerwieni makowej, długie rękawy, pod szyję, z wydrukiem na piersiach ukazującym twarz wodza indiańskiego, a z tyłu napis Red Indians. Moray popatrzył na nią z obrzydzeniem, a ponieważ ciągle się wahał, Ruth po prostu mu ją rzuciła. Co za miła gra!

— Wyglądasz w niej świetnie — zauważyła Ruth przyglądając mu stojące na głowie włosy — No, a teraz popatrzmy, czy mamy dla ciebie jakieś dzinsy... A ty co? Nie zamierzasz zdjąć spodni? Moray z wybałuszonymi oczyma gapił się na nią. W tej samej chwili na progu pojawiła się ciotka Beth, która z zadowoleniem przyglądała się młodzieńcowi.

— Dobrze ci w tym — powiedziała — Ale nie pasuje to do spodni z kantem. Powinieneś włożyć dzinsy.

— On nie chce zdjąć swoich spodni! — śmiała się Ruth. Nie możesz przymierzyć džinsów będąc w innych spodniach.

— No, już! Zdejmij je w końcu, za pięć minut siadamy do stołu, uśmiechnęła się ciotka. Moray nadal nie wiedział, co zrobić. Tymczasem Ruth wyciągnęła z szuflady parę spodni z wyhaftowanym z tyłu czerwonym sercem i przyglądała się na przemian spodniom i Morayowi usiłując odgadnąć prawidłowy rozmiar.

— Powinny na niego pasować — orzekła ciotka Beth — Pośpieszcie się dzieciaki, Tom nie lubi zimnego indyka. Wyszła z pokoju. Ruth przyglądała się kuzynowi. W końcu Moray powiedział:

— Wiesz Ruth, może będzie lepiej, jeśli wyjdiesz.

— A to niby dlaczego? Jeśli te nie będą dobre, to dam ci inne. Uważasz, że mają damski krój? Dżinsy są unisex, są dobre zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn. No rusz się! Wystygnie indyk i tatko się wścieknie. Na Boga! Co za język, jak na studentkę!

— Słuchaj Ruth... wiesz... ja się wstydzę... przed dziewczyną, rozumiesz?

— Co za bzdury! — syknęła — Jesteś w końcu moim kuzynem, czy nie? No, ściągnij te gacie!

— Ej, wy tam! — darł się wuj Thomas — gotowi czy nie?

— Już idziemy, tatku! — krzyknęła Ruth. Szybkim ruchem odpięła pasek spodni Moraya i ściągnęła je, aż do kolan.

— O rany! Ty nosisz kalesony! A zresztą — trochę cierpliwości. W końcu nie musisz wychodzić

w majtkach i... Przerwała w pół zdania. Zauważyła poważnych rozmiarów wybrzuszenie pod spodem.

— No, no, no! — zaśmiała się — Stał ci? Uznam to wobec tego za komplement pod moim adresem. No, dobra, ale teraz włóż dzinsy. Moray czerwony, jak burak odwrócił się plecami i spróbował wciągnąć na siebie dzinsy. Żeby było śmieszniej pasowały na niego idealnie. Gdy w końcu się odwrócił, Ruth zbadła go wzrokiem i uśmiechając się pod nosem podeszła do niego, ażeby szepnąć mu do ucha: — Zdaje się, że nadal ci stoi. I zdaje się również, że jest to kawał niezłej pały. Nie powinieneś się wstydzić, jest to całkiem naturalne i bardzo mi się to podoba. I w tej sprawie chciałabym cię uprzedzić. Zarówno ja, jak i Maisie jesteśmy dziewczycami i chciałybyśmy nimi nadal pozostać, aż znajdziemy odpowiedniego chłopaka. Na razie ograniczamy się do kilku pieścizot i chciałybyśmy przy tym pozostać.

— Co to dla ciebie znaczy: kilka pieścizot?

— Pocałunki, trochę głaskania, jednym słowem nie posuwamy się za daleko. Pamiętaj o tym z Maisie. Jeśli przesadzisz, to nie będzie chciała więcej z tobą wychodzić i na dodatek opowie o tym wszystkim innym dziewczynom, żadna nie będzie chciała z tobą wychodzić. Rozumiesz? A teraz chodźmy... Podano pudding i indyka z ziemniakami pieczonego w piekarniku. Moray dosłownie wylizał talerz. Jedli właśnie ciasto z jabłkami, gdy z dołu doszedł ich uszu potwornie głośny dźwięk klaksonu. Ruth wytłumaczyła, że to jej chłopiec czeka

na nich w samochodzie. Szybko skończyli jeść. Ruth powiedziała:

— Roy nawet by i wszedł na górę, ale gdyby chciał zostawić na dole samochód, to po powrocie zobaczylibyśmy tylko zderzaki.. A co najmniej ukradziono by mu opony. To nówki...

— Tylko nie przychodźcie zbyt późno — prosił wuj Thomas — Moray musi wstać o czwartej trzydziści.

— No nie! Daj spokój, Tom! — interweniowała ciotka Beth — Bądź rozsądny, pozwól temu chłopcu odetchnąć. Daj mu z jeden dzień odpoczynku! Moray właśnie miał powiedzieć, że jemu odpowiada wstawanie skoro świt, ale zupełnie nieoczekiwanie wuj Tom poddał się. W ten sposób Moray uzyskał jeden dzień wolnego. Moray i Ruth wyszli z mieszkania, zeszli na piechotę. Ona wykorzystała ten moment, ażeby po raz ostatni go uprzedzić:

— Proszę cię, Moray, zachowuj się porządnie z tą biedną Maisie. Ona ma chłopaka i musiała mu opowiedzieć jakąś bzdurę, ażeby móc wyjść z tobą, a mnie zrobić tym samym przyjemność. Jesteśmy przyjaciółkami ze szkolnej ławki.

— Dobrze, nie martw się — odpowiedział Moray

— Zachowam się, jak przystało na dżentelmena.

— Tak, ale bez przesady — śmiała się Ruth.

— Jesteś przytojnym facetem i jestem pewna, że jej się spodobasz. Tak że możesz coś tam jej porobić, ale po prostu nie przekraczaj granicy, O.K.? Moray bąknął coś na znak zgody i wyszli na ulicę. Chłopak Ruth, wielki i muskularny blondyn, stał oparty

o starego i całkiem zdezelowanego plymoutha. Gapił się na Moraya podczas, gdy Ruth dokonywała prezentacji. Miał na sobie wyprane dżinsy, na nogach tenisówki oraz zieloną koszulkę całkiem podobną do tej, którą miał na sobie Moray, jedynie zamiast czerwonego wódza miał nalepionego wielkiego psa, a z tyłu napis N.Y. University. Usiadł z Ruth na przednim siedzeniu, Moray z tyłu.

— Jedziemy po Maisie, a potem na przejażdżkę po Manhattanie, okay? Chciałabym coś pokazać mojemu kuzynowi.

— Wszystko czego chcesz, skarbie — zgodził się Roy żując gumę. Ruszyli z piskiem opon. Moray wylądował na tylnej szybie. Czerwone światło nie stanowiło żadnej przeszkody, skręcili w prawo. Moray ledwo doszedł do siebie, a już wylądował na przedniej. Właśnie zahamowali.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł ze znawstwem Roy. Nadal żuł gumę. Nie zdejmował ręki z klaksonu tak długo, aż na progu drzwi stanęła dziewczyna w niebieskiej koszulce i białej spódnicy. Dziewczyna ruszyła w ich stronę.

— Otwórz jej drzwi, Moray — podpowiedziała mu Ruth. — Czołem! — krzyknęła Maisie wchodząc do samochodu i siadając obok Moraya. Była blondynką o niebieskich oczach i zadartym nosku, jej piersi odznaczały się pod koszulką. Spod spódnicy wystawały długie nogi. Jej włosy pachniały miło i słodko. Morayowi spodobała się od razu.

— To ty jesteś Moray? Jesteś całkiem niezły, wiesz? Siedzący za kierownicą Roy zawył z za-



chwytu. Gwałtownie ruszył, zostawiając na asfalcie całkiem sporą porcję opon. Maisie została odrzucona na kolana Moraya, śmiała się, jak mała dziewczynka. Objął ją.

— To co? Jedziemy na Manhattan? — zapytała Ruth. Przytuliła się do Roya ciągle żującego wielki kawał gumy.

— Rozkaz, kochanie!

— Nie moglibyśmy jechać trochę wolniej? Tobie zawsze się zdaje, że jesteśmy na wyścigach w Indianapolis! — protestowała Maisie, ale nie miała raczej ochoty odrywać się od Moraya, który pamiętając ostrzeżenia Ruth nie wiedział, jak się zachowywać.

Zdecydował, że tak długo póki odpowiadało to blondynie, to odpowiadało również i jemu. Czuł jej twardy tyłeczek na sobie. Czuł jej świeży zapach i... czuł, jak mu staje.

— Dobra, w porządku! Nie straszmy naszego przyjaciela Szkota — śmiał się Roy i trochę zwolnił

— Którędy jedziemy? Przez Triborough?

— Nam to odpowiada, prawda Moray? — rzekła Maisie i rozgościła się na dobre na kolanach Moraya — Masz dziwne imię, wiesz? Czy mogę cię nazywać Mor?

— Z moim imieniem możesz zrobić, co chcesz

— odpowiedział Moray mimo, że ten dziwaczny zwyczaj skracania imion wcale mu nie odpowiadał. Ciotka Beth nazywająca wuja Tom zamiast Thomas, Maisie, która chciała nazywać go Mor zamiast Moray i ten diabelski kutas, nieustająco twardniejący w nogawce spodni. Gołe ręce Maisie były

tak białe, skóra tak bardzo jedwabista, ciało tak przyjemnie twarde. Trzymanie ich w dłoni sprawiało mu wielką radość. Jechali szybko. Teraz Roy respektował czerwone światła. Zbliżali się coraz bardziej do mostu Triborough. Z otwartych okien w plymouthcie słychać było wołanie syren przepływających statków; do samochodu wpadało ciepłe powietrze. W Forres powietrze bywało tak nagrzane tylko w ciągu lata. Na wysokości Longwood Avenue, właśnie w chwili, gdy fiut Moraya miał wybuchnąć pod zbawiennym wpływem kontaktu z nogami Maisie, natknęli się na korek. Ludzie oczekujący przy wjeździe do przejazdu podziemnego patrzyli na dwa samochody, które zderzyły się oraz na ich właścicieli kłócących się i wygrażających sobie pięściami. Roy wykonał zabroniony zwrot przez podwójną ciągłą i wpadł z pełną prędkością w jeden z wielu w tej okolicy przejazdów podziemnych. Maisie przytuliła się jeszcze bardziej i Moray z tego skorzystał. Skoro Maisie to nie przeszkadzało, to czemu miałoby przeszkadzać jemu. Wyjechali z tunelu, znaleźli się na jakimś mało oświetlonym placu. Nie było tam nikogo, jedynie jakieś obce osoby bijące się pomiędzy sobą. Moray zobaczył młodego, wysokiego blondyna okrążonego przez pół tuzina chłopaków o ciemnym kolorze skóry. Usłyszał krzyki kobiety ciągniętej przez kilku facetów do stojącego w pobliżu samochodu.

— Stój! — krzyknął Moray — Ci faceci go leją, a jacyś inni usiłują zgwałcić jakąś kobietę!

— Do diabła z tym! — wydarł się Roy. Żuł nadal gumę, lekko przyśpieszył.

— Zmykajmy stąd! — zaaprobowała Ruth.

— Tak, lepiej nie mieszajmy się! — dodała Maisie patrząc przez okienko na rozgrywającą się scenę. Moray ujrzał, jak młody chłopak stawia czoła napastnikom, widział kręcący się w powietrzu łańcuch, słyszał krzyczącą kobietę.

— Zatrzymaj się, do cholery! — krzyknął do Roya i jednocześnie usiłował przedrzeć się przez ciało Maisie, aby móc otworzyć drzwi.

— Roy! Zatrzymaj się! On jeszcze gotowy jest wyskoczyć! Roy instynktownie zahamował. Pisk opon zaskoczył napastników. Dzięki temu, blondynowi udało się cudem uniknąć ciosu łańcucha, który gdyby go dosięgnął rozwaliby mu niechybnie kości. Moray wyskoczył i pobiegł na miejsce walki.

— Co on wyprawia?! Zwariował kompletnie ten twój kuzyn?! Słuchaj, jeśli on ma ochotę, to może dać się zabić. My lepiej spływajmy stąd. Nie chcę mieć nieprzyjemności z Aniołkami, znają mnie!

— Tak, lepiej spływajmy stąd! — błagała Maisie.

— Ani mi się śni! — protestowała Ruth — Znajdźmy policję, zanim ci faceci zarabiają Moraya!

— Nie mam zamiaru szukać kogokolwiek, mam zamiar dać stąd dyla!

— To spływaj stąd, ty cholerny tchórze! Ale ja najpierw wysiadam!

— Ej, patrzcie! — krzyknęła Maisie wybałuszając swoje niebieskie oczęta. Moray zbliżył się do grupy otaczającej blondyna i wzięwszy za łeb faceta z łańcuchem obrócił nim niemal w powietrzu i rzucił o najbliższy mur. Gapili się na niego tak, jakby wyszedł spod ziemi.

— To nie jest faire play! Siedmiu na jednego. Bądźcie tak uprzejmi i powiedzcie swoim przyjaciołom, żeby zostawili w spokoju dziewczynę! Kim wy do diabła jesteście?

— A ty skąd się wzięłaś? — zapytał jeden z bandy, bardziej zaskoczony niż przestraszony

— Kim ty, do kurwy nędzy, jesteś?

— Kimkolwiek jesteś, to spadłeś mi z nieba

— powiedział blondyn spoglądając ponad głowami bandytów, usiłując zobaczyć dziewczynę. Rzucił się w jej kierunku; dwóch facetów nadal ją trzymało i gdy jeden z napastników chciał go zatrzymać, Moray powalił go na ziemię słabym ciosem (tak wydawało się Ruth i innym siedzącym w samochodzie: ich zdaniem był to słaby cios). Moray pobiegł w ślad za blondynem, który wpadł właśnie na jednego z przytrzymujących dziewczynę. Drugim z nich zajął się Moray. Kolejny cios i ten też upadł.

— Patrzcie na tego Szkota! — nie mógł wyjść z podziwu Roy. Żuł kawał gumy — Kto by powiedział?! Z twarzą jak pedał!

— Sam możesz być pedałem! — broniła Moraya jego kuzynka — Może byś mu pomógł, panie muskuł, co?

— Nie zgłupiałem do reszty. Oni go zarzną.

— Ty skurwysynu! — klęła go Ruth wstrząśnięta takim tchórzostwem. W tym czasie blondyn bił się z napastnikiem i nawet by wygrał, gdyby tamten z kolei przestrzegwał jakichkolwiek zasad boksu. Kopał, uderzał poniżej pasa, tymczasem wzywał na pomoc swoich znajomych, którzy po pierwszym

zaskoczeniu, zbliżali się coraz bardziej. Poza jednym, który uderzony przez Moraya nadal leżał na ziemi, pozostali wkraczali do akcji. Jeden z nich z łańcuchem, inny z kastetem, dwóch z nożami i dwóch pozostałych z kijami do baseballu.

— No, to amen! Teraz ich zmasakrują! — martwił się Roy.

— Jak ich załatwimy? — zapytał blondyn Moraya. Odwrócił się do dziewczyny — Wejź do samochodu i zamknij się w środku. Jeśli zobaczysz, że obrywamy, to gazu i po policję! Dziewczyna posłuchała go i dopiero wówczas Moray odpowiedział na postawione mu pytanie:

— Ty weź tego z łańcuchem. Ja biorę na siebie tego z nożem. Potem zobaczymy. — Okay!

— potwierdził blondyn. Był bardzo elegancki, miał akcent osoby dobrze wykształconej, był starszy od Moraya o kilka lat. Słuchaj, przyjacielu! Czy ty nie jesteś Szkotem przez przypadek? Masz taki sam akcent jak mój ojciec, który pochodzi z Inverness.

— Do cholery! Ja jestem z Forres! Popatrz, co za zbieg okoliczności. Może napijemy się później piwa?

— Jeśli nas nie rozszarpią. Nazywam się Robert Dawley.

— A ja Moray Braemar Dunnottar — odpowiedział Moray. Rozmawiając zostawili między sobą pewną odległość. Dziewczyna włączyła silnik samochodu. Moray zerknął na nią. Była bardzo ładna, blondynka, miała gładkie włosy, twarz spiętą od emocji, oczy wpatrzone w nadchodzących napastników.

— Hej wy dwaj! Damy wam szansę! Zostawcie samochód i dziewczynę razem z portfelami i damy wam spokój. Zgoda? Jej niczego nie zrobimy, jedynie nie będzie mogła usiąść przez kilka dni. Odpowiada wam taki układ? — Za jego plecami zawył chór bezwstydných głosów. W tej samej chwili dziewczyna ruszyła pełnym gazem w kierunku bandy. Jeden z bandziorów wyleciał w powietrze, upadł na ziemię jęcząc. Pozostali, wyjąc, ruszyli do ataku. Blondyn uniknął ciosu łańcuchem i powalił swojego przeciwnika. Moray nawet nie próbował unikać noża: po prostu walnął faceta prosto w nos. Wszyscy usłyszeli odgłos łamanych kości, gdy uderzony mężczyzna upadał na ziemię. Jego twarz była jedną wielką mazią krwi. Reszta zawahała się. W rękach obracali kijami. Za ich plecami odezwał się dźwięk samochodu prowadzonego przez dziewczynę. Jeden z napastników bliżej stojących Moraya odskoczył w bok. Nie udało mu się uniknąć ciosu Moraya, który zręcznie wykorzystał moment. W tym samym czasie Robert zmasakrował twarz tamtego używając klasycznych ciosów boksu, nie udało mu się jednak obronić przed serią ciosów i kopniaków, które zostały mu wymierzone i wyglądało, że lada moment upadnie. Moray podbiegł do niego, jednym zgrabnym ciosem obalił kolejnego napastnika. Na nogach stało jeszcze dwóch. Teraz walka była równa, chociaż dobiegający dźwięk silnika sprawiał wrażenie, że wcale tak nie jest. Moray podniósł rękę.

— Jeśli macie dość, to nam to odpowiada; jeśli nie, to nam to też odpowiada. Co wybieracie?

Napastnicy popatrzyli po sobie, każdy z nich widząc strach w oczach drugiego. W końcu jeden z nich przemówił starając się nadać własnemu głosowi szyderczy ton:

— Okay! Tym razem udało wam się. Ale będzie lepiej, jeśli wasza noga nie postanie więcej w Bronxie. Inaczej rozwalimy was. A teraz spływajcie!

— O nie kolego! — odpowiedział Moray — Jeśli chodzi o mnie, to ja mieszkam w Bronxie i zamierzam tu pozostać. Nie podoba mi się to że chcesz mnie szantażować. W takich przypadkach wkurzam się niemiłosiernie! Mówiąc to ruszył w ich kierunku. Za ich plecami odezwał się odgłos silnika. Jednocześnie napastnicy odskoczyli na bok, jednego z nich Moray zdążył, na jego nieszczęście, dopaść. Drugi darując sobie wszelkie konwenanse, dał nogę.

— Niech żyją Highlands i Moray Breamer Gun-nottar! — darł się Robert podczas, gdy z samochodu wysiadła dziewczyna.

— Moray Dunnottar! — poprawił go Moray zerkając się w stronę plymoutha.

— Brawo Moray! — krzyczała z daleka Ruth. Roy wypluł swoją gumę.

— Drodzy przyjaciele, powiedział Moray - nie rozumiem, dlaczego tamten nie pofatygował się, żeby nam pomóc.

— Może dlatego, że nie jest tak nierozsądny, jak pan! — powiedziała dziewczyna — Ci faceci nie miewają litości!

— Moja przyjaciółka Lii Wade — przedstawił ją Robert i Moray uściskał jej dłoń —  
Pomogłaś nam. Jesteś dzielną dziewczyną. Okay Moray! Zawołaj twoich przyjaciół.  
Dzisiaj wieczorem świętujemy na mój koszt!



## Rozdział piąty

Royowi nie podobało się, że musi jechać w ślad za samochodem Lii Wade, jadącej przed nimi. Ale Ruth w tak jasny sposób wyraziła swoje niezadowolenie z powodu jego zachowania podczas walki, że nie chciał teraz tracić dodatkowych punktów. Samochody przejechały przez Harlem River na moście Triborough i tym samym znalazły się na Manhattanie. Moray był oślepiiony tysiącem różnokolorowych świateł, napisów reklamowych, powodzią samochodów i różnych dźwięków, szybkim i intensywnym ruchem samochodowym. Przejechali przez Manhattan aż do Greenwich Village. W trakcie jazdy Moray odbierał nieustające gratulacje od Maisie, dla której stał się bohaterem. Siedziała u niego na kolanach. Moray był przekonany, że czuje jego twardego kutasa i chyba nie było jej specjalnie przykro, gdy w czasie pocałunków jego ręka wędrowała powyżej kolana. Po długotrwałych poszukiwaniach udało im się znaleźć parking, wysiedli z samochodów. Moray zauważył, że zarówno Lii, jak i Robert rozprężyli się po walce, bawili się

znakomicie i zdaje się, że mieli ochotę na dalszą zabawę. Maisie postawiona przy pięknej Lii wyglądała na małą dziewczynkę. Gdy weszli do środka lokalu, portier popatrzył na nich podejrzliwym wzrokiem, ale Robert wcisnął mu kilka dolców do kieszeni, i ten od razu zmienił wyraz twarzy. W środku Moray znalazł się w obcym dla siebie świecie. Przyciemnione światła, romantyczna muzyka i ani jednego centymetra wolnej powierzchni na parkiecie: był wypełniony po brzegi przytulonymi do siebie parami. Robert zamówił dla wszystkich picie, wyciągając z kieszeni zwitek banknotów, na widok którego Moray zamarł. Gdy przyszło do tańców Moray musiał wyznać całkowitą ignorancję w tej materii, potrafił jedynie tańczyć szkockie tańce ludowe. Lii śmiejąc się na całego wciągnęła go na parkiet, a tam, w tłoku, czule się do niego przytuliła.

— Nie trzeba umieć tańczyć — szeptała mu do ucha — Wystarczy się ruszać... Morayowi natychmiast stanął, co nie uszło uwadze Lii.

— Dziękuję za komplement, skarbie! Moray nie wiedział, co powiedzieć. Czuł jej ciepłe ciało przy sobie i zdało mu się w pewnej chwili, że ona ociera się o niego specjalnie. Do diabła! Przecież to dziewczyna Roberta! Czuł się nieswojo. Ponadto miał wrażenie, że zachował się niegrzecznie wobec Maisie. Ale gdy za chwilę zauważył ją i Roberta przytulonych do siebie, tańczących policzek przy policzku zniknęły wszystkie jego skrupuły. Cóż za torturą było czuć przy sobie Lii i nie móc posunąć się choć kawałek dalej.

— Czy chciałbyś pójść ze mną do łóżka, skarbie? — szepnęła mu do ucha Lii.

— A Robert? — zapytał Moray. Czuł, jak członek rozrywa spodnie.

— Robert wyjeżdża, a ja zostaję na miejscu. Dam ci swój numer telefonu, okay?

Mnie to odpowiada odpowiedział Moray zmienionym głosem. Usiedli przy stoliku, pili, potem zatańczył z Maisie. Ona również nie zgorszyła się tym, że mu stoi i tak samo jego kuzynka Ruth (na Boga!), gdy z nią zatańczył. Nieźle! Całkiem nieźle. Obyczaje panujące w Nowym Jorku były raczej odmienne od szkockich. Nie, żeby kobiety w Forres nie były gotowe do wzięcia tego, co miały pod ręką, po prostu nie robiły tego tak otwarcie. Około jedenastej Moraya potwornie rozboleła głowa. Opuchnięte jądra bolały go i dałby wszystkie skarby tego świata, żeby jego fiut nie był taki twardy. Około w pół do dwunastej Ruth zdecydowała się wyjść, było już późno, a ona i Maisie powinny wrócić do domu. Robert uparł się, że absolutnie musi podziękować Morayowi. Wziął od niego adres i obiecał, że następnego dnia przyjedzie po niego w południe tak, by mogli wyjść razem na obiad.

Mieszkam niedaleko Stanton w Północnej Dakocie. Jutro po południu lecę tam samolotem, ale wcześniej chciałbym się z tobą zobaczyć. Morayowi taka propozycja odpowiadała. Ostatecznie Robert był z pochodzenia Szkotem, na dodatek z Highlands, a ponadto był sympatycznym typem. Robert i Lii zostali jeszcze w klubie, a Moray, Maisie

i Roy wsiedli do plymoutha i odjechali do domu. Maisie usiadła na kolanach Moraya, pocałowała go z języczkiem i pozwoliła mu, żeby pieścił jej piersi. Moray miał już dość tych bezproduktywnych zabaw i spróbował wytłumaczyć to Maisie:

— Skarbie! Potwornie boli mnie głowa od takich rzeczy...

— Chcesz powiedzieć: bez wyzycia się? — szepnęła mu — Biedaku! Poczekaj chwileczkę... Zeszła mu z kolan i skuliła się pod siedzeniem. Jej miękka rączka oparła się o zgrubienie na spodniach, lekko je ścisnęła, pogłaskała przez materiał spodni, otworzyła w końcu rozporek, a członek Moraya wyskoczył, jakby nakręcany sprężyną. Jej mała rączka chwyciła go łapczywie, zaczęła go pieścić, on wpakował swoją rękę pod jej bluzkę. Pozwoliła mu na to. Moray popatrzył na przednie siedzenie; mimo swojego podniecenia, chciał się upewnić, czy przez przypadek nie posunął się za daleko... Ruth była pochłonięta wykonywaniem tej samej pracy. Skoro tak...

— Ale masz wielkiego kutasa, Moray.... — szeptała mu do ucha Maisie — Jest dwa razy większy od fiuta Berta, mojego chłopaka... Chciałbyś się spuścić do ręki? Moray coś tam wybąkał na znak zgody. Nie zapomniał o konieczności międlenia jej piersi. Maisie miała zaledwie piętnaście lat, ale w tej ręcznej igraszce wykazywała o wiele większe doświadczenie niż dziewczyny i kobiety z Forres (poza Hazel naturalnie). Waliła mu konia. Ręka wykonywała płynne ruchy, czasem ścisnęła go, czasem

głaskała. Już w krotce Moray znalazł się na granicy orgazmu. Był jednak bardziej podniecony sytuacją niż pieszczotą. Gdy pieścił małe i twarde piersi Maisie, podpatrywał kuzyneczkę Ruth zabawiającą się na przednim siedzeniu. Samochód jechał coraz wolniej i coraz bardziej krzywo, raz podjeżdżał do krawężnika, a potem odjeżdżał od niego z piskiem opon. Roy zawył. Silnik w samochodzie zgasł. Moray usłyszał chrząknięcie wydobywające się z ust Ruth:

— Mmmmmh? Roy odpowiedział z aprobatą:

— Och, Ruth! Byłaś boska.... Maisie zaprzestała swoich działań, dała czas Royowi, by doszedł do siebie i ruszył stamtąd. Plymouth odjechał z miejsca, Maisie rozpoczęła od nowa.

— Podoba ci się?

— I to jak! — nadal pieścił jej piersi. Roy był zajęty prowadzeniem samochodu. Ruth odwróciła się do tyłu. Jej oczy napotkały wzrok Moraya, który nie wiedział, czy pokazać podniecenie czy też zakłopotanie całą sytuacją. Gapiała się na jego fiuta, gwizdnęła na znak podziwu. Wymieniła z Maisie porozumiewawcze spojrzenie wyrażające zadowolenie. Moray spuścił się. Zaskoczone dziewczyny patrzyły na serię wystrzałów i wybuchów, takich do tej pory nie widziały! Jego kutas pozostawał twardy, jego czerwona końcówka, śliska od spermy, nadal nie traciła na jurności. Maisie spojrzała na rękę pełną białej cieczy, a Ruth zdobyła się na coś więcej niż gwizd. — Co jest grane, najśłodsza? — zapytał Roy nie odrywając wzroku od drogi.

— Nic takiego kochanie.

— Skarbie, możesz mi podać jedną gumę? Powinna być w schowku. Ruth otworzyła go, odwinęła jedną i włożyła mu do ust. Roy zabrał się z zapalem do żucia. Ruth odwróciła się w stronę kuzyna. Maisie wytarła rękę. Nadal dzierżyła w dłoni jego członka. Ruth usłyszała, jak tamta szepcze mu do ucha:

— Chcesz, żebym jeszcze raz... Masz jeszcze ochotę?

Ochotę to ja nawet mam... — odpowiedział jej Moray. Odpowiedział Maisie, ale patrzył na Ruth, która puściła do niego oko. Roy spojrział w tylne lustro, widział, jak ręka Maisie porusza się. Uśmiechnął się.

— Kuzynek w końcu zdecydował się wyciągnąć pistolecik?

W pewnym sensie tak! — rzekła Ruth łakomie przyglądając się wielkiemu kutasowi Moraya.

Hej, Maisie! Pośpiesz się. Musisz zrobić coś bardzo szybkiego. Zaraz będziemy w domu! śmiał się do rozpuku.

A może byś tak zajął się swoimi sprawami, co? odpowiedziała mu Maisie i cicho powiedziała do Moraya:

— Chcesz, żebym ci go pocałowała? Moray zbaraniał. Rozumiał, że tak wyuzdana kobieta, jak Dory Murchison (czy jak ją diabli zwali!) mogła mu to zaproponować, ale żeby wyszło to z ust piętnastoletniej dziewczyny! A może Maisie rozumiała to dosłownie i chciała dać mu prawdziwego całusa i nic

więcej? Maisie nie czekała na odpowiedź. Pochyliła się w stronę jego kolan i w chwilę później Moray poczuł miękkość młodej buzi, poczuł wilgoć jej języka. Instynktownie położył rękę na jej białej głowie i... popatrzył w stronę Ruth. Kuzynka uśmiechnęła się do niego dwuznacznie. Mała Maisie ssała go z doświadczeniem wskazującym na całkowite opanowanie sztuki. Przyjemność przeszywała każdy jego nerw. Zrozumiał, że zbliża się koniec.

— Hej! Jak tam z tyłu? Uwaga za chwilę dojedziemy do obory! Ha, ha, ha! A ty skarbie, na co tak patrzysz?

— Dodaję im odwagi! — odpowiedziała mu Ruth i pomyślała o tym, jak bardzo dziecinny jest jej chłopak. Dla niego świat zaczynał się kawałkiem gumy do żucia, a kończył coca-colą. Może małe co nieco pośrodku; kutas, jak u królika i takie same ruchy i rytmy; głupek nazywa pałę Moraya pistolecikiem. A ona przypomina pałę osła!

Co? Nie staje twojemu kuzynkowi?..... śmiał

się Roy. W zakręt wszedł na dwóch kołach. Instynktownie Moray złapał się przedniego siedzenia, jego palce natrafiły na palce Ruth. Zacisnęły się w silnym uścisku. Moray cichuteńko spuścił się do ust Maisie. Czyściła sobie usta, gdy plymouth zatrzymał się przed jej domem. Na czwartym piętrze świeciło się światło. Maisie pocałowała Moraya:

— Spotkamy się jeszcze, Moray? Ależ mi się podobasz.... Wysiadła z samochodu. Znak w stronę jakiejś osoby czekającej w oknie, całus w stronę Moraya, pobiegła do domu.

Samochód gwałtownie

ruszył. Kilka zakrętów i wbił się w asfalt przed domem Ruth.

— Cześć, kochanie! Zobaczymy się jutro wieczorem?

— Jutro nie mogę, mam klasówkę za kilka dni, ponadto Moray będzie zmęczony — odpowiedziała Ruth. Szybko pocałowała chłopaka, wysiadła z samochodu. Moray ruszył w jej ślady.

— Kiedy wobec tego?

— Zadzwoń — odpowiedziała mu. Weszła z Morayem do domu. Gdy wchodzili do windy, spojrzeli po sobie, on zawstydzony, ona zainteresowana. Zapytała — No i co? Podoba ci się Maisie?

— W zasadzie tak.

— Ale chyba zrobiłeś ją na szaro, wiesz?

— Niby dlaczego?

— Dlatego, że ona tobie zrobiła, a ty jej nic nie zrobiłeś... Winda zatrzymała się, wyszli. Ruth podeszła do drzwi z pękiem kluczy, nie martwiąc się zupełnie o czyniony hałas.

— Mama bierze środki nasenne — tłumaczyła Morayowi — a tatki nie obudzą nawet działa. Idź pierwszy do łazienki, ja chcę wziąć jeszcze prysznic. W łazience Moray miał czas zastanowić się nad oskarżeniem Ruth. Do diabła! Co miał zrobić? Nie potrafił penetrować palcami pomiędzy udami kobiet, robił to tylko z żądzy, a nie po to, żeby im dogodzić w ten sposób. Jeśli tego pragnęły, zawsze miał do dyspozycji swojego kutasa. Niestety palców nie potrafił wykorzystać! Wychodząc z łazienki wszedł prosto na Ruth. Miała na sobie ręcznik ledwie zakrywający łono.



— Dobrej nocy, Ruth...

— Dobranoc. Chcesz spać?

— Sam nie wiem. Nie mogę zrozumieć, czy chce mi się spać, czy też nie, czy jestem zmęczony, czy też nie....

— To różnica czasu. W każdym razie, twoje łóżko jest posłane. Łóżko było obszerne i wygodne, przygotowane na noc. Pod ręką lampa. Moray włączył ją gasząc główne światło. Rozebrał się, rzeczy powiesił na krześle i goluteńki położył się na prześcieradle. Było potwornie gorąco w stosunku do temperatury, do której przyzwykł w Forres. Pomyślał, że to jego pierwsza noc w Nowym Jorku. Widział już tyle różnych rzeczy i brał udział w wielu innych. Jeśli tak wygląda życie w metropolii, to nie ma co: podoba mu się! Do licha! Dziewczętom pozwalają wychodzić wieczorem, żadnych podchodów, jasne umowy: możesz mi zrobić to i to, a tego i tego nie! A potem gazu! Przypomniawszy sobie cycuszki Maisie, jej wargi... jego fiut stwardniał. Do diabła! Ale ssała! Ruth, która patrzyła! Ciekawe, kogo by wybrał, gdyby Ruth nie była jego kuzynką? Raczej Ruth....

— Patrzcie państwo! Ten twój pistolet jest nadal naładowany! Moray zerwał się na równe nogi, okrył kocem. Ruth szła w jego kierunku, bez butów na nogach, owinięta ręcznikiem, długie nogi nadal mokre od wody. Usiadła na brzegu łóżka, ręką dotknęła wybrzuszenia.

— Wiesz? Ten twój kutas jest śliczny! Jestem z ciebie taka dumna!

— Uśmiechnęła się do Moraya — No, pokaż mi go. Może nie jest taki duży, jak myślałam....

— Ruth! Zwariowałaś!? Wujowie....

— Wujowie śpią, bądź spokojny — uciszyła go. Ściągnęła prześcieradło, zagwizdała z zachwyty: faktycznie był to kawał niezłej roboty....

— No, no, no! Słuchaj, czy ten twój interes nigdy się nie męczy?

— Ja... Oczywiście, że tak... Ale właśnie myślałem.... — mamrotał pod nosem Moray. Ruth uśmiechnęła się.

— O Maisie, która ci go ssła?

— Tak, w zasadzie tak!

— A o mnie nie myślałeś w ogóle? Ani troszeczkę?

— Ależ ty jesteś moją kuzynką....

— No i co z tego?

— Tak nie powinno być...

— Ale patrzyłeś na mnie, gdy Maisie ci go ssła... Moray nie wiedział co ma powiedzieć, ani jak się zachować. Był cały spięty, spięty był każdy jego mięsień. Bał się. Ruth pogłaskała jego pierś, powoli schodząc w kierunku jego brzucha, chwyciła kutasa tuż u nasady, pogładziła jego jądra.

— Masz jaja wielkie, jak byk — mruzczała Ruth — Idę o zakład, że są pełne różnych pyszności... — Ruth! Błagam cię! Ja...ja...boję się i wraca mi ból głowy...

— Możemy trochę się pobawić — zaproponowała — Jeśli chodzi o strach, to mówiłam ci, że nie ma powodów do strachu. A może ja ci się nie podobam?

— Ruth... Podobasz mi się. Bardziej od Maisie. Ale ty jesteś moją kuzynką!

— Jesteś taki sam, jak mój ojciec! Przecież nie jestem twoją siostrą! Ruchem zręcznym, acz nie wymuszonym ściągnęła z siebie ręcznik. Stała naga i dumna ze swojego ciała. Moray przełknął ślinę. Nie był w stanie oderwać wzroku od tych wspaniałych piersi, stojących, jakby wyrzeźbione z ciała, kibić jak u osy, o niewiarygodnych kształtach bioder zamykających mały czarny lasek.

— Dość tych bzdur o kuzynkach, w porządku? prosiła Ruth gapiąc się tymi swoimi ślepiami

w kolorze turkusów, identycznymi, jak oczy Moraya. Położyła się na nim. Język wbił się w jego usta. Moray czuł, jak jej uda chwytają członka i twardo go zaciskają. Mruczając z przyjemności dziewczyna zaczęła się wiercić. Pieściła jego pałę. Poczuł, jak ociera się, jak wbija się, jak wciera się w jej miękkie i gorące ciało. Jej silne ręce objęły go. Moray zrozumiał, że ten język może rozbudzić go, że te pocałunki są najbardziej intymną stroną jego dotychczasowego życia seksualnego. Zaczęła Hazel, kontynuowała Dory, teraz robił to z Ruth. Całe jego ciało płonęło z żądzy tych pocałunków. Odpowiedział jej rękami, przytrzymał w ustach jej język. Kuzynka mruczała i wzdychała, Moray bał się, że jeszcze chwilę, a sama pozbawi się dziewictwa, tak silnie wcierała swoje łono w jego członka. W pewnej chwili Ruth oderwała się od niego, wbiła paznokcie w jego klatkę niemalże raniąc go i wskoczyła na niego okrakiem.

— Muszę to zrobić! Chcę to zrobić! — krzyczała — Ty siedź spokojnie. Nie ruszaj się! Siedziała na nim. Uginając kolana chwyciła go i skierowała raz jeszcze w tamtą stronę. Był fioletowy od pocierania.

— Nie ruszaj się! — powtórzyła. Zaczęła nim manewrować tak, by wbity delikatnie w łono pocierał się o nie, idealnie pomiędzy dużym a małym sromem.

— Boże! Ależ słodko! Chcę właśnie tak, Moray! To tak, jak w raju! Ale masz wielkiego kutasa! Jest mój! Dlaczego nie mogę go wbić całego?! Ooooch! Już, teraz! Morayyyyyy! Raptem cała zamarła, przez jej ciało przewinęła się seria drgawek, w końcu upadła na klatkę piersiową kuzyna, dysząc niespokojnie, mokra od potu. Moray czuł, że za chwilę jego fiut eksploduje i że głowa również. Postarał się wytrzymać. Głaskał jej czarne włosy, jej jedwabistą skórę, pośladki i uda. Czuł się naprawdę podle. Bolały go jądra. Twarde piersi Ruth opierały się o niego, usta miała popękane. Mocno ją do siebie przytulił. Powoli odzyskiwała spokojny oddech.

— Ależ mi było dobrze, Moray! Dlaczego nie jesteś moim chłopakiem? Czuję, że byłbyś tym właściwym! Ale... Biedny Moray... Och najdroższy! Ja też chcę ci coś zrobić... poczekaj chwilę... mam wyschnięte usta.... ooooch! Moray trzymał się dzielnie. Lekko ją głaskał, zauważył, że podświadomie zaczyna się tak wyginać, by móc wepchnąć fiuta w jej ciało.

— Moray, skarbie... czy jadłeś już kiedyś dziewczynę? Jej głos wskazywał na wielką żądzę, ale Moray nie rozumiał.

— Ja... jadłeś dziewczynę? Co to znaczy?

— No, czy już lizałeś cipkę jakiejś dziewczyny?

0 prostsza formę trudno. Ale on o tym nigdy nawet nie myślał. O rany! Lizać tam, gdzie ona sikała?! Nie, raczej nie.

— Wiesz, dziewczyny to uwielbiają! — chwyciła wargami jego ucho. Robiłam to w zeszłym roku z nauczycielem angielskiego. Zatrzymywał mnie zawsze w klasie, żeby, jak twierdził, sprawdzić moje wypracowania... ale i tak wiedziałam co ma na myśli. A ponadto lubiłam się z nim drażnić, był taki ładniuteńki. Któregoś popołudnia położył mnie na ławce i wślizgnął się pomiędzy moje uda. Odsunął majteczki i poczułam jego język. Miałam wrażenie, że płonę. W ciągu kilku chwil osiągnęłam orgazm. Kazał mi usiąść na ławce, wsadził mi go do ust

I nauczył mnie ssać. Szkoda, że w tym roku już go nie ma. Na jego miejsce przyszła stara panna... Moray o mało się nie spuścił. Opowieść była podniecająca. Do diabła! Owszem, do ust to i chętnie... Ale, żeby włożyć język tam, gdzie proponowała... Nie! Raczej nie... Ruth wpakowała mu język do ucha, on poczuł dziwne skurcze ciała.

— Wiesz? Zdałam do następnej klasy z wyróżnieniem. Ale wpierw musiałam nałykać się spermy... Początkowo wypluwałam ją do chusteczki. Później odkryłam, że jest smaczna, bo miała smak tak odmienny od innych.... Czasem wycofywał się przed czasem i wówczas wybuchał mi prosto w twarz.... Członka miał o połowę mniejszego od twojego i nie tak twardego... ale językiem potrafił

mnie zabić, rozumiesz? Szkoda, że Roy jest taki głupi, nie potrafi mnie dotknąć. Nawet do przedsionka głowy mu nie przyjdzie, żeby mnie zjeść.... Jest duży, wielki i głupi...

Wychodzę z nim tylko dlatego, że robi dokładnie to, czego chcę.... Lizała jego usta, włożyła język do ust. Ten sposób z językiem zaczynał mu się podobać i pomyślał, że może nie byłoby, aż tak bardzo przykre i odpychające lizać ją tam, gdzie ona tego chciała... Usta i język Ruth całowały jego pierś i brzuch. Ręką chwyciła penisa i powoli, tak cholernie powoli jeździła po nim...

— Nie spróbujesz mnie zjeść troszeczkę? Dlaczego nie? Pomyślał Moray. Skoro robili to wszyscy i uznawali to za podniecające, to dlaczego nie? Najwyżej trochę się wysili.

— Chcesz, żebym ci ją polizał? Ruth jedym susem była na nim.

— Naprawdę? Chcesz, żebym ci wskoczyła na język i żebym potem ci go possała? Chcesz mi się spuścić do ust? Jak chcesz to zrobić? Znowu była podniecona, jej oczy błyszczały. Była taka piękna, pomyślał Moray. Szkoda, że to kuzynka, gdyby było inaczej mógłby się w niej zakochać, i oczywiście wydziewiczyć ją....

— Jak wolisz? — wypytywała się Ruth drapiąc go.

— Chcesz ją do ust?

Jak chcesz odpowiedział Moray, nic z tego nie rozumiejąc. Długo nie myśląc Ruth przesunęła się tak, by udami chwycić jego buzię. Włoski na jej

wzgórzu łonowym łaskotały jego usta, zatkała je, gdy poruszyła biodrami.

— Wyciągnij język, mój kochany świntuchu! Jej palce odsunęły intymną część ciała. Moray odniósł wrażenie różowego jasnego owocu (owocu, w który wiele razy się wbijał, ale którego nigdy wcześniej nie widział z bliska. Do czego mogłoby mu się to przydać? On nie miał pewnych zachcianek, wystarczyło mu ruchać i basta!), później wyciągnął język, poczuł coś wilgotnego i słodkiego o zapachu jej ciała i włosów. Polizał trochę (nie był nauczycielem angielskiego), nie było źle. Ruth westchnęła, przytknęła ją do jego ust. Moray musiał oddychać przez nos, ale nie przestał jej lizać. Nie przestał, ponieważ wiedział, że manewr ten, o ile jego nie przekonywał, to przekonywał jego fiuta, który był porządnie twardy, jeśli to możliwe, to jeszcze twardszy niż przedtem.

— Jesteś świnią! Moją wielką świnią! Liź mnie, proszę cię! Mmmmmh! Ooooch! Aaaach! Mmmmh! Liź mnie całym językiem, właśnie tak! Ooooch! Umieram! Jesteś świnią! Liź cipę twojej kuzynki! Nie zdając sobie z tego sprawy Moray zaczął lizać ją z werwą, zaczęło mu się to podobać i teraz rytmicznie wbijał się w nią! Łóżko skrzypiało pod ich ciężarem, ale sprężyny były porządne i wytrzymały. Co za boska gimnastyka! Prawie natychmiast Ruth osiągnęła orgazm anonsując to długim przeciągłym wyciem, jakby z bólu! Wywróciła oczy i opadła na bok. Moray musiał ją chwycić, inaczej upadłaby na dywan. Ale nie miał

ochoty już czekać. Musiał absolutnie się spuścić. Instynktownie zrobił rzecz, o którą nigdy by się nie podejrzewał. Usiadł okrakiem na Ruth. Wbił fiuta pomiędzy jej piersi. Zrobił może ze dwa ruchy do przodu i do tyłu... wybuchnął! Jego członek wyrzucił z siebie ogromne ilości białej lawy, która częściowo pokryła jej buzię, a pomiędzy piersiami utworzyła małe jezioro.

— Tak, Moray, Kochanie! Spuść się i ty! Wsadź mi go do ust! Nie trzeba było powtarzać dwa razy. Wycierał kutasa o jej koralowe usta, a ona lizała go mrużąc, targana niedawno przeżytym orgazmem. Na końcu popatrzyli po sobie.

— Moray? Ile razy spuściłeś się dzisiaj?

— Nie wiem, Ruth. Nie pamiętam... może trzy, cztery razy. Nie mogę sobie przypomnieć.

— To chyba wina różnic czasowych — wywnioskowała Ruth i nie skończyła jeszcze mówić, gdy Moray opadł na łóżko zasypiając. Śmiejąc się z satysfakcji Ruth odeszła na paluszkach...



## Rozdział szósty

Moray obudził się pierwszy raz około jedenastej. Zasnął ponownie w chwilę później. Po dziesięciu minutach wytrącił go ze snu słodki głos ciotki Beth.

— Moray... Moray... Nie chcesz śniadania? Otworzył oczy. Ujrzał ciotkę Beth siedzącą na brzegu łóżka i uśmiechającą się do niego.

— Och... Dzień dobry, ciociu Beth... Która to godzina? Ciotka odpowiedziała mu. Przypomnił sobie o spotkaniu w południe z Robertem Dawleyem. Było jeszcze wystarczająco czasu, żeby się przygotować.

— Nie chciałbyś zjeść ze dwóch rogalików? Dopiero co wyjęłam je z piekarnika. Poleję je odrobiną miodu, co? — zaproponowała ciotka, Beth. Już poprzedniego dnia Moray zauważył, jak czarującą kobietą jest ciotka, mimo że minęła już czterdziestkę. Rude włosy zebrane w kok, jasne oczy, duże i zmysłowe usta, niezła figura.

— Pójdę i przyniosę ci cały talerz — zdecydowała bez czekania na odpowiedź. Wstała, a Moray śledził ją aż do wyjścia z pokoju. Może jej kibić nie

była, jak u osy, ale za to miała ładne pośladki i długie nogi. Jego członek zaczął poruszać się wolniuteńko pod osłoną prześcieradła. Pomyślał o porzednim wieczorze. Do diabła! Jeśli jego życie w Nowym Jorku miało nadal toczyć się z taką samą prędkością, to zdaje się, że wpadł w sam środek słodkiego tortu, jak mówią w Forres. Ale najprzyjemniejszą myślą było to, że jak do tej pory nie wydał ani jednego grosza. Wylądował w Nowym Jorku mając przy sobie dziesięć funtów ciotki Abigail, pięć funtów od Hazel i od razu zainkasował sto dolców od Billa Murchisona w zamian za przysługę uczynioną całkiem przypadkowo. Ile to mogło być sto dolarów w przeliczeniu na funty? Nie! Czas zacząć myśleć i liczyć w walucie amerykańskiej. Dla niego pieniądze były ważną sprawą i nie zamierzał popełnić błędu, nie mógł zadowolić się wiadomością, że dolar jest wart mniej niż jeden funt, on zawsze rozumował w terminach penny, a jest rzeczą powszechnie wiadomą, że dla Szkota, jeden penny to zawsze jeden penny i jest ciężko rozstać się z każdym, chyba że z niezmiernie ważnych przyczyn. Ciotka Beth wróciła z tacą. Gorące rogaliki polane na wierzchu miodem i dzbanek pełen mocnej kawy. Usiadła na łóżku i gdy Moray wcinał rogaliki popijając wielkimi ilościami kawy wypytywała go o poprzedni wieczór, o to, czy się dobrze bawił i jak mu się podobało. Jej oczy płonęły dziwnym blaskiem. Mam nadzieję, że jest kobietą niewinną, naiwną i działającą w dobrej wierze — myślał sobie Moray odpowiadając ciotce pełną buzią. Obiecał

sobie, że nie będzie już więcej nadużywał gościnności baraszkując z córką. Zgoda. To Ruth zaczęła, ale on czuł się współodpowiedzialny za to co zaszło.

— Wiesz, amerykańskie dziewczyny może są mniejszymi hipokrytkami niż Szkotki z Highlands, ale w gruncie rzeczy nie dają zbyt wiele swoim chłopakom. Maisie na przykład to cudowna dziewczyna, nawet ładniuteńka, ale jej rodzice są wyznania prezbiteriańskiego i trzymają ją pod silną władzą i wychowują ją dość surowo... Moray pomyślał o Maisie, która tak chętnie brała go do ust i ssała z wielkim doświadczeniem. Wpakował do buzi kawałek rogalika i coś tam odburknął ciotce.

— Jeśli chodzi o Ruth, to powiedziała mi, że wychodzi z Royem, ponieważ jest on dobrze wychowany, jeszcze niedoświadczony, mimo skończonych siedemnastu lat i nie rzuca się na nią. Wiesz o co mi chodzi, prawda? Tak, Moray wiedział o czym mówiła, przypomniał sobie Ruth, która masturbowała Roya, a potem... robiła z nim te całe mnóstwo rzeczy. Czy jadłeś kiedyś dziewczynę?... poprzedniego wieczoru nauczył się jeść dziewczynę, a nauczyła go tego niewinna Ruth. Kawałek rogalika utknął mu w gardle i musiał popić niezłą porcją kawy, żeby się nie udławić. Ależ była naiwna ta ciotka!

— Właśnie! Wracając do Forres. Jak tam sobie radziłeś? — uśmiechnęła się ciocia. Moray wzruszył ramionami.

— Niezbyt dobrze. Nie ma tam żadnej przyszłości. Mówią, że podobno ropa w Morzu Północnym, w Aberdeen, ale...

— Nie, nie mówię o pracy, miałam na myśli dziewczyny — śmiała się ciotka Beth — Idę o zakład, że szło ci całkiem nieźle. Jesteś taki przytojny, dziewczyny leciały pewnie na ciebie, jak muchy na miód...

— Och, ciociu Beth! — wyszeptał Moray zaskoczony taką otwartością.

— Owszem nie chodziłem o pustym żołądku, ale chłopak nie może myśleć tylko i wyłącznie o tym...

— Naturalnie, naturalnie — ciocia uśmiechnęła się pod nosem. — Wiesz, moja ciekawość była całkiem kobieca, rozumiesz? Wyobrażam sobie, że również dziewczyny w pewnym wieku, chcę powiedzieć w wieku starszym od twojego... również mężatki, być może... Jesteś taki przytojny... Może obyczaj w Forres... Zresztą cały świat to jedna wielka wioska, czy nie sądzisz? O co jej chodziło? Moray zaczął się martwić, jak zawsze, gdy czegoś nie rozumiał. Jej ręka przemknęła po jego piersiach.

— Wcale nie wyglądasz na twój wiek, wiesz? Moray odniósł dziwne wrażenie. Jej palce może nie były tak miękkie, jak palce Ruth czy Maisie, ale...

— Trzeba przyznać, że życie kobiety zamężnej jest całkiem inne w Nowym Jorku niż w Forres — ciągnęła dalej swój wywód — Mamy pralkę, telewizor, wszystkie dawne maszyny, które wykonują za ciebie pracę, ale... nuda jest zawsze ta sama... Moray pomyślał, że ciotka przeskakuje nedorzecznie z tematu na temat. Jej palce nadal buszowały po jego piersiach, a on zaczął się czuć niezręcznie, ponieważ... jego członek, mimo że dość leniwie, lecz stale podnosił łeb pod prześcieradłem...

— Nie rozmawiajmy o mnie, pomówmy o tobie — westchnęła ciotka Beth uderzając opuszkami palców o jego mięśnie — mam nadzieję, że poradzisz sobie w rzeźni, to jest zabójcza praca. Wyglądasz solidnie, solidnie i to wszędzie, o ile dobrze czuję... Moraya zatkało, ponieważ ciotka Beth przestała bębnić po jego piersiach, a na muszkę wzięła jego członka, na którym skoncentrowała swoją uwagę. Rezultatem takiego działania była całkowita i solidna erekcja.

— Ho, ho! — śmiała się ciotka Beth obniżając swoje spojrzenie, by lepiej się przyjrzeć temu wybrzuszeniu — Zdaje się, że jesteśmy, co? Moray przełknął ślinę, nie był w stanie mówić w obliczu sytuacji, która go przerastała. Przerastała... Jego oczy utknęły na jej dekolcie ukazującym całkiem niezłe piersi. Ej! Co ona wyprawia? Całkiem zwyczajnie ciocia Beth ściągnęła prześcieradło i adorowała ten jakże wspaniały widok stojącej na baczność sztangi.

— No, nie można powiedzieć, żeby ci czegoś brakowało! Wielki jak słup telegraficzny i gruby jak zaporę przeciwczołgową! Do licha! Moray, to chyba największy kutas jakiego widziałam, jakiego mogłam sobie wyobrazić! I jaki twardy! Ale jest twardy!

— Ciociu Beth, proszę cię...

— Spokojnie Moray, bądź grzeczny i pozwól swojej cioci zbadać go! Teraz ręka cioci Beth głaskała, ścisnęła go. Wyglądała, jakby oszalała, czerwona na twarzy, ogień w oczach, dziki wyraz twarzy.

— Och, biedny ptaszek! — mruzczała z pasją, zaciskając i głaszcząc — Zmuszony do poszczenia z tymi dziewczynkami! Przecież on potrzebuje się wyżyć! Potrzebuje prawdziwej kobiety! Och, chcę go najpierw possać!!

— Ależ... ciociu Beth...ja... ja... — gderał Moray rozrywany pomiędzy namiętnością a wiekowymi zakazami. Do licha! To była jego ciotka!

— Siedź cicho, Moray! Cicho i daj mi spokój! To dla twojego dobra, dla twojej równowagi. Tu w Nowym Jorku życie jest ciężkie, dzikie, zwierzęce, nie chciałabym, ażebyś wpadł w ręce jakiejś dziwki... Gadała bez ładu i składu. Wykorzystała tę chwilę, żeby zdjąć z siebie ubranie. Pod spodem miała jedynie parę majtek. Moray zauważył, że miała wielkie piersi, a jej sutki stały już na baczność. Gdy zdjęła z siebie majteczki zobaczył czerwony las, jasne podbrzusze, pełne uda. Chwilę później ciocia Beth schyliła się w kierunku łona Moraya i połknęła tyle, ile mogła, czyli ponad połowę. Gdy zaczęła go ssać Moray zrozumiał, że Dory Murchison, którą on ocenił jako ekspertkę, przy cioci Beth była zwykłą amatorką. Ssała, lizała, głaskała i wszystko razem; jednocześnie wydawała z siebie namiętne jęki, cała się rzucała, jej ręce głaszały członka, jądra, pośladki, jeden z palców szperał w okolicach jego dziurki. Musiała mieć niezłe doświadczenie nasza ciocia Beth, ponieważ gdy tylko wyczuła, że Moray zbliża się do orgazmu, mocniej przycisnęła jeden z żołądździ i przestała ssać.

— Chcę, żebyś mnie zerznął, Moray! Chcę, żebyś wetknął tego fiuta w moją cipę, już nie wytrzymam dłużej! Nie, zostaw! Ty nie rób niczego, sama to zrobię! W okamgnieniu usiadła okrakiem na Morayu, palcami skierowała wielką fujarę Moraya w stronę czerwonego lasu i Moray poczuł, jak zagłębia się w jej pochwę, taką miłą wąską pochwę. Westchnął z przyjemności i wyprężył plecy. Członek wszedł na całą długość i wielkie mięsiste usta cioci Beth wykrzywiły się w grymasie.

— Aaaach! Moray! Ale masz wielkiego fiuta! Czuję go w samej głębi! Ooooch, ale jest wielki! Nie! Nie ruszaj się, ja to zrobię! Zaczekaj chwilę! Moray usłuchał jej, nie poruszył się. Ciotka Beth polizała swoją wargę, z zamkniętymi oczami, twarz przeszyta rozkoszą.

— Mmmmmh! Ooooch! Mmmmmh! — mrucała — Teraz ja! Nie ruszaj się Moray! Przechyliła się w jego stronę tak, że jej wielkie piersi znalazły się na wysokości jego ust. — Ssij mnie, Moray! Liź piersi twojej cioci Beth! I Moray ssał, lizał, podgryzał jej sutki twarde, jak pałeczki słodkiego ciasta. Ciocia poruszała się wolno, bardzo wolno, ale za to z wprawą. Opierając się o jego piersi podośiła się i opuszczała, wzdychała, mrucała, wywracając oczyma, pakując raz jedną, raz drugą pierś prosto w jego usta. Powoli Moray czuł wzrastającą przyjemność, była to stale wzrastająca przyjemność, członek wchodził i wychodził z mokrej pochwy, czasem dawało się usłyszeć mlaskanie i ciotkę Beth mówiącą:

— Czujesz, jaka jestem mokra? Och, jestem dziwką! Podoba mi się to! Jestem wielką dziwką i oddaję się swojemu bratankowi! Instynktownie Moray chwycił jej piersi.

— Tak Moray! Podoba mi się! Mocniej! Zostaw mi ślady! Moray silnie złapał jej pośladki i zaczął pompować jej uda. Udało mu się przetrwać początkowy szok i teraz ciocia Beth była po prostu kobietą... bardzo przypominała mu Hazel, była taką samą dziwką jak Hazel!

— Moray! Nie wytrzymam dłużej! Już zaraz! Moray, chwyć mnie za tyłek, wpakuj mi palec do tyłka, szybko! Od kiedy opuścił Forres i zdrowe stosunki seksualne tam panujące, Moray widział i wyprawiał w zasadzie wszystko. Ale żeby wpakować palec do tyłka, do ciała! To było nie do pomyślenia! W chwilę później dowiedział się, że nawet mu się to podoba, wyglądało na to, że degeneruje się z tą samą prędkością, z jaką samolot transportował go ze Szkocji do Nowego Jorku, uczył się szybko. Palec wskazujący lewej ręki odnalazł jej dziurkę i wszedł delikatnie do środka.

— Moray! Wpakuj mi go do środka! Szybko! — krzyczała ciocia Beth ujeżdżając jego członka jak szalona. Moray usłuchał jej i zrobił to bez większych ceregieli. Jego palec wszedł do środka na całą długość i zaczął nim penetrować wewnątrz. Prawą ręką silnie chwycił jedną z piersi i ścisnął ją mocno, aż do bólu. Nie zapomniał o wyginaniu pleców. Walił ją, aż do samego końca, aż do zagłębienia jąder po sam koniec.



— Jesteś świntuchem! Prawdziwym świntuchem! Rzniesz własną ciotkę! — krzyczała wywracając oczy. Osiągnęła orgazm złożony z okrzyków, przekleństw, ruchów trochę bez sensu, połączonych z poceniem się. Czegoś podobnego Moray nie zaobserwował u żadnej ze swoich partnerek. Był tym tak zaskoczony, że zapomniał o sobie i, gdy ciocia Beth opadła na niego, on nadal w niej trzymał swojego członka a palec w pupie, jego prawa ręka nadal trzymała jedną z jej piersi. Czuł, jak jej ciepłe soki spływają na niego, czuł, jak jej pochwa zaciska się spazmatycznie. Kawalek jego mózgu podpowiadał mu, żeby się w niej poruszać, spuścić się, inny jego fragment mówił mu, żeby oddać się dalszym szaleństwom, czemuś zupełnie nietypowemu... Mimo faktu, iż ciocia Beth była dużą kobietą i pełną ciała, bez wychodzenia z niej zarówno palcem jak i fiutem, udało mu się ją przewrócić i usadowić prosto na niej. Ciotka Beth wydała z siebie dziki odgłos.

— Och, Moray! Od jak dawna nie miałam takiego twardego członka!!! Proszę, spuść się i ty! Ale nie w środku!! Proszę cię... Nadal w niej siedział i tak, jak poprzednio Moray zaczął całować i ssać jej cycki i wiercić ją swoim palcem.

— Och, ty świntuchu! — westchnęła — Co ty wyprawiasz swojej cioci Beth... Milcząc (co też mógł odpowiedzieć?) Moray ruszał się powoli i działał na trzech frontach: językiem na piersiach i sutkach, palcem w wilgotnym i gorącym otworze, członkiem do góry i do dołu w pochwie wydającej niezłe

dźwięki. Przyszła mu ochota, by popatrzeć na to co robił, przesunął się więc na bok i ujrzał, jak jego członek wchodzi i wychodzi, ujrzał białą obręcz utworzoną przez pianę zbierającą się wokół wejścia do cipy cioci Beth. Kontynuował swoją pracę ogromnie podniecony i zafascynowany tym, co się dzieje i co widzi.

— Moray! Oooooch, Moray! Spuść się, proszę cię.... inaczey znowu mnie najdzie ochota, a ty nie dasz sobie rady.... Och tak, rznij swoj cioci....Moray! Tak, dalej... Jeszcze si nie spuszcza... Oj, tak! Rznij mnie dalej.... Szybciej... Aaaach! Twarz cioci Beth w niczym nie przypomina jej normalnej twarzy, bya to twarz kobiety opanowanej przez ad. Opierajc si na boku Moray nadal ja rucha cieszc si widokiem wchodzcego i wychodzcego fiuta. Reka cioci Beth powdrowaa pomidzy rozwarte uda, jej palce pocieray wielk ponc lechtaczk, pocieray jego kutasa. Akcji towarzyszyy dzikie odgosy i krzyki. Ze swojej strony Moray porusza si i dziaa jakby opetany przez podniecenie, ktorego nigdy wczeniej nie dozna. Ciocia Beth, ktora zwikszaa przyjemnoc za pomoc palcw, oto kolejna nowoc! Przysza mu ochota na zmian pozycji, orgazm wydawa si nadal daleki. Jego miejsce zajaa ciekawoc. Przesta ja pompowac i bez wychodzenia na zewntrz zmieni pozycj i znalaz si znowu nad ni, ale tym razem bez kadzenia si na niej. Opierajc si na dloniach, wyprostowany jak atleta gapi si na wasnego kutasa, jak zagebia si w jej pochwie,

śledził jej wykrzywioną twarz, świadomy, że oto zbliża się kolejny orgazm.

— Moray! Moray!? Co ty wyprawiasz ze swoją ciocią Beth?!? Ooooch! Moray! Rznij mnie, proszę.... To już za chwilę...Rznij mnie! Moray był zafascynowany nowością. Po raz pierwszy od kiedy rozpoczął potyczki z drugą płcią, wcale mu się nie śpieszyło. Miał do dyspozycji doświadczoną kobietę i łóżko. Chwycił rękami jej białe uda i być może nie wyobraziłby sobie innej pozycji, gdyby ona sama mu tego nie zasugerowała podnosząc nogi do góry i zakładając je na jego ramiona. Tak! Podobało mu się! To było tak cholernie podniecające! Moray mocno trzymał jej uda i patrzył jak jego rzeźba penetruje ciocię Beth. Oczy słały do mózgu taką samą dawkę przyjemności, jak jego członek i dla niego ciocia Beth nie była w tej sytuacji niczym innym, jak tylko zwykłym przedmiotem przyjemności. Patrzył z dumą na własną fujarę. Była taka wielka, gruba i długa. Trochę zwolnił, ponieważ czuł jak nieuchronnie zbliża się....

— Mmmmmh! Och, Moray, ty świntuchu! Co ty mi robisz?! Ruchaj mnie, proszę cię!!! Chyba znowu się spuszcze, na twojego członka, na członka mojego bratanka!!! Aaaaaach! Ciotka Beth wypięła się, ocierając łono o członka i wydając z siebie okrzyki radości. W przeciwieństwie do niej Moray, który jeszcze chwilę wcześniej był bliski orgazmu, ponownie stał się zimnym obserwatorem rzeczywistości. Być może to wówczas zrozumiał, że mężczyzna w ten sposób może zapanować nad każdą kobietą.

Ograniczył się do tej obserwacji i nadal z przyjemnością pompował swoją ciocię.

— Nie! Moray! Wystarczy! Już nie mogę! Wyciągnij go! Chcę, żebyś się spuścił do moich ust! — błagała go ciotka Beth. Nie! Moray zdecydował, że nie wyciągnie. Ta ciepła i wilgotna siedziba za bardzo mu się podobała, podobała mu się ciotka Beth pokonana i błagająca o łaskę, podobały mu się jej wielkie piersi i pełne uda. Nie była już jego ciotką, ale dziwką, a on bawił się z nią równie dobrze co z Hazel i Dory, może jeszcze lepiej... Zadzwoił telefon...

— Och, nie!... Nie mogę odpowiedzieć.... — narzekała ciocia Beth

— Kogo licho niesie?!... Pozwól mi... muszę odebrać telefon... Wyciągnij go Moray...

Proszę cię, Moray! Morayowi przypomniał się Robert Dawley i ich spotkanie. Może to dzwoni Robert. Przestał. Telefon nadal dzwonił.

— Może to ten mój wczorajszy przyjaciel, ciociu Beth!

— Jaki twój przyjaciel, Moray? Och, Moray, nie mam ochoty odpowiadać...

— Ale to może ten mój przyjaciel... Ja odpowiem, okay? Dziwna rozmowa. On z twardym fiutem wetkniętym w jej głębie, kobieta całkowicie zaspokojona, nie chcąc pozbawić się tej małej przyjemności...

— Wyciągaj go... Odpowiem... — westchnęła ciocia zdając sobie sprawę, że telefon nadal dzwoni. Moray wycofał się, wyciągnął kutasa wyzwalając

soki z pochwy, które obficie popłynęły na zewnątrz... Naga, ciocia Beth poszła do korytarza.

— Tak, panie Dawley... Tak, mój bratanek jest tutaj... Tak, już jest prawie gotowy... Zaraz przyjdzie... Moray patrzył na ciocię Beth stojącą nago w drzwiach. Leżał na boku, jego członek dzielnie stał na baczność. Moray zaraz będzie gotowy.... Tak, to była prawda... Jeszcze chwilę, a wybuchną mu jądra....

— Moray... To był ten twój przyjaciel...

— Choć tutaj, ciociu Beth....

— Ty świnió! On jest nadal twardy!!!

— Chodź tu szybko, ciociu Beth!

— Co chcesz, żebym ci zrobiła? Moray wiedział to od dawna. Złapał ją gwałtownie. Chciał ją posiąść od tyłu. Złapał ją i powalił na łóżko, odwrócił i jednym ciosem wszedł w nią tak, jak to lubił. — Ty świnió! Nie lubię tego!—protestowała, ale Moray właśnie ją walił potężnymi ciosami, jego łono silnie uderzało o jej pośladki, wyskoczył w ostatniej chwili, jego krem wystrzelił na plecy zalewając ją i tworząc jeziorko spermy. Mrucząc sprośności wetknął członka pomiędzy pośladki i dokończył swojego dzieła.

— Moray, Moray!? Zapomnisz o tym wszystkim, prawda? — błagała go ciocia Beth idąc za nim do łazienki. — Ciociu Beth, możesz być spokojna...

— L... spróbujemy raz jeszcze?

— Ilekroć będziesz tego chciała...

— Robię to dla ciebie... jest tyle dziwek w okolicy... również, chorych, rozumiesz?

— Dziękuję ci ciociu Beth...

## Rozdział siódmy

Robert Dawley czekał na Moraya w taksówce. Moray absolutnie odmówił ubrania się w dżinsy i czerwoną koszulkę z poprzedniego dnia. Ubrał się tym razem tak, jak on tego chciał: w marynarkę i należycie odprasowane spodnie. Był bardzo zadowolony, że Robert jest ubrany w elegancki garnitur z angielskiej wełny. Szyku miał mu dodawać krawat z rodzowym herbem. Gdy ruszyli, Robert rozpoczął wywleknięcie wszystkich swoich intymnych problemów. Był zakochany po uszy w Lii i być może ona również, ale trzymała go w napięciu, co chwilę ogłaszała swoją kobiecą niezależność, a miała zwyczaj czynić to zwłaszcza w tych momentach, gdy on próbował się do niej zbliżyć. Robert nie mógł wytrzymać tego napięcia.

— Rozumiesz, razem się wychowywaliśmy i kocham ją od najmłodszych lat. Nasze pierwsze kroki w świecie seksu też stawialiśmy razem, nasze rodziny mają podobny majątek i myślę, że chętnie by nas ujrzały na ślubnym kobiercu. Mój ojciec nie widzi świata poza Lii, a jej ojciec również mnie lubi i stara

się wyrzeć na nią nacisk, by szybciej się zdecydowała. Ona twierdzi, że najpierw musi skończyć studia w Nowym Jorku, a tak naprawdę to jeszcze nie wie, czy małżeństwo jej nie wykończy...

— Gdybym był na twoim miejscu, to bym się trzymał twardo — zadeklarował przekonany Moray — Lii jest piękną kobietą i... nie wiem, jak to powiedzieć... fascynującą. Tak! To najlepsze słowo! Fascynująca! Nigdy wcześniej nie spotkałem takiej dziewczyny, ale ty Robert też jesteś niczego sobie i myślę, że ona zdaje sobie z tego sprawę.

— Ona jest dziwną dziewczyną, zupełnie inną niż pozostałe — westchnął Robert — Myślę, że powinienem ją zrozumieć. Na przykład teraz jest zafascynowana tobą. Mówi, że chciałaby mieć z tobą romans... i, że chciałaby kochać się z tobą w mojej obecności. No, i co o tym sądzisz?

Coooo?!? Że niby jak?!? Ale.... Robercie!

— Zrozum Moray, że obyczaje panujące w Nowym Jorku i w Stanach są odmienne niż te panujące w Highlands — pośpiesznie dodał Robert — Nie powinieneś osądzać Lii według kryteriów obowiązujących w Szkocji. Ona nie jest dziwką, wręcz przeciwnie!

— Do diabła! Wcale tego nie powiedziałem! — zaprotestował Moray — Tylko, że... Ja na twoim miejscu byłbym zazdrosny o nią....

— Ale ja byłbym zazdrosny o ciebie, gdyby ona cię kochała, a ona po prostu cię pożąda, kapujesz. Dowodem na to jest, że się z tym nie kryje. Mało tego. Chce, żebym był obecny.

— No dobrze, a co ty o tym sądzisz? — spytał Moray. Myśl o tym, że będzie mógł posiadać Lii nawet mu się podobała.

— Mnie to oczywiście odpowiada. Widzisz, ty nie jesteś zwykłym wielkim, silnym bufonem, którego dziewczyna wybiera, bo stanowi jakąś tam atrakcję seksualną. Jesteś miły, silny i bardzo elegancki w swoich zachowaniach. Bardzo mi się podobasz Moray i to nie tylko dlatego, że wczoraj przyszedłeś mi z pomocą i biłeś się u mojego boku. No właśnie, tak przy okazji... może miałbym dla ciebie pracę. Wczoraj mówiłeś mi, że twój wuj chciałby cię umieścić w rzeźni...

— Tak, to prawda. Mówi, że tam dobrze się zarabia, zwłaszcza pracą w nadgodzinach.

— Nie wyglądasz mi na osobę, która może przenosić na plecach półtusze.

— Nie mam z tym problemów. Myślę, że dam radę przenieść i całą krowę.

— Oj, tak. Wierzę ci. Chciałem tylko powiedzieć, że mógłbyś robić coś bardziej odpowiedniego, zarabiając przy tym tyle samo, a może nawet więcej.

— Wiesz, bardzo chciałbym być kelnerem—wyznał Moray. — Poważnie? — odparł Robert. Pogadamy o tym jeszcze przed moim wyjazdem. A jeśli chodzi o Lii, to zgadzasz się?

— Oczywiście, że tak! Jeśli Robert się zgadza, a Lii sobie tego życzy, to na pewno on nie będzie się sprzeciwiał! Taksówka zawiozła ich na piątą Avenue na Manhattanie. Wyszli na wysokości luksusowej restauracji. Lii czekała na nich siedząc na



wysokim stołku barowym, popijała Martini i zagryzała dużymi porcjami oliwek. Morayowi wydawała się jeszcze piękniejsza i bardziej pociągająca niż poprzedniego wieczoru. Jej puszyste włosy pięknie się układały wokół owalnej twarzy; miała wspaniałe czerwone, namiętne usta. Jeśli chodzi o resztę, to cóż... reszta podobałaby się każdemu, kto nosi spodnie. Długie nogi i uda wyraźnie wypełniające spódnicę opinającą jej biodra; stojące piersi i... oczy świdrujące Moraya tak, jakby usiłowały odczytać to, co ma w głębi duszy. Ponadto była znakomitym kompanem przy stole, dowcipna i miła, czyniła jakieś aluzje, ale starając się nie przesadzać. Zjedli obiad z apetytem. Robert powiedział Lii, że Moray zgodził się wypić małą whisky u niej w domu.

— Ale musi to być faktycznie mała whisky, jeśli nie chcesz się spóźnić na samolot! — uśmiechnęła się i Moray odczuł tak mile wypełniające się nogawki spodni. Co też wydarzy się u niej w domu? Lii Wadew była bogata i niezależna. Studiowała na uniwersytecie w Nowym Jorku i mieszkała w trzech pokojach przy Washington Square. Było to na tyłach uniwersytetu. Pojechali tam taksówką. Moray był zaskoczony ultranowoczesnym wyposażeniem, obrazami abstrakcjonistów, skórzanymi kompletami ustawionymi wzdłuż nieregularnych linii ścian.

— Chcesz zobaczyć widok z balkonu? — zapytała Lii. Zaprowadziła go do okna. Moray nie był przyzwyczajony do dużych wysokości. Ostrożnie wyjrzał. Pod nimi pędziły samochody, widać było

potężne budynki uniwersyteckie, niedaleko nich przeleciał helikopter. Morayowi zakręciło się w głowie, odskoczył od okna i znalazł się w objęciach Lii. Pocałowała go. Jej słodki język penetrował jego usta. Wzięła go za rękę i zaprowadziła na jedną z kanap. Usiedli. Robert bacznie ich obserwował.

— Kochanie! Nalej nam drinka. Dla mnie z dużą ilością lodu.

— Dla nas dwie szkockie, co Moray? Dlaczego nie? Niech będą dwie szkockie, pomyślał Moray. Czuł się trochę nieswojo na myśl o tym, co miało się wydarzyć, jednak chęć uczynienia tego przerastała wszelkie inne wrażenia. A widać to było po wybrzuszeniu...

Robert podał im picie. Nie usiadł z nimi. Wybrał sobie niski fotel naprzeciwko nich.

— Wiesz Lii? Moray mówił mi, że chciałby być kelnerem.

— Tak? A dlaczego właśnie kelnerem?

— Dlatego, że chodzi się zawsze w takim dobrym ubraniu, w marynarce i krawacie. Ponadto dlatego, że lubię się opiekować ludźmi, lubię patrzeć, gdy są zadowoleni...

— Co o tym sądzisz Lii?

— Że mógłby być idealnym kelnerem, jeśli odgaduję twoją myśl. Moray niczego nie rozumiał. Wcale mu się to nie podobało.

— Nie wiem. Zastanowię się i dam ci odpowiedź później. A co byś powiedział, gdybyśmy się trochę rozluźnili? Nie czekając na odpowiedź Lii wstała i skierowała się do sąsiedniego pokoju, w którym

zniknęła. Uśmiechając się pod nosem Robert zdjął marynarkę i poprosił Moraya o to samo. — Gdy wejdzie musimy być nago... Już to z nią uzgodniłem.... Pośpiesz się.... Moray wahał się. Obawiał się podstępu albo strasznego dowcipu. Ale patrząc na prędkość, z jaką rozbierał się Robert, jego wątpliwości zniknęły i poszedł w jego ślady. Przecież poprzedniego wieczoru Lii starała się go podniecić, a dzisiaj tak go pocałowała, że raczej nie powinien kryć się tu podstęp. Chwilę później stali tak, jak ich stworzył Pan Bóg. Robert zobaczył członka Moraya i gwizdnął z zachwytu.

— Ale masz pałę, Moray.... Możesz mi wierzyć przyjacielu...

— Robert.... Czuję się idiotycznie... Jak się mam zachowywać?

— Nie martw się tym. Lii pomyśli o tym, żebyś się czuł dobrze. Robert nie skończył tego mówić, gdy w drzwiach stanęła Lii. Była nago, a jej kształty były wszelkie inne kobiece kształty, jakie do tej pory widział. Oczy Moraya spoczęły na jej przyrodzeniu. Było ono pokryte rzadkimi włoskami. Fajara Moraya stanęła na baczność. Była twarda, wielka żołądź oznajmiała wielką ochotę...

— Mówiłam ci Robert, że Moray ma wielkiego kutasa! Mówiłam ci, że czułam to podczas tańca, ale szczerze powiedziawszy, to nie sądziłam, że może być taki duży... Moray pragnął zapaść się pod ziemię, schować członka; potwornie się wstydził, zwłaszcza obecnością Roberta, ale gdy zerknął w stronę przyjaciela, zobaczył go masturbującego

się i patrzącego w stronę Lii. Jego fujara była twarda i duża.

— To mi się podoba — westchnęła Lii siadając na kanapie i spoglądając na Roberta —  
Lubię widzieć dwa twarde kutasy, dwóch podnieconych mężczyzn. Wiesz Robert? Myślę,  
że bardziej cię kocham, gdy widzę cię tak tolerancyjnego... Pożadasz mnie, prawda?

— Do szaleństwa! — wykrzyknął Robert — Lii! Zrobiłbym dla ciebie wszystko! Ale  
wiesz... — Tak, wiem o tym! Ale lubię mieć tę pewność... Będziesz na nas patrzył  
Robercie? Czy będziesz patrzył na to, co będziemy robić z Morayem i będziesz umierał z  
żądzy?

— Tak! Już teraz umieram z żądzy, kochanie najdroższe! Głos Roberta był przepelniony  
chucią i Moray mógł zrozumieć jego położenie, ale nie mógł pojąć treści rozmowy  
pomiędzy kochankami. Nie miał czasu się nad tym zastanowić, ponieważ w chwilę później  
Lii zwróciła się do niego z pytaniem:

— A ty, Moray? Pożadasz mnie?

— A co? Nie widać? — odburknął. Nie bardzo mu się podobała droga, którą szła ich  
trójka. Do licha! Po co tyle dyskusji? Lii wykrzywiła uśmiech w diaboliczny sposób.

— Moray! Nasz chłopak! Oczywiście, że widać. I to widać bardzo dobrze! Moray? Co  
chciałbyś mi teraz zrobić?

— Co chciałbym ci zrobić? — odbił pałeczkę Moray.

— Znakomicie. Tak masz się zachowywać. Sprawdzimy cię jeszcze w praktyce, ale nastawienie masz właściwe...

— Ja też tak myślę... — powiedział Robert. Nadal się masturbował. Jego fujara była coraz większa i bardziej czerwona.

— Chyba nie masz zamiaru tak się spuścić? Chyba nie masz zamiaru wylać na ziemię twojego cennego nektaru... Co chciałbyś mi zrobić Robercie? Rozmawiali między sobą. Sprawiali wrażenie osób prowadzących dawno rozpoczętą rozmowę. Moray patrzył na nich zauroczony. Pomiedzy tym dwojgiem wyczuwało się silne napięcie, silny związek dla niego niepojęty; odnosił delikatne wrażenie, że usiłują się nim posłużyć, ale do diabła z tym wszystkim! Co go to obchodziło?

— Co chciałbym ci zrobić? Chciałbym ci go wsadzić w tyłek! Chciałbym wyruchać ci tyłek i sprawić ci ból! A potem chciałbym cię całować i lizać tam, gdzie zrobiłem ci krzywdę. A potem wsadzić ci go z powrotem, rozwalić ci go, wypełnić po brzegi moją spermą, ponieważ jesteś wielką dziwką! Głos Roberta podnosił się z każdym słowem, a ostatnie słowa zostały wypowiedziane krzykiem. Moray popatrzył na przyjaciela i zobaczył, że ma oczy wariata. Robert nadal walił konia pod czujnym spojrzeniem Lii, która w końcu rzekła:

— Ty się zaraz spuścisz! Chodź! Chcę zobaczyć, jak się spuszczasz i ile z siebie wyciśniesz! Chodź tu Robercie! Robert wystrzelił. Wył i krzyczał. Wylewał z siebie wielkie ilości spermy. Dalej się mastur-

bował, wygadywał jakieś sprośności, w większości niezrozumiałe.

— Jesteś świnką... Wielką świnką... Spuściłeś się i teraz będzie ci zwisał i nie będziesz mógł się masturbować, gdy ja z Morayem będziemy robili różne rzeczy.... Chcesz zobaczyć, co będę robiła z Morayem? Chcesz zobaczyć na co mu pozwolę?

— Tak! Tak! Chcę zobaczyć! Nie będzie mi zwisał, nie! Lii, jesteś wielką dziwką! Tak! Jesteś prawdziwą burdelową dziwką! — krzyczał Robert. Dalej się masturbował. Z ręki ściekała biała ciecz. Brudziła dywan. Moray był zaszokowany, ale... Teraz Lii miała go... Jej ręka głaskała jego fiuta. Moray westchnął, ale Lii patrzyła tylko na Roberta.

— Teraz mu go wymasuję, później będę go ssła i będę go lizała... Dlatego, że jestem dziwką... Powiedz mi, że jestem dziwką!

— Ty dziwko! Ty kurwo! — krzyczał Robert waląc konia niezwykłą prędkością. Ręka Lii pieściła Moraya, ale jej oczy nadal spoglądały w kierunku Roberta.

— Nie wsadzisz mi go do tyłka, Robercie... Dlatego, że zrobi to kto inny. I będziesz na to patrzył, gdy on będzie się spuszczał. A ty nie będziesz miał nawet siły, żeby raz jeszcze walić konia. Tak, nie będziesz tego robić...

— A właśnie, że dam radę ty dziwko! Jeszcze ci rozwalę tyłek, zobaczysz! — krzyczał, jak opętany. Gdyby nie ta ręka, która go pieściła, gdyby nie te palce, które przemykając po jego skórze stwarzały napięcie pomiędzy nimi, to miałby dosyć, wstałby

i posłałby ich do wszystkich diabłów, Lii za to, że traktowała w ten sposób mężczyznę, którego kochała. Ale jej ręka, jej palce były, jak potężny magnes i Moray stał, jak wryty i patrząc na tę nieodgadnioną i absurdalną walkę nerwów, ten dziwny związek pomiędzy Lii a Robertem...i chciał, ażeby pieśczoła ta nadal trwała, mimo że to tylko ręka Lii się nim zajmowała, gdy tymczasem cała jej uwaga była skoncentrowana na Robertcie.

— Robertcie! Popatrz co będę robiła Morayowi i to na twoich oczach! Co za kurwa!

Pomyślał Moray. Miękkie usta Lii odnalazły jego usta, jej język znalazł się w jego ustach, jej twarde piersi napierały na niego, jej ręka na przemian chwytiała w mocnym uścisku jego kutasa, a to go pompowała, a w to jeździła po nim wolno i z wprawą. Ależ uczną była praca jej języka! Moray czuł, jak napięcie ogarnia całe jego ciało, czuł jej twarde sutki na własnym ciele, na każdym centymetrze fiuta odczuwał jej palce, na plecach jej włosy, wdychał zapach jej perfum aż do omdlenia. Powiedziała mu:

— Podobasz mi się, Moray. Będzie ci tak dobrze, jak jeszcze ci nigdy nie było... Zrobimy to na oczach Roberta.... Na oczach Roberta, który się właśnie masturbuje... Nie patrzę na niego, ale wiem o tym... W tej samej chwili Moray zmienił opinię nad temat jej moralności. Tak na prawdę nic go to nie obchodziło. Tak samo go nie obchodziło, że Robert się masturbuje. Był całkowicie podporządkowany Lii. Nawet nie zwrócił uwagi na to, że role się odwróciły: to zawsze on dominował nad kobietami,

tym razem spadł do biernej roli. Nagle Lii odczepiła się od niego, popatrzyła na Roberta, który czerwony na twarzy nadal walił konia. Krzyknęła do niego:

— Popatrz, jak będę ssła fiuta Moraya! Wezmę go całego do buzi, wezmę całego fiuta Moraya! Jest ładniejszy od twojego! Jest twardszy! Jest grubszy! Chcę, żeby mi się spuścił do buzi! Wypiję całą jego spernę, do ostatniej kropli, ponieważ jestem dziwką!

— Tak! Jesteś dziwką! Parszywą dziwką! I wszystkim walisz konie! Moray nie był w stanie wydawać jakichkolwiek opinii czy osądu, pragnął jedynie, żeby Lii wzięła go do ust....

— A potem mi go wsadzi do tyłka, a ty będziesz na to patrzył! krzyczała Lii. Schyliła się, jej usta zagarnęły fioletową żołądz. Jej śliski język obmywał mu fiuta, ślinił; lizała go z ogromną wprawą, raz szybko raz wolno, czasem dawała mu uderzenia językiem. Czasem jej mięsiste usta połykały całego członka i ssaly go mocno. Moray trzymał jedną rękę na jej głowie, drugą zaciśniętą w pięść opierał na kanapie, jakby chcąc jej pozostawić całą inicjatywę, jakby to, co robiła, było absolutnie wystarczające. Jego członek drżał, ilekroć go brała do ust, był bliski wybuchu. Nagle cofnęła się, oparła się rękami o uda Moraya. Patrząc na niego z dołu powiedziała:

— Jeśli będziesz chciał się spuścić, cofnij się! Chcę, żebyś mi się spuścił na twarz! — krzyczała podniecona.



— Jesteś dziwką! Wielką dziwką! — darł się Robert. Moray nawet go nie usłyszał, ponieważ Lii ponownie zaczęła ssać jego członka. Robiła to tak, jakby usiłowała go najpierw odkręcić, a potem zakręcić. Tak, jesteś dziwką! Podłą dziwką! Jeśli chcesz, żebym ci się spuścił na twarz, to zrobię to! Tak zrobię to, pomyślał Moray. W ostatniej chwili wyciągnął fiuta z jej ust. Orgazm dopadł go niespodziewanie, był gwałtowny, obfity, jak nigdy. Dosłownie wyrwał członka z jej ust, w całym domu rozszedł się dźwięk, jakby otwieranej butelki wina musującego. Wytrysk spermy uderzył kilkakrotnie w piękną twarz Lii zamieniając ją w ciekącą maskę deprawacji. Stał nieprzytomny od doznawanej przyjemności, ujrzał jej oczy zadowolone tak, jakby i ona osiągnęła orgazm. Twarz Lii była zniekształcona, każdy wytrysk klejącej się cieczy lądował na jej ustach, na czole, na policzkach. Oczy miała zamknięte, usta na wpół otwarte, czekała na więcej i więcej... Wzięła jego fiuta w palce i zacisnęła je. Odwróciła się w stronę Roberta, który stał jakby zamieniony w kamień. Ręka trzymała sztywnego członka gotowego do wystrzału.

— Popatrz Robercie, co mi zrobił Moray! Zobacz, ile spermy! Chodź tutaj Robercie! Chodź tu szybko! Moray stał oparty o kanapę, biernie przypatrywał się rozgrywającej się scenie.

— Chcesz, żebym ci go wzięła do ust? Chcesz? Poczekaj wobec tego... Jednym zręcznym ruchem Lii usiadła na członku Moraya, wsadziła go sobie do pochwy i Moray odniósł wrażenie, że wchodzi do

środku prawie na siłę i że wejście do środka w ogóle nie byłoby możliwe, gdyby ona była troszeczkę mniej wilgotna. W końcu jej pośladki usadowiły się wygodnie na jego udach.

Wzięła do ust członka Roberta, który stał przed nią. Moray usłyszał jego głos:

— Tak, kochanie! Właśnie tak! Ooooch! Kochanie, spuszcza się! Lii! Kocham cię! Ssij wszystko, wszystko do ostatniej kropli! Odpowiedziała mu pomrukiem, w tym samym czasie zaczęła poruszać się na członku Moraya. Moray czuł, że jego kutas jest jeszcze wystarczająco twardy, czuł, jak obciera się o zaciskającą i drżącą. Jego ręce zacisnęły się na jej biodrach. Usłyszał, jak przeżywa orgazm, usłyszał krzyki Roberta, który osiągnął kolejną falę przyjemności. Nigdy by nie pomyślał, że tak szybko osiągnie drugi orgazm, może był on prędzej kon-tynuacją pierwszego. Wytrysk jego spermy wypełnił wnętrze Lii, która nadal przeżywała orgazm. Powstrzymał z ledwością Lii, która upadła na niego popchnięta przez oszalałego Roberta. Upadli wszyscy troje na kanapę, Moray leżał na samym spodzie, jej włosy wchodziły mu do ust i do nosa...

Siedzieli w trójkę na przednim siedzeniu samochodu Lii. Prowadziła ona. Jechali w kierunku lądowiska helikopterów.

— Nie jestem do końca przekonany, czy dobrze załapałeś całą sytuację — powiedział Robert zapalając papierosa — Ale Lii twierdzi, że jesteś inteligentny i ja też w to wierzę. Kocham Lii i chcę ją poślubić. Ona... ona, myślę, że też mnie kocha, ale

ma wątpliwości, czy się wiązać. Lii popraw mnie, jeśli się mylę....

— Jest tak, jak mówisz... Mów dalej...

— To jest sprawa pomiędzy nami, mimo że byłeś.... nam bardzo potrzebny, w pewnym sensie...

— Przejdź do konkretów, kochanie! — przerwała mu Lii — Nasze osobiste układy nie powinny go interesować ponad to, co dotyczy jego osoby. Może ja mu coś o tym wspomnę w drodze powrotnej.

— Chcesz spotykać się z Morayem, gdy mnie nie będzie?

— Nie — brzmiała sucha odpowiedź Lii — Nie interesuje mnie stosunek ani z nim, ani z innymi, jeśli ciebie przy tym nie ma.

— Okay! — odrzekł Robert. Dało się usłyszeć nutę ulgi w jego głosie — Jeśli chodzi o ciebie Moray, to sądzę, że znajdę ci właściwą pracę, idealną, jak na twoje potrzeby i oczekiwania. Czy będzie ci bardzo przykro, jeśli będziesz musiał opuścić swoich krewnych i Nowy Jork?

— To zależy. Przyjechałem tutaj, żeby zarobić pieniądze i żeby wykonywać w miarę interesującą pracę.

— Jak praca kelnera? — uśmiechnęła się.

— Dokładnie — odpowiedział Moray.

— W porządku. Myślę, że mam dla ciebie coś odpowiedniego i nie sądzę, że zarobisz mniej niż przy przenoszeniu półtuszy. Napiszę do ciebie.

## Rozdział ósmy

Haki, na których wisiały zmrożone półtusze podwieszane były do szyn biegnących pod sufitem. Prędkość ich była duża. Czasem za duża. Był to ostatni etap automatyzacji w rzeźni w dzielnicy Bronx w Nowym Jorku. Dalej musieli już działać ludzie. Ich zadaniem był załadunek tuszy na samochód odbiorcy. A żeby dobrze to wykonać, potrzebna była znaczna siła, a bez wprawy zadanie to było niemożliwe do wykonania. Czarnuch złapał swój kawałek we właściwym momencie, ale wystarczył jeden nieostrożny ruch ciała i o mały włos byłby się przewrócił.

— Moray! Pomóż mu! — krzyknął nadzorca. Podbiegł do niego błyskawicznie, odebrał mu z pleców ciężar i odszedł w kierunku betonowej rampy, przy której był zaparkowany samochód-chłodnia.

— Dzięki ci, Scotch... Do licha! Dlaczego nie wyrabiam? — narzekał czarnuch. Moray wiedział, że ma młodą żonę i dwójkę małych dzieci, które musi utrzymywać, ale wiedział również, że straci on niechybnie swoje miejsce pracy. W rzeźni nikt nie

miął względów dla rodzin pracowników. Było mu przykro ze względu na czarnego, jednak w ciągu dwóch miesięcy pracy nauczył się dbać wyłącznie o własne sprawy, a wuj Thomas podtrzymywał go w tym zachowaniu. Wuj Thomas był dumny ze swojego siostrzeńca. Kobieca twarz, grzeczne maniery Moraya wprowadziły w błąd prawie wszystkich. Moray szybko zademonstrował, z kim mają do czynienia. Brał całą tuszę na plecy, pomagał słabszym i wyrobił swoją markę w niecały tydzień. Teraz wszyscy go szanowali i mówiło się, sobie że Moray obejmie posadę nadzorcy. Moray zawsze się zgłaszał na ochotnika, i to w dodatku jako pierwszy, ilekroć potrzebna była para mocnych rąk do pracy w nadgodzinach czy w nocy czy w niedzielę. Wszyscy mu zazdrościli, ponieważ przyszedł jako ostatni, a zarabiał z nich wszystkich najwięcej, nigdy się nie męczył, był zawsze uśmiechnięty, ciągle ta sama kobieca twarz, oczy w kolorze turkusów, za którymi szalały dziewczyny. Trzy razy w tygodniu znajdował czas, żeby wyjść z Ruth, z Royem i Maisie. Z Maisie robili ciągle te same rzeczy. Z Ruth te same gesty co pierwszego wieczoru. Nigdy się nie posunęli dalej. Maisie zakochała się w nim bez reszty. Ruth po cichu i w tajemnicy przed wszystkimi opłakiwała fakt, że Moray jest jej kuzynem. Gdyby było inaczej, na pewno by pozwoliła, żeby ją rozdziewiczył. Oczywiście, w krotce potem zgodziłaby się wyjść za niego. Jediną osobą, która musiała się obejść bez niego była ciocia Beth. Potwornie cierpiała, mogłaby się z nim kochać w niedzielę pod

nieobecność wuja Thomasa i Ruth, którzy wychodzili na ostatnią mszę do kościoła, ale akurat we wszystkie niedzielne ranki Moray pracował. Pracował na siebie, pracował na dobrą szkocką opinię wuja Thomasa, który go tam zatrudnił i pracował dla ciotki Abigail, której wysłał już pięćdziesiąt funtów. Nie napisał ani linijki do Geraldine i mimo swojej obietnicy nie wysłał również kątki do Hazel. Pracował i odkładał dolary (w banku wymieniał je na funty — była to bowiem jedyna waluta, którą uznawał). Pracował i wyrzucał fontanny spermy na twarz Ruth i ręce Maisie. Nauczył się, że nie można posunąć się za daleko z Maisie, ponieważ gdyby ją rozdziwił byłaby gotowa wysunąć wobec niego jakieś roszczenia. Pracował i czekał na list od Roberta Dawleya. Na list, który nie chciał nadejść. Lii Wade nie spotkał od dnia, w którym po odprowadzeniu Roberta na lądowisko helikopterów, wysadziła go przy stacji metra jadącego na Bronx. Niczego mu nie wyjaśniła co do dziwnych stosunków łączących ją z Robertem. Mało tego. Milczała przez całą drogę. Zostawiając go na stacji ograniczyła się do zwykłego pożegnania. List od Roberta nadszedł w którąś z sobót. Ciotka Beth, która wyjęła list ze skrzynki nie oddała go od razu Moray owi. Uznała, że skoro następnego dnia będzie on mógł odpocząć, to nie ma co go teraz przekazywać. Rozwiązanie okazało się trafne. W niedzielę około w pół do dziewiątej wuj Thomas pojechał do Queens. O dziewiątej Ruth wyszła na mszę. O godzinie w pół do jedenastej ciocia Beth

wróciła do domu i zobaczyła Moraya zapadniętego w głęboki sen. Podeszła do niego z tacą pełną pysznych francuskich rogalików. Stała nad łóżkiem i szybko obliczyła, ile ma czasu dla siebie: Thomas wróci około południa wzięwszy pod uwagę fakt, iż zapewne pójdzie z kolegami na kilka piw do baru. Ruth natomiast miała jeszcze odwiedzić rodziców Roya. Wobec tego zostało jej kilka godzin i przez ten czas mogła wypróbować z Morayem wiele interesujących pozycji. Wróciła do kuchni po dzbanek kawy i francuskie rogaliki ułożyła je na tacy i powróciła do pokoju. Usiadła na brzegu łóżka. Delikatnie ściągnęła prześcieradło. Moray śnił akurat o swojej ostatniej randce z Ruth (ciocia na szczęście o tym nic nie wiedziała), podczas której o mały włos sama się nie rozdziewiczyła manewrując kutasem Moraya. Jego fiut stał odznaczając się wyraźnie na białym tle i ciocia Beth dłuższą chwilę mu się przyglądała. Był to rzeczywiście kawał wielkiej pały. Ciocia Beth oblizwała usta, z jej szparki zaczęły płynąć soki. W pierwszej chwili chciała obudzić go i podać mu śniadanie, ale zaraz odstawiła je i pomyślała, że może ono jeszcze chwilę poczekać. Z oczami wpatrzonymi w pałę tak, jakby jej wzrok miał utrzymać erekcję zaczęła się rozbierać. Miała ładne ciało, twarde, duże piersi, które z przyjemnością popieściła zanim schyliła się nad leżącym na łóżku Morayem. Otworzyła usta i koniuszkiem języka delikatnie go posmakowała. Moray nadal śpiąc westchnął z przyjemności Ciotka Beth chwyciła jego kutasa i zaczęła go regularnie

ssać. Moray wymamrotał coś pod nosem, otworzył oczy i natychmiast zorientował się w sytuacji. Jego ręka powędrowała niżej, chcąc leniwie pogłaskać jej czerwone włosy. Ciotka mruczała na znak zadowolenia. Chwilę później, nie przerywając swojego dotychczasowego zajęcia ciocia Beth zaczęła przesuwając się w bok, jak rak. Moray nie rozumiał jej intencji. Pojął to, gdy po wykonaniu całego obrotu wokół pały położyła się na nim, ale z twarzą przy jego nogach. Udami zacisnęła delikatnie jego twarz dając mu tym samym znak. Moray nauczył się jadać kobiety od Ruth i zaczynało mu się to podobać. Wyciągnął język i zaczął szperać nim w czerwonym lesie. Jej ciało było mokre od soków. Skomlenie, które usłyszał było aprobatą dla sposobu w jaki wykorzystywał swój język. Trzeba było przyznać, że językiem i ustami ciocia Beth potrafiła posługiwać się znakomicie. Zaczął ją lizać. Palcami rozwarł jej cipkę. Jednym z palców drażnił dziurkę pupy. Przypomniawszy sobie ich pierwszą potyczkę i to, że sama mu sugerowała, a właściwie rozkazała, żeby wsadził jej palec do pupy. Spróbował tego raz jeszcze, nie zapominając o lizaniu.

— Ooooh, tak! Moray, proszę cię, ruchaj mnie w pupę! — krzyknęła wypuszczając z ust obślinionego członka. Moraya nie trzeba było długo przekonywać. Lizając cipkę całą powierzchnią języka zaczął pracować palcem, wpychając go na całą długość i wyciągając go, ciesząc się widokiem czerwonego otworu. Ciotkę Beth ogarnęła furia, ssała na całego, wierciła się, starała się wbić cipkę



w jego twarz, zaciskała i luzowała uścisk pośladków. Moray odczuł, że się cała poci i pomyślał, że zbliża się do orgazmu. Podwoił prędkość pracy zarówno palca, jak i języka. Ciocia Beth przestała więc ssać, a skoncentrowała się na wykrzykiwaniu sprośności. Orgazm nadciągał nieubłagany. — Aa-aach! Niewytrzymam! Dość! Wykończysz mnie tym jęzorem! Teraz! Tak teraz! Spuszczam się! Tobie! Na twoją twarz! Jak dziwka! Zaczęła się rzucać, chciała mu uciec, ale Moray złapał ją za uda i bez żadnego miłosierdzia wpychał jej palec na całą długość, językiem pracował pełną parą, aż poczuł, że ciotka Beth opada na niego pozbawiona sił. Puścił ją, ale ciotka Beth leżała na nim, jakby martwa. Moray wygrzebał się z pod niej i musiał użyć siły, by ułożyć ją na plecach.

— Och, Moray! Biedaku... Ty jeszcze się nie spuściłeś... Daj mi trochę czasu.... Muszę odsapnąć.... Moray gapił się na nią. Był niezdecydowany, co jej zrobić. Usiadł na niej okrakiem, wsadził kutasa pomiędzy piersi i patrzył, jak toruje sobie drogę pomiędzy tymi dwoma pulchnymi kawałkami ciała. Nie był to jednak dobry pomysł. Przestał, zszedł z niej, chwycił ją i odwrócił.

— Och, Moray! Chcesz mnie wyruchać od tyłu? Patrzył na jej czerwony otwór. Wpakował do niego palec. — Ty świnió! Co ty wyprawiasz? — mruzczała ciotka Beth — Poczekaj chwilę, dobrze? Moray nie miał zamiaru czekać. Pchnął kutasa w stronę jej pośladków, żołądźką głaskał jej mokrą cipkę.

— Mmmmh! Moray, ale masz wielkiego kutasa! Czuję.... czuję, że chcę go... Myślałam, że nie żyję, ale... Och, Moray! Daj mi go, wsadź mi go do środka! Niespodziewanie wróciły jej wszystkie siły, a wraz z nimi chuć. Tak manewrowała swoim ciałem, że oddała mu się na pieska. Jej pośladki były skierowane w jego stronę. Moray pchnął fiuta w pochwę, aż do samego końca.

— Oooooch, Moray! Mam go w gardle! Rznij mnie, kochanie! Zerznij mnie z całych sił! Moray nie ruszył się. Rozszerzył jej pośladki i trzymając członka w pochwie wsadził jej palec do odbytu. W ten sposób przetrząsał ją, a ona darła się podniecając go do szaleństwa.

— Moray, ty świntuchu! Lubię to... Lubię to! Oooch, Moray! Powiedz mi, że jestem dziwką! Moray, powiedz mi to!

— Jesteś wielką dziwą! Nadal wwiercał się w nią palcem. Fascynował go ten ruch. Myślał, czy nie udałoby mu się wepchnąć do środka kutasa.... Raczej nie, był zbyt wielki! Chociaż z Hazel udała się ta sztuczka i może również z ciocią Beth mogło się to udać...

— Och, Moray! Ruchaj mnie! Ruszaj tym swoim wielkim kutasem w mojej cipie! Mam na to wielką ochotę! Ruchaj swoją ciocię Beth! Rznij ją! Szaląca. Wcieliła się w męską rolę, posuwała się do przodu i do tyłu na nieruchomym członku Moraya, ruszała biodrami. Moray poszedł jej śladem, ale czynił to wolniuteńko. Lubił patrzeć. Lubił obserwować palec, gdy penetruje odbyt, obserwować śliską fujarę

wchodzącą i wychodzącą z cipy. Lewą ręką ścisnął jedną z piersi, czasem słabiej, czasem mocniej, pieścił ją. Trzymał ją twardo w dłoni i nie zapominał ani na chwilę o tym, by poruszać się do przodu i do tyłu bacznie przypatrując się temu co wyprawia i to jeszcze bardziej go podniecało. Bardziej niż to co robił.

— Moray, powiedz mi, że lubisz ruchać swoją ciocię! Powiedz mi to! — darła się. Była coraz bliższa.

— Chciałbym ci go wsadzić do tyłka, ciociu Beth! — wymknęło się Morayowi.

— Och, tylko nie to! Rozwalisz mnie na pół! Jest za duży! Na razie ruchaj mnie tak jak teraz, Moray! Mów mi świństwa, wszystkie, które znasz... Później, jeśli mi nic nie zrobisz... Jeśli mnie nie rozwalisz... Powiedz mi, że podoba ci się tyłek twojej ciotki Beth! Powiedz mi to Moray!

— Tak! Podoba mi się! Bardzo! Chciałbym ci go wsadzić!

— Mów mi świństwa, szybko!

— Jesteś dziwą! — krzyknął Moray — Jesteś wstrętną dziwką, ciociu Beth i chcę ci się spuścić do tyłka ciociu Beth! I chcę, żebyś mi go ssała! Chcę, żebyś mi ssała fujare!

— Taaak! Taaaak! Jestem dziwką! Zerzniesz mi tyłek i spuścisz się do środka, a potem będę ci go ssała! Tak! Tak!

— Lubisz to, bo jesteś dziwką, kurwą, która lubi brać do tyłka! krzyczał w podnieceniu Moray. Zaczął ją silnie pompować, a ona swoim tyłkiem odpowiadała mu cios za ciosem.

— Chcę, żebyś spuściła się na mojego kutasa! — wbijał się w nią coraz silniej, mocno ściskając piersi, nie zapominając o palcu tkwiącym w pupie. Jego łono odbijało się od jej tyłka, były to ciosy, które odznaczały się czerwonymi śladami na białej i delikatnej skórze ciotki Beth. Podobało jej się to. Była blisko orgazmu. Wy krzyknęła to głośno tuż przedtem:

— Tu już teraz! A ty trzymasz we mnie swojego kutasa! Aaaaach!

— Tak, dziwko! Spuszczaj się! — warczał przez nos Moray. Nie pozwolił jej nawet na to, by przeżyła ten orgazm, jak należy. Wyciągnął kutasa i skierował go w stronę jej odbytu. Zatkano jej dech po tym, jak Moray nie troszcząc się o nic wepchnął w nią swoją pałę. Wydawało się jej, że zostanie rozdarta na pół, gdy Moray wbijał się w nią bez szacunku dla niej, zaciskając zęby i starając się jedynie zaspokoić swoją zwierzęcą żądzę.

— Dobrze! Teraz masz go całego w tyłku, ciociu Beth! — krzyknął Rozwałę cię! Spuszczę ci się do środka! Tak! Aaaaach! Był tak podniecony, że spuścił się prawie natychmiast, udało mu się wykonać zaledwie dwa, czy trzy ruchy i fontanna trysnęła obficie. Wściekły wyciągnął go na zewnątrz, ściekały z niego resztki spermy. Usiadł na niej okrakiem, fujare podtykając prosto pod usta. Z jej oczu płynęły łzy.

— Ssij go, dziwko! — krzyknął. Czuł, że nie jest jeszcze usatysfakcjonowany, chciał się jeszcze bawić, chciał jej się spuścić do ust. Ciotka Beth ssiała,

spowita bólami po ataku Moraya, po jego brutalnym zachowaniu.

— Ssij go dziwko! Chcę ci się spuścić do ust! Ssij wszystko!

— Uuuuum! Mmmmmmmh!! Ciotka Beth ssała i mruczała, płakała i ssała.

— Jesteś wielką dziwką! Ssiesz kutasa, który przed chwilą rozwalił ci tyłek, ty wstrętna dziwko! Ciotka Beth w miarę ssania zaczynała odzyskiwać siły. Chwyliła fiuta u jego nasady i zaczęła walić konia, lizała go i ssała żołądź. Mruczała mając pełne usta, czuła, jak jej pochwa powoli wypełnia się sokami.

— Ssij go! Dobrze! Weź go do ust całego! Jeszcze! Ooooch! Spuszczam się! Połknij wszystko.... Tak! Połknij wszystko dziwko! Ooooch! Aaa-ach! Moray spuścił się mruczając coś pod nosem, ciotka Beth nadal go ssała i połykała to wszystko, co był w stanie wyprodukować. Z kącików ust płynęła biała sperma. W ostatnim akcie Moray wbił się aż po same gardło. Wyskoczył na zewnątrz. Ciotka Beth przygryzła wargę. Patrzyła na stojącego kutasa, ociekał spermą. Wyglądał wręcz niewiarygodnie. Znowu poczuła, jak płonie. Znowu zapragnęła mieć w sobie jego pałę. Jęczała. Moray zobaczył, jak rozkracza nogi i jak jej palce wędrują w dół prosto do cipy.

— Powiedz mi, że jestem dziwką, Moray! Patrz co robię! Ooooch! To znowu wraca! Moray, jak natchniony patrzył na palce ciotki Beth. Obcierała palcami rozpaloną łechtaczkę, wsadziła dwa palce

do środka, jęczała, wzdychała, piszczała. Wszystko to na oczach siostrzeńca.

- Oooch, Moray! On tobie nadal stoi! Wsadź mi go, chociaż na trochę.... Daj mi go troszkę.... Chociaż trochę! Moray chwycił penisa masturbując się na oczach rozochoczonej ciotki Beth.

— Masz się dotykać, rozumiesz? — rozkazał jej. Pochylił się nad nią.

— Tak! Tak! Wsadź mi go do środka! — krzyknęła. Moray zrobił to. Jego fiut był nadal twardy i nabrzmiały, wolno nim ruszał. Czuł, jak jej palce szybko się poruszają i obcierają o jego członka. Czuł je na wysokości łechtaczki.

— Moray! To znowu wraca! Jestem dziwką!

— Jesteś wielką kurwą! Tak! — darł się Moray nie przerywając ani na chwilę. Do przodu i do tyłu, jego wielka fujara była niewyczerpana. Pomyślał, że spuści się po raz trzeci. Było tak podniecające móc patrzeć na ciotkę Beth, jak pieści się w ten sposób, a on ją wali.

Wokół fujary utworzył się biały pierścień piany. Ciotka Beth miała wywrócone oczy. Zęby wbite w dolną wargę, twarz wykrzywioną przeżywanym orgazmem.

— Kurwo! Lubisz mojego fiuta! — krzyczał Moray wbijając się głębiej. Czuł, jak jej palce szaleją na łechtaczce, jak muskają jego kutasa. Wiedział, że uda im się osiągnąć orgazm jednocześnie.

— Rznij mnie Moray! Rznij swoją ciocię! — krzyczała, jej głos niknął w oddali. Moray złapał ją za piersi, walił ją, gdy ona drżała spowita kolejnym orgazmem. Moray wyciągnął fujarę.

Patrzył z zadowoleniem na tryskającą spermę pokrywającą ciocię Beth od podbródka po włosy na łonie. Wylał kutasa o czerwony pas, wycisnął ostatnią kroplę rozkoszy.

— Och, Moray! Co zrobiliśmy?! A pomyśleć, że chciałam ci podać kawę... Pewnie będzie zimna...

— To nie ma znaczenia, ciociu Beth — mówił Moray kładąc się obok niej. Pogłaskał jej nogę. — Było mi bardzo dobrze, wiesz?

— Cieszę się kochanie — westchnęła — Nie chciałabym, żebyś wpadł z jakąś babą... Masz mnie....

W czasie obiadu ciocia Beth przypomniała sobie o liście, który nadszedł poprzedniego dnia. Przyniosła go, a Moray odczytał na głos. Jego autorem był Robert Dawley i zawierał ofertę pracy. Chodziło zresztą o ulubioną pracę Moraya: miał zostać lokajem w domu Dawleyów, The Pines, w Stanton w stanie Północna Dakota. Oprócz pieniędzy, które były bardzo podobne do tych, które zarabiał pracując w rzeźni, Moray otrzymałby nowe ubranie, własny pokój z telewizorem kolorowym, mieszkanie i jedzenie darmo. Robert prosił przyjaciela o przyjęcie propozycji, pisał mu również o tym, że będzie miał wolne dwa dni w tygodniu. Dołączono do tego bilet lotniczy do Bismarck i dwieście dolarów. Gdyby Moray nie przyjął oferty, miał prawo oddać bilet i zachować wszystkie pieniądze. Sprawę przedyskutowano. Wuj Thomas był przeciwny. Twierdził mianowicie, że w rzeźni Moray zostanie niedługo awansowany, a lepiej mieć ciężką

pracę i być wolnym, niż mieć pracę lżejszą, ale być sługą. Ciocia Beth także była przeciwna. Twierdziła, że z daleka od domu Moray zapewne padnie ofiarą jakiejś paskudnej kobiety, która zrujnuje go fizycznie i finansowo. Kuzynka Ruth również była przeciwna. Tłumaczyła to tym, że w Północnej Dakocie żyją i mieszkają w rozlicznych rezerwatach Indianie, którzy stale się upijają, a potem zabijają białych. Moray był za. Wy tłumaczył, że podobna okazja może się już nie trafić, że pensja jest dobra, a on nie boi się Indian. W dwa dni później Ruth odwiozła go na lotnisko La Guardia, skąd Moray odleciał do Bismarck.



## Rozdział dziewiąty

Samolot DC-9 wylądował na lotnisku w Bismarck w piękny słoneczny poranek. Na Moray a czekał Robert. Wskoczyli do jeepa prowadzonego przez jednego z przedstawicieli przedsiębiorstwa Dawleyów. Zawiózł ich do wielkiej zatoki utworzonej przez Missouri, gdzie stały zakotwiczone hydroplany. Moray był przyzwyczajony do widoku surowej przyrody i w pierwszej chwili nie chciał uwierzyć, że to co widzi to rzeka. Przypominało to morze, a zapewne było całkowitym przeciwieństwem drobnych bystrych szkockich potoków. Gdy Robert powiedział, że do The Pines polecą hydroplanem przez niego pilotowanym Moray przestraszył się nie na żarty. Do tej pory leciał dwukrotnie. Za każdym razem pilot jawił mu się jako nadczyłowiek, tajemnicza postać, od której zależą ludzkie losy.

— Tutaj wszyscy latamy, każdy z nas ma swój własny samolot. Odległości są ogromne, za lotniska służą nam jeziora i Missouri. Zresztą mój Grumman może lądować zarówno na wodzie, jak i na

ładzie. Latam od kiedy skończyłem siedemnaście lat i podobno jestem niezłym pilotem. Łódką podpłynęli do samolotu, wsiedli do środka. Moray usiadł obok przyjaciela i patrzył, jak ten przygotowuje się do lotu.

— To proste i łatwe, jak jazda samochodem — tłumaczył mu Robert i o wiele mniej niebezpieczne, jeśli przestrzega się zasad. Robert powiedział coś przez mikrofon, otrzymał pozwolenie na start i uruchomił obydwie silniki. Grumman poruszył się, nabrał prędkości zostawiając za sobą ślady piany! Robert pociągnął ku sobie drążek i znaleźli się w powietrzu zostawiając pod sobą widok malejącej rzeki. W trakcie lotu Robert zapalił papierosa zaczął plotkować. Moray siedział cichuteńko na swoim miejscu.

— Posiadamy wiele lasów na północy i na wschodzie od The Pines. Handlujemy drewnem, mamy dwa tartaki na rzece. Ponadto nasza fabryka mebli jest najstarszą fabryką tego rodzaju w Stanach. "Produkujemy również drabiny strażackie i ruchome pomosty. Pracuję razem z moim ojcem, Paulem i bardzo mi to odpowiada. Jeśli chodzi o ciebie, to myślę, że będziesz zadowolony. Mamy kamerdynera. Nazywa się Billings; kucharza pochodzenia franko-kanadyjskiego, nazywa się Marius. Ponadto pracuje u nas Ralph — złota rączka. I jeszcze Molly, która jest służącą. Twoim zadaniem będzie przejąć obowiązki Molly. Mój ojciec nie znosi jej, ponieważ jest mało zręczna. Toleruje ją jeszcze moja matka, ale i ona ma już

dosyć oglądania jednego serwisu za drugim w kawałkach. Jestem pewien, że ty będziesz uważny, a mój ojciec przepada za wszystkim, co pochodzi ze Szkocji... Odezwało się radio. Robert przerwał rozmowę, żeby nastawić je na właściwy zakres. Usłyszeli kobiecy głos, niski i ciepły.

— Cześć, Joan... Tak, lecimy od piętnastu minut... Okay! Mamy lądować w Stanton? Na śniadanie u ciebie? Będziemy. Kończę. Bez odbioru.

— Zatrzymamy się u mojej siostry, Joan, na śniadanie — tłumaczył Robert — Wyszła za takiego faceta ze Stanton i tam mieszkają. Przy okazji opowiem ci o naszej rodzinie. Mój ojciec Paul i moja matka Rose mieszkają na stałe w The Pines, a ja z nimi. Moja siostra żyje w Stanton razem z mężem Frankiem, ale w trakcie sezonu większość weekendów spędza z nami. Później jest moja siostra Susan. Ma trzynaście lat. Uczy się w collegu w Stanton. Nie wydaje mi się, żeby twoja praca miała być ciężka. W gruncie rzeczy chodzi o to, żebyś podawał do stołu, żebyś był uprzejmy wobec moich starych, którzy i tak nie mają zbyt wielu wymagań. Będziesz musiał robić drobne sprawunki, czy też coś, o co poproszą cię moi rodzice. Właśnie! Umiesz prowadzić samochód?

— Potrafię prowadzić furgonetkę. Nauczyłem się tego w Forres. Nigdy jednak nie starałem się

**0** prawo jazdy.

— Tutaj będziesz musiał prowadzić samochód

**1** robić zakupy — rzekł Robert — Nauczę cię. Wszystko będzie okay, zobaczysz. Okay, dolatuje-

my do Stanton i lepiej będzie, jak się skontaktujemy. Pomajstrował coś przy radiu, chwilę pogadał, po czym zapalił papierosa.

— Zaczniemy schodzić do lądowania za parę minut. Zobacz, co za piękny widok rzeki. Przyjrzyj jej się z bliska, gdy będziemy nisko lecieli. Ale to i tak nic w porównaniu z jeziorami. Pojedziemy tam któregoś dnia, zjemy coś dobrego w rezerwacie indiańskim. Wspaniali ludzie, mamy wśród nich wielu przyjaciół. Indianie, rzeki, jeziora. Morayowi kręciło się w głowie. Samolot obniżył swój lot. Rzeka rosła w oczach. Moray chwycił nerwowo za poręcz.

— Źle się czujesz? — zapytał Robert.

— Mam stracha — odparł Moray.

— To nic — zaśmiał się Robert wyprostowując lot Grummana — Popatrz na tamtą łódź.... Moray zmusił się do patrzenia. Jakaś łódź z wielkimi silnikami leniwie płynęła pod prąd. Za sterem stała naga dziewczyna, jej blond włosy powiewały na wietrze. Na górnym pokładzie leżały dwie nagie dziewczyny w dość nietypowej pozycji: jadły się wzajemnie.

— A to świntuchy! — śmiał się Robert. — Prawdopodobnie studentki. Uczą się na ostatnim semestrze w pobliskim college'u. Te są największymi dziwkami. W sprawie dziewczyn nie martw się. Nie będziesz pościł. Nie ma dużo towaru w The Pines, większość mężata i nie radzę ci zbliżać się do nich. Potrafią się przyssać, jak pijawki. A drwale to ludzie, którzy się szybko wkurzają. Możemy zawsze

przyjechać do Stanton, jeśli będziesz chciał czegoś świeżego albo polecieć samolotem do Fortu Berthold, jeśli będziesz chciał pobawić się z indianą: one są najbardziej wyuzdane spośród wszystkich. Przy okazji, za kilka dni zamyka się uniwersytet w Nowym Jorku i.... Lii obiecała mi, że w The Pines spędzi większość swoich wakacji. Nie widzieliście się więcej w Nowym Jorku. Nie było to pytanie, raczej stwierdzenie i Moray zgodził się z tym. — Lii jest słowną dziewczyną—westchnął z ulgą Robert — Nie chce seksu beze mnie. Kocham ją i nie mogę się doczekać, kiedy się z nią... Jeśli... jeśli będziesz chciał, możemy spędzać wiele czasu razem, w trójkę...

— Nie jesteś zazdrosny?

— Nie, wcale. Zrobiłbym wszystko dla niej wiedząc, że mnie kocha, a dla mnie najważniejszą rzeczą na świecie jest wiedzieć, że mnie kocha. Rodzina Wadów jest na naszym poziomie, może są nawet bogatsi. Są rentierami, żyją z dochodów z konta bankowego. Stary Wade zaimportował do Stanów pierwsze maszyny rolnicze. Handlował wszystkim: samochodami, samolotami, nieruchomościami. Lii jest ich jedyną córką, rozpieszczoną, ale jest to wspaniała dziewczyna.

— Co do tego nie ma żadnych wątpliwości, ale... chcesz jej tylko dla siebie? Wyłącznie dla siebie?

— Nie chodzi mi o jej ciało — rzekł Robert — To jej serce mnie interesuje. To jej duszy pragnę dla siebie. Możemy mieć razem wszystkie orgazmy tego świata, przyjemność to co innego. Gdyby rznął ją

Indianin czy Murzyn — nie ma to znaczenia... Ale, gdyby zakochała się w kim innym, życie nie miałoby dla mnie smaku. Kocham ją bez jakichkolwiek zastrzeżeń czy warunków. Moray ucichł. Grumman obniżył lot. Tym razem łagodnie, tak by Moray się nie przestraszył.

— Zapnij pasy, Moray! Będziemy wodować! Moray nauczył się je zapinać. Wielu rzeczy nauczył się od kiedy wyjechał z Forres. Samolot wylądował na wodzie delikatnie muskając ją, w końcu opadł. Znakomite lądowanie. Niewątpliwie świadczyło to o umiejętnościach pilota. Zwolnili biegu, Robert manewrował silnikami, dzięki temu popłynęli, jak motorówką w stronę najbliższego pomostu. Zgasili silniki. Na pomoście stała wysoka i szczupła dziewczyna o czarnych włosach. Machała do nich ręką.

— To moja siostra Joan. Niezła dziewczyna. Sam się przekonasz. Szkoda, że wyszła za męża za niewłaściwego człowieka. Robert pokazał Morayo-wi, jak przejść po skrzydle. Doszli w ten sposób do drewnianej drabinki i weszli na pomost. Moray ściskając jej rękę pomyślał, że jest to śliczna dziewczyna. Śliczna i całkiem odmienna od Roberta. Wsiadli do samochodu i pojechali na przedmieścia Stanton, do dzielnicy, w której były jedynie dwupiętrowe wille otoczone zadbanymi ogrodami. Siedzieli na przednim siedzeniu. Moray obserwował ją, gdy odpowiadała na pytania Roberta. Miała typową celtycką urodę, ciemne oczy i ciemne włosy, zgrabna figura, wypełniająca ubranie we właściwych miejscach. Rzadko się uśmiechała, ale gdy już

to zrobiła, cała jej twarz śmiała się. Moray czuł się skrępowany jej obecnością. Dom był otoczony parkiem i gdy wjechali do środka, ujrzeli postawnego mężczyznę, wysokiego, chyba metr dziewięćdziesiąt, którego atletyczna figura straciła trochę na wdzięku, szczególnie w pasie i biodrach. Twarz przyjemna, lecz mocno zmęczona i postarzała. Wory pod oczami. Włosy krótko obcięte, gładkie w kolorze piasku. Gdy mężczyzna ujrzął ich, zostawił koszenie trawy i kulejąc podszedł do nich.

— Mój szwagier Frank — przedstawił go Robert. Joan zupełnie nie zainteresowała się mężem i weszła do domu.

— Frank, przedstawiam ci Moraya Braemara Dunnottara. Przybył do nas z Forres. Jednym słowem to wasz nowy lokaj? — odrzekł Frank. Miał niemiły głos, a jego maniery pozostawiały wiele do życzenia.

— Jak na razie, to jest to mój przyjaciel, Moray Braemar Dunnottar z Forres — chłodno odparł Robert — Joan zaprosiła nas na śniadanie. Oczywiście jeśli nie masz nic przeciw temu. Moray czuł się wyjątkowo idiotycznie, zauważył jednak, że Robert, jeśli pragnie, potrafi być bardzo niemiły.

Naturalnie, jeśli nie masz nic przeciw temu — jego ton był sarkastyczny, tak jakby Robert wątpił w umiejętność szwagra przeciwstawieniu się czemukolwiek. Weszli do domu.

Frank w ciszy przygotował drinki. Joan zapadła się pod ziemię.

— Jak wasz sklep? — spytał się Robert.

- Jak zwykle źle. Właśnie chciałem porozmawiać z tobą w tej sprawie...
- Domyślałem się tego — odpowiedział chłodno Robert — Mam nadzieję, że dopiero po śniadaniu.
- Oczywiście — odrzekł Frank. Zdaje się, że stracił pewność siebie.
- Okay — panowie zakończyli rozmowę. Kolejne pół godziny minęło śmiesznie i złożone było głównie z kilku krótkich kurtuazyjnych wymian zdań. Frank wypił kolejno trzy koktajle śledzony w każdym swoim ruchu przez zimne oczy swojego szwagra. W końcu nadeszła Joan. Oznajmiła, że śniadanie jest gotowe. Moray znalazł się w małej jadalni. Do stołu podawał Murzyn. Jedli sałatkę z małży i bouillabaisse po francusku. Po śniadaniu Robert zapytał szwagra, czy ma ochotę porozmawiać. Wyszli do innego pokoju. Moray został sam na sam z Joan. Przyglądała mu się tak, jakby był rzadkim okazem owada.
- Robert opowiadał mi o tobie i o twojej sile fizycznej. Na pierwszy rzut oka nie mogłabym tego powiedzieć. Czemu chcesz zostać lokajem?
- Myślę, że jest to dla mnie idealna praca
- odpowiedział Moray.
- Naprawdę? Okay. Chcesz się czegoś napić?
- nie caekala na odpowiedź. Wstała i wychodząc z jadalni rozkazała:
- Proszę za mną! Moray poszedł za nią ciemnym korytarzem wzdłuż którego rosły pnące rośliny. Doszli do małego pokoju. W środku znajdował



się kredens, dzielący pokój na połowę. Wyjęła butelkę i dwa kieliszki, wlała do nich zielony płyn, chyba miętę. Usiadła wygodnie na stołku Morayowi wskazując niski fotel. Moray był potwornie skrepowany. Z dołu idealnie było widać jej długie nogi. Założyła je na siebie pozostawiając go bez oddechu: pod spodem nie miała majteczek i Moray ujrzał czarny, gęsty las włosów.

— Pij! — rozkazała znowu nadając swojemu głosowi bardziej przyjacielski ton. Podniosła kieliszek do ust. Moray poszedł w jej ślady. Posmakował. Nie była to mięta. Wychylił do końca. O mało nie wypaliło mu żołądka.

— Mocne?

— Trochę — z oczu popłynęły mu łzy. Ona wypila płyn jednym chaustem i odstawiła kieliszek na bok. Sięgnęła również po kieliszek Mora-ya, a następnie powiedziała coś, co zabrzmiało znowu, jak rozkaz. Moray miał kłopoty ze zrozumieniem zdania. Zabrało mu to kilka sekund.

— Pokaż mi swojego kutasa — powtórzyła Joan. Moraya zatkało. Zrozumiał w końcu znaczenie jej słów.

— Zrozumiałeś? Wyciągnij swojego kutasa. Chcę go zobaczyć — powiedziała twardo z oznakami zniecierpliwienia — Moim zdaniem jest bardzo duży, ale i tak chcę go zobaczyć. Jej oczy patrzyły na niego z pogardą.

— Ależ... Ależ proszę pani... — protestował Moray.

— Posłuchaj chłopcze, jeśli będę chciała, to nie pojedziesz do The Pines i będziesz nadal gnić w Bronxie. Rozumiesz to, czy nie? Wystarczy jedno moje słowo, a Robert wsadzi cię do pierwszego samolotu odlatującego do twojego śmierdzącego Nowego Jorku. Więc bądź dobrym chłopcem i zrozum w końcu, kto tu rządzi!

— Proszę pani... Ja się wstydzę... — powiedział Moray. Tym razem z pewną siłą w głosie.

— Lokaj nie może się wstydzić. Lokaj musi wykonywać rozkazy i basta! — syczała z wściekłości — Pokaż mi kutasa! Moray był przerażony. Joan patrzyła na niego oczami najbardziej wściekłymi, jakie do tej pory widział. A do tego, zaczynał mu stawać! Do diabła z tym jego fiutem! Chciała zobaczyć fiuta? Wariatka, zgoda. Ale nie była to pierwsza wariatka, którą spotykał w tej diabelskiej Ameryce nieodpowiedzialnej i zbzikowanej. Więc pokażę jej, jeśli ma takie życzenie! Rozpiął rozporek... i naszała go pierwsza wątpliwość, był taki twardy i nabrzmiały, że wyglądał zbyt obscenicznie, jak na pierwsze spotkanie! Do licha! Był gościem w domu siostry przyjaciela. Kutas wyskoczył na zewnątrz drżąc. Zdaje się, że miał on swój pogląd na świat, czasem odmienny od woli swojego właściciela. Wskazywał jakiś kierunek, hen wysoko w niebie. Joan patrzyła na niego, usiłując ocenić jego rozmiary. Przełknęła ślinę. Gdy zaczęła mówić jej głos nie był już taki szyderczy, jak wcześniej.

— Nie jest taki mały... nie powiedziałabym... jest całkiem niezły, w gruncie rzeczy...

Masturbuj się,

chcę, żebyś walił konia! Szybciej! Rusz się! Jej ton wrócił do normalnego, rozkazującego, ale Morayowi wydało się że słyszy nutę zniecierpliwienia. Próbował protestować.

— Pani Joan... ja nie wiem, czy potrafię.... Nie wiem, czy...

— A właśnie, że wiesz, mój chłopcze! Wal konia! Chcę zobaczyć, ile masz soku. A jeszcze lepiej, to nalej go do tej szklanki... Jej ciemne oczy czarowały go. Zobaczył, jak nogi rozkraczają się na stolku.

— Tak lepiej? Moray przygryzł wargę. Zaczął się głaskać, oczy wlepiając w czarny las włosów pomiędzy nogami Joan. Joan rozkraczyła je jeszcze bardziej. Jej ręka zeszła w kierunku łona, rozwarła cipę i ukazała różowe ciało. Poczł, jak kutas wibruje niebezpiecznie. Jego oddech stał się mniej regularny. Przyśpieszył co nieco.

— Pamiętaj o szklance! Chcę, żebyś się spuścił do szklanki i żebyś mi nie śmiał uронić ani kropelki na dywan. Potrafisz?

— Ja., ja myślę, że tak! — mruzczał Moray. Gapił się w jej spódnice. Podniosła ją do góry kompletnie odsłaniając cipę, wbiła w nią dwa palce. Moray pomyślał, że gdyby tylko chciała trochę mu pomóc, gdyby tylko chciała musnąć palcami jego fiuta, to byłby zdolny wydoić co najmniej litr spermy, wylewałaby się ze szklanki na zewnątrz. Co za oczy! To wielka dziwka! Na myśl o zbliżających się do niego palcach, poczuł, jak zbliża się przyjemność, sprawdził puchar, który trzymał w ręce, popatrzył znowu na Joan, na jej wargi. Głęboko westchnął.

— Ty świni! Dalej, do kielicha! — krzyczała do niego pokazując cipę a w niej buszujące dwa palce. Kutas Moraya drżał niespokojnie. Od kiedy się nie masturbował? Od wielu miesięcy. Jego pamięć nawet nie była w stanie odtworzyć tego obrazu. W Forres zawsze miał co wrzucić na ząb, a od kiedy przyjechał do Nowego Jorku, też nie miał na co narzekać. Maisie, Ruth, ciocia Beth, Lii... Pomyślał o Lii i o ich stosunku we troje. Gwałtownie naszedł go orgazm. W ostatniej chwili podłożył szklanke, a już wytrysk wlewał się w zielony płyn, mieszał się z nim, aż wypełnił szklanke po brzegi. Długie białe nitki opadały powoli na dno, nie rozpuszczały się w płynie, inne długie i gęste wypływały na zewnątrz. Szklanka była pełna.

— Aaaach! Proszę pani, ja... ja.... Jej oczy zafascynowane rozgrywającą się sceną patrzyły na mieszające się ze sobą płyny, na przybywającą ilość spermy.

— Wyciśnij go! Wyciśnij go dobrze, aż do ostatniej kropli! Jeszcze coś zostało! Jestem tego pewna! Moray wykonał rozkaz. Wycisnął do ostatniej kropli i czekał w ciszy kolejnego sprośnego rozkazu. Joan zeszła ze stołka, odebrała mu szklanke wypełnioną po brzegi jego spermą i wróciła z powrotem na swoje miejsce. Cała jej uwaga była skoncentrowana na szklance. Patrzyła na nią pod światło, wsadziła do środka palec i zaczęła wolno mieszać. Ani razu nie spojrzała w kierunku Moraya, który zapinał spodnie, nie zaspokojony seksualnie i sfrustrowany mało typowym żądaniem. Jej palec wska-

zujący wolno mieszał obydwą płyny; sperma walczyła, nie chciała się rozpuścić, nadal pozostawała w swoim stanie, jednak zielony kolor cieczy tracił na intensywności... Moray właśnie skończył zapinać spodnie, gdy dały się słyszeć głosy Roberta i Franka. Weszli. Frank spojrział na żonę, która nadal niczym się nie przejmując mieszała tajemniczą miks-turę.

— Co to takiego? — zapytał Frank. Zmienił ton głosu tak, jakby rozmowa z Robertem podniosła go na duchu. Joan nawet na niego nie spojrziała.

— Cocktail, nowy rodzaj. Przygotowany we współpracy z Morayem Braemar Dunnottarem, nowym lokajem w domu Dawley. Na zdrowie! Nie patrząc na nikogo podniosła kielich do ust, polizowała jego brzegi i wychyliła zawartość. Jednym tchem do samego dna. W kielichu zostało coś na dnie, trochę zielonkawej gęstej cieczy, która nie chciała spłynąć. Włożyła do środka język, wylizowała dno i brzegi, całkowicie go wyczyściła, aż w końcu odstawiła na stół oblizując wargi.

— Jest całkiem niezły ten twój nowy przyjaciel — rzekła do Roberta — Jestem przekonana, że spodoba się zarówno mamie, jak i tacie.

— Okay! Ja się napiję whisky. Chcesz Robert?

— Starczy! Będzie lepiej, jeśli ja i Moray zbierzemy się w drogę. Odwieziesz nas Joan?

— Nie mam ochoty na prowadzenie samochodu. Weź go sobie i poproś, żeby go odprowadzono z powrotem. Wrócili nad brzeg rzeki. Robert był wściekły na Franka.

— Zdegenerowany, nic nie wartego facet. Kiedyś był wielkim graczem baseballu, grał w drużynie Yankees. To wtenczas poznali się. Tato założył mu wielki sklep z meblami w Stanton, ale on nie robi nic innego, jak tylko pije i gra, gra i pije. Problem polega na tym, że nie potrafi robić ani jednego, ani drugiego. Znowu ma długi i musiałem mu podpisać czek na trzy tysiące dolarów. Mama wie o wszystkim, ale tacie niczego nie mówimy, nie zniósłby tego.

— Twoja siostra mogłaby się rozwieść — Robert zaprzeczył ruchem głowy.

— Jesteśmy katolikami, Moray. Ponadto ruina któregokolwiek z członków rodziny Dawleyów byłaby dla niego ciosem. Zresztą nie wiem, co bym zrobił na miejscu Joan. Ponadto, słyszałem w niektórych środowiskach, że ten Frank nie jest całkiem... jurny, że się tak wyrażę... Jeśli rozumiesz, o co mi chodzi...

— Przykro mi ze względu na twoją siostrę. Weszli po skrzydle samolotu. W trakcie lotu do The Pines na północ z biegiem Missouri, pomyślał o kielichu spermy, który łakomie wypija. Zrobiło mu się przykro. To było prawdziwe zboczenie. Lepiej było pić bezpośrednio u źródła...

## Rozdział dziesiąty

The Pines. Olbrzymi obszar pokryty jodłami wznoszący się ku północy. Z wysoka widać czerwone dachówki domów, wielką rzekę Missouri, tworzącą zakole dookoła małych domków, zielone plamy ogrodów i łąk, olbrzymie fabryki i ogromne tratwy połączonych ze sobą beli drewna, leniwie spływających z biegiem rzeki. Słońce właśnie zachodziło na czerwono, gdy przybili do prywatnego pomostu. Czekał na nich jeep kierowany przez mężczyznę w krótkich spodenkach i koszulce z krótkimi rękawkami.

— Ralph, nasza złota rączka — przedstawił go Morayowi, gdy wsiadali do samochodu. Facet miał około pięćdziesięciu lat, był muskularny i mało gadatliwy, miał skórę spieczoną długotrwałym przebywaniem na słońcu. Jechali z pół mili przez połacie jodeł, które rozstały się nagle, by ukazać ludzi pracujących przy powalonych drzewach. Były to miejsca zbiórki drewna, gdzie dokładnie oglądano je, wybierano właściwe i spuszczano z biegiem rzeki albo odwożono do jednego z dwóch tartaków

należących do rodziny Dawleyów. Rezydencja państwa Dawley była imponująca. Wielki dom z kamieni o dwóch piętrach nad podwyższonym parterem. Morayowi przypominał on trochę zamek w Dunrobin w Highlands. Robert utwierdził go w tym przekonaniu.

— Wiele z tych kamieni, które widzisz pochodzą z Dunlobin, inne z Inverness i z Dundee. Myślę, że tatko zrobił, co mógł, nawet jeśli wnętrza wskazują raczej na umiłowanie amerykańskiej wygody. Dom wydawał się bezludny. Wejście przypominało Morayowi domy szkockich szlachciców. Dostrzegł nawet kilka zbroi stojących w kącie salonu.

— Podróbki — westchnął Robert — Zostały importowane przez starego Mada wiele, wiele lat temu. Chyba i tak były wyprodukowane w Sheffield. Chodź za mną, pokażę ci twój pokój. Na parterze były salony i jadalnia. Na pierwszym piętrze pokoje i salony państwa. Drugie piętro było dla mieszkającej w domu służby. Pokój Moraya był całkiem spory, jasny i wyposażony w lekkie i praktyczne meble. Podłoga z klepki była wypastowana na lustro. Był tam również wewnętrzny telefon i sporych rozmiarów kolorowy telewizor. Jedna z łazienek była do wspólnego użytku z kamerdynerem Billingssem; druga łazienka była do dyspozycji Ralpa i kucharza Mariusa. Molly, sprzątaczką, miała łazienkę do własnego użytku. Robert poradził Morayowi, żeby wykapał się i przebrał. On w tym czasie zrobi to samo i przyjdzie po niego, żeby przedstawić go go pozostałym domownikom. Gdy



spotkali się znowu, Moray był ubrany w swoją szkocką marynarkę i buty wyglansowane na błysk. Szyku, jak zwykle, dodawał mu krawat w barwach klanu. Paula Dawleya spotkali w pokoju, w którym centralne miejsce zajmował kominek. Ściany były zastawione półkami z książkami (nigdy nie przeczytanymi — co Moray odkrył trochę później). Pan domu siedział za biurkiem i sprawdzał rachunki. Palił fajkę. Przystojny mężczyzna o szpakowatych włosach, oczach w kolorze nieba, cerze zdradzającej człowieka doceniającego smak dobrej whisky, albo po prostu whisky. Silnie uścisnął mu rękę. Poddał go grzecznemu przesłuchaniu i widocznie był usatysfakcjonowany tym, co usłyszał, gdyż pochwalił Roberta za słuszny wybór i za słuszną ocenę młodego Moraya Braemara Dunnottara z Forres w hrabstwie Moray — od którego wzięło się jego imię. Z gabinetu pana domu przeszli do salonu, w którym urzędowała Rose Dawley. Gdy weszli do pokoju, siedziała przy oknie i czytała książkę. Zachodzące słońce silnie świeciło przez okno i Moray zauważył tylko obrys jej twarzy. Rose wstała na ich powitanie. W blasku słońca wydała się Morayowi podobna do królowej. Twarz o szlachetnych rysach, ciemne włosy w kolorze hebanu. Jej córka, Joan była do niej bardzo podobna. Pani Dawley była wysoka i miała zgrabną dziewczęcą figurę. Szczęśliwie los obdarzył ją pięknymi piersiami i wspaniałymi biodrami, które tak ekscytująco wypinały sukienkę. Przyjęła Moraya bardzo miło. Nie uznała za celowe dokonywanie jakiegokolwiek przesłuchania. Miała ciepły tembr głosu. Moray był nią zafascynowany.

— Mój syn, Robert, pokaże panu resztę domu i zapozna z pozostałymi pracownikami. Obejmie pan służbę od jutra. Tymczasem proszę uznawać się za gościa. Moray wyszedł ze spotkania oczarowany. Był dumny z tego, że jest Szkotem, ale był bardzo dumny również i z tego, że Dawleyowie są Szkotami. W pomieszczeniu poprzedzającym wejście do kuchni zostali przyjęci przez kamerdynera Billing-sa. Był wysoki i szczupły, ubrany w szarą kamizelkę i ciemne spodnie, w białą koszulę i ciemny krawat. Billings zrobił wszystko, co potrafił, by wyrzucić na Morayu najlepsze wrażenie. Trudno było wyczuć, ile lat może mieć Billings, bliżej mu było do siedemdziesięciu niż do sześćdziesięciu pięciu. Zdaniem Moraya, Billings był rodzajem człowieka, który nigdy nie doprowadzi do sytuacji, w której jego autorytet mógłby stanąć na szali. Robert patrzył rozbawiony, jak Billings daje Morayowi pierwsze instrukcje dotyczące należytego zachowania. Swoje przemówienie zakończył zgrabnym:

— Naturalnie, zechce pan stawić się u mnie po szczegółowe instrukcje po kolacji. Moray okazał mu właściwy szacunek i Billings docenił to. Przeszli do kuchni, gdzie Marius — kanadyjski kucharz francuskiego pochodzenia przygotował potrawę pod niebiańską nazwą: vol-aux-vents. Moraya przyjął bardzo mile. Dał mu do spróbowania jedno z ciastek, które upiekł. Moray uznał je za wyśmienite.

— Zdaje się chłopcze, że wiesz, co dobre. Kucharz był w siódmym niebie. Miał śmieszna fizjo-

nomię. Był niski, gruby, łysy, miał imponujące bokobrody. Marius poinstruował Moraya o obyczajach służby — służba jada o siódmej, jeśli państwo nie przyjmują gości, natomiast w przypadku przyjęcia u państwa: o którejkolwiek. Moray zapamiętał to sobie dobrze. Od tego mogła zależeć jego przyszła reputacja.

— Tym lepiej dla ciebie. Inaczej ja ci o tym przypomnę, mon ami — zaśmiał się rubasznie Marius. W tej samej chwili weszła do kuchni jakaś dziewczyna o włosach w kolorze dojrzałej kukurydzy, średniego wzrostu, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Zatrzymała się na progu i stanęła wpatrzona w Moraya. Młodzieniec uśmiechnął się do niej, odpowiedziała mu tym samym. Miała małego zeza, co niczego nie zmieniało w jej ogólnym, głupkowskim wyglądzie.

— Moray, przedstawiam ci Molly — uśmiechnął się Robert — To dobra dziewczyna, ma wspaniały charakter, jest dynamiczna, potrafi tłuc z równą łatwością szklane kieliszki, jak i te kryształowe, talerze zwykle i porcelanowe — nie ma znaczenia, jak drogocenne. Będzie twoją pomocą w kuchni, ale do stołu będziesz podawał tylko ty. A zwłaszcza, gdy przyjdą do nas goście.

— W porządku — odparł Moray usatysfakcjonowany przyjęciem ze strony kolegów i właścicieli domu. Nawet Billings okazał mu później ludzkie oblicze, proponując kieliszek starego Sandemana z jego osobistej spiżarni. Punkt dziewiętnasta służba zasiadła do stołu, ale tego wieczoru

Moray jadł z Dawleyami, a oni starali się, żeby nie czuł się skrępowany w ich towarzystwie. Paul Dawley wypytywał go o ludzi z Forres i generalnie o jego hrabstwo. Rose Dawley poprosiła go o najnowsze wiadomości z Dunrobin. Przywoływała z pamięci nazwiska osób, których Moray nigdy w życiu nie widział. Słyszał o ich domach czy klanach, ale nigdy nie miał zaszczytu poznać ich osobiście. Moray zachowywał się bardzo skromnie, grzecznie, uprzejmie. Spodobał się wszystkim, a zwłaszcza oszołomionej Molly, która po raz ostatni podawała do stołu. Do deseru udało jej się stłuc jeden kryształowy kieliszek, szklaną podstawkę, talerz z resztkami jedzenia i małą miskę na zupy. Przy ciastach upadł jej porcelanowy talerz, ale Morayowi udało się go złapać w locie i uratować. Od tego momentu urósł do rangi bohatera, stał się symbolem zręczności i synonimem perfekcji. Tego wieczora było jej pisane poznać jeszcze inne zalety Moraya. W końcu o wpół do dziesiątej pani Dawley pożegnała wszystkich, pan Dawley poszedł do swojego gabinetu palić fajkę i trochę poczytać. W jadalni pozostali tylko Robert i Moray. — Okay, przyjacielu. Twoja próba dobiega końca. Od tego momentu nasze drogi rozchodzą się, ale tylko pozornie. Ty podajesz do stołu, a ja jestem tą osobą, której właśnie podajesz. Ale w wolnych dniach będziemy razem i... będziemy razem nawet wówczas, gdy przyjedzie Lii. No nic, idę spać, a ty nie zapomnij pójść do Billingsa. Zapewne nie może się doczekać, ażeby zademonstrować ci swój auto-

rytet w każdym szczególe. Moray wszedł do kuchni. Billings czekał na niego. Obchodził się z nim bardzo miło i zaproponował mu wypicie Laprohaigu z rezerwy właścicieli domu. Miło sobie gawędzili, a Moray zastanawiał się, co takiego dzieje się w kuchni, skąd dochodziły przyciszone okrzyki i dziwne dźwięki, na które Billings nie zwracał najmniejszej uwagi.

— Ralph to prosty człowiek — tłumaczył Morayowi — Prosty, ale w gruncie rzeczy bardzo dobry. Trzeba go trzymać w ryzach i musi znać swoje miejsce. Marius jest bardzo czuły na swoim punkcie i musisz uważać. Jeśli chodzi o Molly, to widziałeś co potrafi, zrobić, ale... posiada swoje dobre strony, których trudno nie docenić. Jeśli zechcesz pójść za mną... Wstał. Ledwo utrzymywał pionową pozycję — magiczny wpływ sporej ilości whisky, którą wypił. Otworzył drzwi od kuchni. Wszedł, a za nim Moray. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył była, Molly latająca w powietrzu przytrzymywana przez złotą rączkę. Facet był czerwony na twarzy od wypitego alkoholu, jego ręce przypominały karuzelę. Dziewczyna miała ładne, jasne nogi. Marius siedział koło kuchenki, on również z czerwoną gębą, podpowiadał Ralphowi cenne uwagi.

— Nie, proszę cię! Postaw mnie na ziemię! Jest mi niedobrze!

— Postaw ją na ziemię Ralph. Przestań z tą karuzelą! — rozkazał mu Billings. Ralph usłuchał i postawił Molly na ziemi. Biedna dziewczyna nie mogła jeszcze złapać równowagi. Stała przytrzymując się stołka. Patrzyła na Moraya. Uśmiechał się do niej.

— Molly jest naszym telewizorem — rzekł Billings — Wystarczająco głupia, żeby robić to, co chcemy, a z drugiej strony jest wystarczająco inteligentna, żeby się nie buntować, gdy robimy jej coś, czego ona nie lubi. Moray spojrzał na Molly z większą uwagą niż do tej pory. Delikatny zez nadawał jej głupkowaty wygląd. Twarz miała przyjemną, ale pierwsze wrażenie jakie robiła, to było wrażenie niewiarygodnej bieli. Jej ciało i twarz były tak białe, że aż prosiły się, by je wypić. Oczy były małe, jasne; nos mały, nie rzucający się w oczy; silny podbródek. Usta przypominały jakiś zakazany owoc. Były wielkie. O intensywnym zabarwieniu. Piersi miała tak duże, że w zbyt małym biustonoszu sprawiały wrażenie, iż za chwilę z niego wyskoczą. Moray spoglądał na nią z dozą sporego zainteresowania.

— Świetnie! Jesteśmy tu zebrani, ażeby pokazać naszemu nowemu pracownikowi, jak wyglądają stosunki pomiędzy pracownikami naszego działu. Nie ma na co narzekać. Kuchnia jest dobra, dzięki staraniom naszego przyjaciela Mariusa...

— Merci beaucoup, mon eher — odparł Marius — Jesteś uprzejmy, vraiment! Oddajmy Cezarowi, co Cezara! — rzekł Billings — Jeśli chodzi o prowadzenie domu, to jest ono poprawne. Ralph zajmuje się ogrodem i trawnikiem, drobnymi naprawami i innymi małymi rzeczami.... Molly... No cóż, Molly jest tak niezręczna, że byłaby nie do zniesienia, gdyby nie była tak miła, chcąc uprzyjemnić nasze wieczory. Prawda Molly?

— Tak panie Billings — Molly patrzyła się na Moraya.

— Godziny pracy nie są uciążliwe — ciągnął Billings — i każdy z nas ma swoje przepiękne wolne dni, które może spędzić, czy to w domu, czy poza nim. Najważniejsze to: dyscyplina i porządek, szacunek i harmonia. To święte słowa i nie dlatego, że je wypowiadam, ale dlatego, że są prawdziwe. Są naszą rzeczywistością i proszę młodego Moraya, świeżo przybyłego z Forres w Szkocji, ażeby zastanowił się nad nimi i żeby zachwowywał się odpowiednio do nich. Jeśli chodzi o hierarchię, to ustalono, że Marius otrzymuje polecenia tylko od właścicieli; Moray i Ralph otrzymują polecenia ode mnie; Molly otrzymuje polecenia od każdego, kto zechce jej dać polecenie. Czy to jasne, Moray?

— Jasne — odparł Moray, który bacznie przysłuchiwał się wypowiedzi.

— Więc wszystko pójdzie gładko, tak jak zawsze w domu państwa Dawleyów. Przynajmniej od kiedy ja w nim jestem — zakończył Billings.

— Święte słowa, ponieważ prawdziwe — rzekł Marius. Moray popatrzył zaniepokojony, ale Billings uśmiechał się, jak ktoś, kto jest najedzony, pełen Porto i whisky. Ralph wyciągnął łapę, żeby łatwiej pieścić pośladki Molly. A ona wcale nie protestowała, patrzyła nadal na Moraya tym swoim krzywym okiem. Marius beknął z satysfakcją, wstał i uwolnił się od fartucha i od spodni. W koszulce bez rękawów wyglądał jeszcze grubiej i zdawał się być jeszcze niższy.

— To co? Urządzimy święto naszej Molly?

— spytał Ralph chwytając za piersi dziewczyny. Moray nie ruszał się. Nie wiedział, co robić. Popatrzył na Billingsa, który właśnie zdejmował spodnie. Molly pozwoliła, żeby Ralph ją pieścił, ale nie spuszczała wzroku z Moraya. W tym samym czasie Marius zdjął majtki i pokazał małego ptaszka. Ralph rozbierał Molly. Stała w majtkach i biustonoszu. Była wpatrzona w Moraya.

— Molly, chodź tutaj! — rozkazał Billings spokojnie sobie siedząc na krześle. Ralph manewrował jej biustonoszem. Zdjął go w końcu i puścił ją. Morayowi podobały się jej piersi, okrągłe i duże. Kołysały się w rytm jej ruchów.

— Molly, -zrób to, co masz zrobić! — rozkazał jej Billings.

— Wstydzę się przy nim... Billings uśmiechnął się szyderczo.

— Moray, mój chłopcze, będzie lepiej, jeśli rozbierzesz się i ty. Pokaż Molly, co masz w spodniach. Nie dziwię się, że ona się wstydzi, skoro jesteś tak ubrany.

— Tak, panie Billings — Moray zaczął rozbierać się na oczach wszystkich. Rzeczy zdejmował po kolei, bez pośpiechu, układał je na pobliskim krześle. Na końcu zdjął majtki, które otrzymał w prezencie od Ruth.

— Chłopcze, zdaje się, że jesteś niezłe wyposażony... — zauważył Billings.

— Kawał niezłej pały — powiedział Marius

— I zakładam się, że może być dwukrotnie większa,



jeśli Molly weźmie do ust. Molly patrzyła na fiuta Moraya, który powoli nabrzmiewał i podnosił w górę głowicę. Molly przełknęła ślinę, wydawało się, że jej oczy ustawiają się idealnie w linii.

— Jeśli podoba ci się jego kutas, to chyba musisz zdjąć majteczki, kochana Molly — mruczał pod nosem Ralph.

— W porządku Molly. Skoro widziałaś już fiuta nowego przybysza, to chodź tutaj i weź mojego do ust — rozkazał jej Billings. Molly ruszyła się w jego kierunku. Chwilę wcześniej Ralph zdjął jej białe majteczki. Molly schyliła się w stronę ud Billingsa i wyciągnęła z pomiędzy jego nóg członka podobnych rozmiarów, jak Moraya, jednak znacznie dłuższego. Nie wkładała go do ust, po prostu wlała go w siebie i to w takiej ilości, że zawodowy połykacz mieczy załamałby się psychicznie. Zaczęła manipulować nim przy pomocy pulchnych paluszków, ssała go i lizała. Trudno byłoby rozumieć co robi.

— Mmmmmh! — mruczał kamerdyner — Ta mała potrafi wykonywać swoją robotę! Ooooch! Dobrze! Ale nie pójdzie tak łatwo dziś wieczór... Może za dużo wypięm, ale ty ssij, mała dziwko, ssij dobrze i kto wie, może... Mmmmmh! Dobrze! Moray nie zauważył żadnych oznak polepszenia. Długi wąż Billingsa był nadal w takim samym stanie, ale docenił brawurową pracę Molly. Dziewczyna ssała, lizała, masturbowała, przygryzała delikatnie. Pomyślał, że gdy przyjdzie jego kolejka, to spodoba się mu jej praca. Jednak pozostali wcale nie mieli zamiaru uszanować kolejności zmian. Moray zoba-

czył, jak gruby Marius zbliża się do Molly i wciera w jej policzek swojego penisa. Głaskał go i masturbował się. W tym samym czasie Ralph rozebrał się ukazując muskularne ciało. Jego fiut sterczał wysoko zakończony niebieską główką. On też wycierał go o twarz Molly, która nie przestała ani na chwilę ssać i lizać fiuta Billingsa, a ten do repertuaru uciech dodał od siebie małe masturbowanie. Spektakl ten spodobał się Morayowi, który poczuł, jak kutas podnosi mu się do góry.

— Mój drogi Billingsie — rzekł Marius — Gdyby ona wyraziła zgodę na inną pozycję, to moglibyśmy wówczas skorzystać z jej uprzejmości wszyscy.

— Przykro mi, ale moja rwa kulszowa nie pozwala mi na żaden wysiłek — zadeklarował uroczyście Billings — Muszę siedzieć, a ponadto nie wydaje mi się, żeby ona była w lepszym stanie niż ja.

— Ale jak ma mi stanąć od zwykłego pocierania o policzek? — protestował Marius.

— Możesz czekać cierpliwie na swoją kolej — odparł kamerdyner. Kucharzowi nie spodobała się taka odpowiedź. Moray pomyślał, że oni po prostu źle stoją. Do licha! Nawet tak mało doświadczony zawodnik, jak on widział pewne możliwości, które umykały uwadze Billingsa. Spróbował przeforsować swoją wersję.

— Panie Billings, czy nie podnieca pana jedzenie dziewczyny?

— Mój chłopcze, to przysmak lepszy od ostrygi świeżo wyrwanej morzu — westchnął kamerdyner.

— To dlaczego pan nie spróbuje?

— Dlatego, że każde pochylanie się czy też jakikolwiek ruch wywołuje potworny ból, chłopcze wytłumaczył Billings.

— Nie będzie pan jednak musiał ani się schylać, ani robić nic innego poza zginaniem własnego języka — nalegał Moray — Wystarczy, jeśli przystawimy pański stołek do stołu, na który położymy Molly. W tej pozycji będzie pan ją mógł spokojnie jeść. I co pan o tym sądzi?

^- Sądzę, iż jesteś rozsądnym chłopcem. Tak! W gruncie rzeczy mógłbym walić konia podczas jedzenia tej wspaniałej dziewczyny. Dobrze! Tak zrobimy! W okamgnieniu Molly została rozłożona na dużym stole, do którego przystawiono stołek pana Billingsa.

— Młody Moray jest osobą wielce zaradną — przyznał Marius, gdy zobaczył, że Billings wygodnie siedzi, a Molly zgina swoje rozkraczone nogi, by mógł ją lepiej lizać. Jej biała cipa przypominała cipę lalki. Prawie całkowicie pozbawiona owłosienia, odkrywała każdy szczegół łona. Billings użył palców, by rozszerzyć wargi sromowe. Ukazała się różowa szparka, która wywołała falę westchnień wśród obecnych panów, włącznie z Morayem. Po dwóch brzegach stołu stanęli Ralph i Marius. Wpakowali Molly swoje członki. Billings wpakował twarz pomiędzy uda Molly, do ręki wziął fiuta.

— Oooooch, tak! — mruzczała zadowolona Molly. Jej oko orbitowało starając się ustalić pozycję młodego Moraya i jego kutasa.

— Myślę, że Moray ma pełne prawo wpakować go do ust Molly orzekł Marius — To znaczy, że ma pełne prawo, żeby ssała go jako pierwszego. To w końcu on wymyślił tę szczęśliwą kombinację. Billings siedział cicho, zbyt zajęty lizaniem i ssaniem cipy młodej dziewczyny, która tak ochoczo rozwierała przyrodzenie, oczekując dalszych pieszczot. Ralph wydawał z siebie różne dźwięki i Moray zauważył, że fiut Ralpa obrabiany zręcznie przez Molly znacznie zwiększył swoje rozmiary. Pomyślał, że powinien zadbać o własne sprawy. Wszedł na stół i od góry wsadził fiuta prosto w różowe usta Molly. Od razu odniósł wrażenie, że dziewczyna urodziła się po to, by ssać. Jej usta były pieczarą ciepłą. Potrafiła ssać tak dobrze, że w zasadzie nawet Hazel mogła się przy niej schować. To, co mu się nie podobało, to była ogólna atmosfera. Billings walił sobie konia w ukryciu, mimo że jego język działał całkiem zręcznie, ale chyba trochę za wolno. Marius dobrze prowadził rękę Molly. Jednak jego żołądź nawet się nie pokazała spod zwałów skóry. Długi fiut Ralpa był trochę większy, ale nadal był zgięty w pół i odnosiło się wrażenie, że nie da rady się wyprostować. Kutas Moray a stał twardo w ustach Molly, która ssała go z wdziękiem, ale jeśli radość tkwiła w wolnym seksie, w grzechu, to wola! już Dory, tę która ssała go w samolocie, podczas gdy mąż lizał jej cipę i fiuta. Wolał nawet to rubaszne rżnięcie z ciotką Beth, śmieszne manewry z Ruth i Maisie, a zwłaszcza spotkanie z Lii i Robertem u niej w domu. Wolał ich zdrową trójkę gotową do

wystrzału w każdej chwili niż tę źle dobraną zbieraninę: starca, kompletnie dzieciinniałego faceta, i jeszcze jednego grubiańskiego faceta. I to mieli być mężczyźni? A Molly? Odczuwała przyjemność? Nie było mu dane tego sprawdzić. Gdy ssła wcale tego nie pokazywała. Ssąc Moraya ciotka Beth mruzczała z przyjemności, Molly przykładała się do tego zajęcia bardziej, aniżeli mogłoby to wynikać z jej natury, czy też doświadczenia (bez znaczenia!). Brakowało napięcia. Moray poczuł, że w seksie mózg też ma udział, a tutaj czegoś takiego brakowało, brakowało wyobraźni. Przypomniawsobież twarz Joan Dawley siedzącej na taborecie z rozkraczonymi nogami w małym pokoju w swoim domu w Stanton. Przypomniawsobież, jakich drgawek dostał, gdy jedną ręką masturbował się, w drugiej trzymając kielich z zielonym płynem z zadaniem wypełnienia go spermą. — Molly... Wal go szybciej, ty mała dziwko! — szeptał Ralph. Moray popatrzył na jego penisa. Urósł całkiem sporo, ale nadal był zgięty w pół. Oczy Ralpa były spuchnięte od alkoholu, żyły na czole były tak nabrzmiałe, iż zdawało się, że za chwilę pękną mu. Ale on nadal był daleki od orgazmu... Popatrzył na Billingsa: niewiarygodne! Twarz miał wbitą w jej cipę, a sam smacznie spał, cicho chrapiąc. Spojrzał na Mariusa w chwili, gdy ten przeżywał orgazm. To też było dla niego nowością, czymś, czego by się nie spodziewał: jego mały biały fiut wylewał z siebie ogromne ilości spermy. Kucharz przeżywał orgazm, a jego kutas nawet nie wyszedł z worka skór nego.....Moray nawet nie zauważył, kiedy zaczął głośno gadać:

— Masz tego dosyć! Wyjął go z jej ust i zszedł ze stołu. Nie przejmując się Ralphem, odepchnął z łatwością Mariusa i odciągnął taboret ze śpiącym starcem. Chciał zerznąć Molly, ale okazała się wielkim rozczarowaniem. Był przyzwyczajony do słuchania, do smakowania przyjemności obcowania z kobietą i uznawał to za komplement pod swoim adresem. Molly cicho mruczała i Moray miał wrażenie, że wypełniają tak silnie, jak nigdy jej się to wcześniej nie przytrafiło. Molly miała moment słabości:

Ale wielka pała! Ale wielki i twardy kutas i jaki długi... Dotyka mnie... Podoba mi się... Mruczała sobie dalej, niby nic. Moray walił ją. Dalej mruczała, ale ciągle tak samo, jakby jej przyjemność nie była ani większa, ani mniejsza. Moray spróbował nawiązać bezpośredni kontakt: — Molly, podoba ci się?

- Tak, tak! — szybko powiedziała. Oczy miała lekko przymknięte. Jej ręka trzymała w garści fiuta Ralpa i tak nic z tego nie wynikało. Od kiedy zaczął go używać, po raz pierwszy poczuł, jak fiut zaczyna mu mięknąć w kobiecej pochwie. Wyszedł z niej, zszedł ze stołu i pozwolił, żeby dziewczyna masturbowała Ralpa — złotą rączkę. Rzut oka na śpiącego Billingsa, na bekającego Mariusa leżącego w tej chwili na podłodze i Moray zdecydował. Nigdy więcej nie będzie wchodził do pokoju zabaw i uciech służby w domu państwa Dawley. Wyszedł zamykając za sobą drzwi.

## Rozdział jedenasty

Czy wzywał mnie pan? — Moray czekał cierpliwie, aż Paul Dawley podniesie wzrok znad papierów, które czytał w skupieniu. Moray był ubrany nienagannie: biała odprasowana koszula, ciemne spodnie i ciemny krawat.

Ach, to ty, Moray... Tak, dziękuję, że przyszedłeś. Chciałem z tobą porozmawiać.

Patrzyłem na te rachunki i myślę, że mógłbyś mi pomóc... Paul Dawley podniósł głowę i patrzył na młodzieńca, miło się do niego uśmiechając. Wziął fajkę do ręki, nabił ją tytoniem i zapalił.

Od jak dawna jesteś z nami?

Dwa miesiące i cztery dni, proszę pana odpowiedział Moray.

Ach, tak w pokoju rozszedł się przyjemny zapach fajki Sprawdziłem rachunki i zauważyłem, że od kiedy zająłeś się zakupami poczyniliśmy znaczne oszczędności...

To moja szkocka natura, proszę pana. Staram się oszczędzać.

— Robert mówił mi, że swój wolny czas spędzasz w fabryce. Od kiedy pracujesz z nami nie został zbity ani jeden talerz. Moja żona Rose jest z ciebie bardzo zadowolona, a Susan jest tobą zachwycona...

— Panna Susan jest po prostu czarująca — odrzekł Moray.

— Susan ma zaledwie trzynaście lat, ale jest bardzo inteligentna — skomentował Paul Dawley — Twierdzi, że marnujesz się pracując, jako kelner i że powinieneś pracować w fabryce razem z Robertem...

— Ależ nie, proszę pana! — krzyknął zaniepokojony Moray — Nie neguję faktu, że fabryka jest miejscem bardzo interesującym i lubię patrzeć, jak rodzi się tremo, ale... również bardzo mi się podoba praca, którą dzisiaj wykonuję!

— Mnie również by odpowiadało, gdybyś zajmował się domem, ale Robert twierdzi, że masz smykałkę do handlu i że mógłbyś się zająć sektorem handlowym. Nie chciałbyś?

— Panie Dawley, czuję się znakomicie w domu i lubię pracę, którą wykonuję, jestem zadowolony... i chciałbym nadal robić to, co robię...

— Oczywiście możesz wybierać — uśmiechnął się Dawley — Musisz wiedzieć, że jestem tego samego zdania, co Robert i Susan.

— Jestem z tego dumny, proszę pana.

— Zgoda. Namyśl się, proszę — westchnął Dawley — Moja żona Rose załamałaby się, gdybyś zaczął pracować w fabryce. Przyzwyczała się do



twojego stylu, nasi goście ze Stanton i z Bismarck bardzo nam ciebie zazdroszczą, ale... Susan twierdzi, że się marnujesz pracując jako kelner. Tak również twierdzi Robert, a w rzeczywistości i ja tak myślę. Masz kilka tygodni do namysłu, a potem dasz mi odpowiedź. A teraz chciałbym, żebyś to wziął. Zaslugujesz na to. Podał Morayowi czek. Moray spojrział na niego po chwili namysłu i o mało nie zemdlał.

— Pięćset dolarów! Nie mogę tego przyjąć! To za dużo!

— Zakończyliśmy naszą rozmowę — uśmiechnął się Dawley — Idź teraz, proszę. Zdaje się, że Susan czeka na ciebie, chce cię zabrać na przejażdżkę po rzece. Ponadto jest to twój wolny dzień. Moray wyszedł z gabinetu zaszokowany. Nie spodziewał się takiego tonu i tytułu deklaracji zadowolenia, a napewno nie w takiej formie. W holu natknął się na Roberta i Susan. Robert uśmiechnął się z daleka. Susan natomiast przeszła od razu do rzeczy. — No i co ci powiedział staruszek? Moray zrobił minę, która miała oznaczać brak aprobaty dla takiego zachowania. Susan, młodsza siostra Roberta, miała dopiero trzynaście lat i uczyła się w collegu w Stanton. Przyjechała do rezydencji The Pines na letnie wakacje w pięć dni po przyjeździe Moraya. 1 od tego czasu posiadała niepisany monopol na jego wolny czas. Była blondynką o niebieskich oczach, długich nogach i ładnej sylwetce. Gdy dorośnie, będzie wspaniałą dziewczyną, myślał o niej Moray. Jak na razie despotycznie mu się

narzucała Tak samo innym, którymi się interesowała, ale zwłaszcza Morayowi.

— To, co powiedział mi pan Dawley, jest absolutnie nie do powtórzenia, a ponadto to nie dotyczy twojej osoby — powiedział jej Moray.

- Powiedział ci, że czas przestać być kelnerem i zająć się czymś poważniejszym — odrzekła dziewczyna — Ma rację. Musisz zacząć zarabiać i coś odłożyć w oczekiwaniu na dzień, gdy skończę college i przyjadę cię poślubić. Moray i Robert wybuchnęli śmiechem. Susan wściekła się.

— Nie róbcie z siebie idiotów! Chcę go za męża i tak właśnie się stanie — rozumiecie? Była autentycznie wściekła, jej oczy rzucały błyskawice, ręce zaciśnięte w małe pięści, usta mocno zaciśnięte. Ten jej wyraz twarzy Robert znał od lat.

— Okay, okay — powiedział Robert starając się ją udobruchać — Zresztą nie byłby to taki zły wybór. O tym cię zapewniam. Najpierw skończ college, a potem zobaczymy, czy Moray będzie jeszcze wolny...

Rozwalę mu łeb, jeśli na mnie nie zaczeka!

— Uważaj, bo zdaje się, że jest od ciebie silniejszy — powiedział Robert.

— Wiem już wszystko o tych jego ciosach. Opowiadałeś o tym tysiące razy. Ale ja chcę go poślubić nie dlatego, że jest bohaterem, ale dlatego że mi się podoba. Dostyc tego!

Jedziemy na ten piknik czy nie?

— Niestety, ja nie mogę popłynąć na wycieczkę — - rzekł Moray. Jak wiecie, Billings ledwo stoi na

nogach. Dzisiaj wieczorem ma przyjechać do niego lekarz. Ja z kolei muszę wszystkiego przypilnować, ponieważ wieczorem przyjeżdżają pani Joan i pan Frank...

— Niech idą do wszystkich diabłów! — krzyknęła Susan — Gdyby moja siostra miała za grosz zdrowego rozsądku, to dawno by posłała tego idiotę Franka tam, gdzie pieprz rośnie!

— Przestań Susan! Nie chcę, żebyś się tak wyrażała! — Robert był wkurzony. Moray dodał od siebie:

— Ładnych słów uczą cię w collegu!

— Mogłabym ci powiedzieć jeszcze sto innych, i to o wiele gorszych! — darła się Susan uciekając.

— O rany! Ale jej zależało na tym pikniku na rzece! — westchnął Robert.

— Myślę, że twoja matka bardzo się martwi o twoją siostrę — odrzekł Moray — Będziemy jeszcze mieli okazję zrobić sobie piknik. Nasi przyjaciele indianie nie uciekną, a tymczasem pani Rose jest naprawdę zmartwiona. Nigdy jej nie widziałem tak smutnej...

— A ty co masz z tym wspólnego? — spytał Robert.

— Prosiła mnie, żebym stworzył właściwą atmosferę.... Zdaje się, że chce... chce porozmawiać z panem Frankiem. Tak zrozumiałem...

— Co za skurwiol, ten Frank! Za każdym razem, gdy do nas przyjeżdża, chce pieniędzy. Za każdym razem, gdy ja jadę do Stanton, prosi mnie o pieniądze! Łeb bym mu rozwalił, gdyby nie mama!

— Masz wspaniałą rodzinę, Robert! Jedyne małżonk twojej siostry jest trochę dziwny. Wszystkie sprawy się układają, więc i ta się ułoży. Zobaczysz...

— Ten cholerny robak! Gdyby nie purytańska moralność mojej mamy, to bym mu porachował wszystkie kości, jedną po drugiej! Moray nigdy nie widział swojego przyjaciela w takim nastroju. Ale może ten jego podły humor nie wziął się z nieudanego małżeństwa Joan, lecz z faktu, iż mimo wielu obietnic Lii jeszcze się nie pokazała; Robert nie miał od niej żadnych wiadomości. Moray zdawał sobie sprawę z tego, jak bardzo jego przyjaciel kocha Lii. Dlatego nie podobała mu się jej postawa. W tej samej chwili do ich uszu doszedł odgłos nadlatującego samolotu. Robert wydał z siebie jeden z tych odgłosów, niektóre oznaczają sympatii.

— Znowu ktoś zawraca gitarę! Zdaje się, że zbliża się do naszej zatoki.... Wyszli w ostatniej chwili, by rozpoznać jednosilnikowy samolot schodzący do lądowania na rzece.

— To Cliff i jego taksówka powietrzna. Schodzi do lądowania. To nie są Joan i Frank, ponieważ Joan sama prowadzi samolot. Ciekawe, kto to taki...

— A może skoczysz zobaczyć, kto przyleciał? Ja tymczasem pójdę przygotować małą jadalnię dla pani Rose. Roberta nie trzeba było przekonywać. Wsiadł do jeepa i jak rakieta poleciał w stronę lądowiska. Żeby to tylko była Lii Wade... Od pewnego czasu Moray stał się uosobieniem doskonałości. Stary Billings był nieużyteczny od tygodni,

więc do obowiązków Moraya należało nakryć do stołu, a potem podawać. Udało mu się nawiązać znakomite stosunki z kucharzem Mariusem, chłodne i bazujące na rozkazach z Ralphem, który nie szanował niczego poza władzą i siłą; natomiast stosunki z Molly były przeciętne. Zresztą od słynnego pierwszego wieczoru nie wzbudzała w nim większego zainteresowania. Tak czy inaczej, słuchano się go. Marius ze względu na czystą sympatię, Molly z przyzwyczajenia, Ralph dlatego, że musiał. Moray poszedł do kuchni sprawdzić, czy Marius wyrabia się z przygotowaniami i czy Molly wypolerowała srebra.

Obowiązkiem Ralpa było przygotowanie bukietów kwiatów na stół, niestety mimo długich poszukiwań Ralph był nie do znalezienia. Moray odkrył go z tyłu za domem, gdzie spokojnie wychylał trzecią z rzędu butelkę piwa. Opieprzył go. Ralph chciał mu podskoczyć, ale Moray był szybszy i zdzielił go. Ralph upadł, a wraz z nim padło całe jego zarozumiałstwo. Przypadkowym świadkiem zajścia była Susan. Z podziwem patrzyła, jak jej bohater wsadza sobie na plecy Ralpa (w rzeźni dźwigał w końcu całe byki) i wrzuca go do koryta wypełnionego wodą. Patrzyła, jak go wyciąga z powrotem i wrzuca ponownie. Usłyszała w końcu:

— Ralph, jeśli do wieczora zobaczę, że pijesz, to połamię ci kości. A teraz posłuchaj uważnie: najdalej za pół godziny chcę zobaczyć kwiaty na stole. Jeśli nie będą gotowe to obiecuję ci, że wylądujesz nie w korycie, ale w szpitalu. Jasne czy nie? A więc jednak jest bohaterem! Biedna Susan już sama nie

wiedziała, czy poślubi go z tego powodu, czy (eż dlatego, że po prostu jest najładniejszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek widziała. Około siódmej trzydzieści przyleciała Joan. Wraz z nią na wpół pijany Frank. O wpół do ósmej, do domu wpadł Robert. Zachowywał się, jak wariat:

— Moray! Moray! Mooorayyy! Gdzie się po-dziewasz do diabła?! Lii przyjechała! Gdzie jesteś do diabła?! Morayyy! Wyłaź! Moray wyszedł z kuchni prosto na oszalałego Roberta.

— Moray, człowieku! Przyleciała Lii! Lii we własnej osobie! Mam w nosie to, że są Joan i Frank. Chodź za mną. Wszystko już jest gotowe. Popłyniemy w górę rzeki i zrobimy sobie piknik! — Chce, żebyśmy zjedli kolację w trójkę. Oczywiście z wszystkimi przyjemnościami, jakie za tym idą. Kapujesz?! — krzyczał Robert, nie przejmując się wcale tym, że ktoś go usłyszy — Z tym wszystkim, co za tym idzie, kapujesz? Moray! Chryste! Nie mówiłem ci, ale nie wziąłem niczego do ust od tamtego popołudnia w Nowym Jorku. Moray! Nie wytrzymam dłużej!

— Rozumiem cię, Robert! odpowiedział Moray — Ale nie mogę teraz opuścić pani Rose. Możemy się zobaczyć trochę później i odbyć ten piknik we trójkę. Powiedz o tym Lii, zrozumie cię. Daj mi trochę czasu. Muszę pójść do stołu, potem do was dojadę... Robert w końcu się zgodził i Moray mógł zakończyć przygotowania do kolacji. Pani Rose tak bardzo na niej zależało... Musiał teraz wykonywać dawne obowiązki Molly i Billingsa

i bardzo mu zależało na tym, by dobrze wypaść. Od kiedy przyjechał do The Pines pani Rose była dla niego ostoją duchową. Moray bardzo ją podziwiał i szanował. A w tajemnicy przed wszystkimi, włącznie ze sobą, sądził, że pani Rose jest kobietą najbardziej podniecającą, jaką kiedykolwiek poznał. Ale to byłoby tak, jakby pożądać bogini. A przecież najważniejszą zasadą Moraya było stać na ziemi. Owszem, pani Dawley była słodka, piękna, inteligentna, ale przede wszystkim była bardzo dobra. Jej zrównoważenie, jej opanowanie zawładnęły Morayem i byłby gotów uczynić dla niej po prostu wszystko. Doszło do tego, że wstydził się gdy ona przyjmowała go w swoim pokoju wypełnionym słońcem on w myślach narzekał, że nie udało mu się ujrzeć nic więcej ponad kawałek nogi, nic więcej ponad profil jej ramion, nic poza jej boskim kształtem... Szukał każdej przezroczystości w jej lekkich ubraniach... Starał się tak stanąć, by mieć ją pod słońce. Wydawało się, że boska Rose Dawley jest całkiem pozbawiona wszelkich atrybutów seksu, a jednak była tak bardzo... Dowiedział się od niej, oczywiście w sposób absolutnie dyskretny za pomocą podstępnych pytań, że jest ona o wiele młodsza od męża (czterdzieści siedem lat przy jego sześćdziesięciu). Od kiedy ją poznał zawsze była słodka i cicha, była dla niego wzorem uczciwości i właściwego postępowania z innymi ludźmi. Moray uwielbiał ją. Przygotowania małej rodzinnej jadalni zostały zakończone w porę. Zdobiły ją piękne kompozycje kwiatowe przygotowane przez Ralpha.

Meble były wypucowane, lśniące srebra były ułożone bezbłędnie. Moray szybko się wykapał. Wyglądał nienagannie. Frank był zbyt gruboskórny, ażeby cokolwiek docenić, Susan natomiast ciągle była na niego wściekła, że upiera się przy wykonywaniu tego zawodu. Na szczęście Paul i Rose Dawley, jak również Joan — góra lodowa — docenili perfekcyjne przygotowanie stołu. Nie ufając ani Molly, ani Ralphowi, Moray przekonał Mariusa, żeby ten osobiście przynosił potrawy. Udało się tym sposobem uniknąć nieprzyjemnych przerw i oczekiwań na kolejne dania. Moray na koniec kolacji podał każdemu kieliszek Porto, jedynie Frank poprosił o podwójną porcję Rye z lodem. Po jedzeniu wszyscy przeszli do gabinetu. Było to niechybną oznaką, iż będą poważne rozmowy. Susan grzecznie wyproszono, wybiegła do ogrodu, przekonana o popełnionej wielkiej niesprawiedliwości. Moray poszedł do siebie, wykapał się, przebrał, wskoczył do samochodu pani Rose i pojechał w górę rzeki, tam, gdzie w szałasie oczekiwali na niego Lii i Robert z ich piknikiem w trójkę... Szalas postawiono na środku rzeki na mieliźnie. Jego konstruktorem był sam Paul Dawley. Wybrał malownicze miejsce, które w krótkim czasie stało się miejscem wycieczek i spotkań z Indianami z rezerwatu. Moray często tam jeździł z Robertem łowić ryby. Uznał to miejsce za jedno z najpiękniejszych w całej okolicy. Gdy dojechał na miejsce, nie spostrzegł nikogo. Wielki kosz z prowiantem stał nietknięty, zapewne czekano na niego. Podszedł do



okna. Zobaczył ich, leniwie pływających w spokojnej rzece. Podpłynęli do brzegu. Zobaczyli go.

— Rozbierz się i chodź do nas, popływamy trochę! Moray patrzył na Lii, na jej ciało. Zapomniał już prawie, że Lii jest tak piękna i pociągająca. Rozebrał się do naga i pobiegł na piaszczystą plażę. Przywitali go pryskając na niego ciepłą wodą z rzeki.

— Patrz kolego! Ale mi stoi! Lii nawet nie chciała mi dać małej zaliczki w oczekiwaniu na twój przyjazd!

— A jak się miewa twoja pała? Chyba całkiem nieźle, sądząc po tym, co widzę... Chwyciła Moraya za twardego kutasa i potrząsała nim radośnie. Robert stał i patrzył podniecony. Moray był kiepskim pływakiem i oboje wykorzystali to, by zabawić się jego kosztem. Wpychali go na głęboką wodę, kazali mu nurkować, a jeśli nie chciał, to robili to na siłę. Cała trójka była mocno podniecona, chłopakom pały stały na bacność, Lii natomiast była mokra nie tylko na zewnątrz... W pewnym momencie zabawa skończyła się... Wyszli z wody. Lii radosna, jak dziecko, chwyciła młodzieńców za członki i poprowadziła ich do szałas. Chłopcy z ledwością mogli ustać w miejscu z podniecenia. Robert, gdy tylko weszli do środka zaczął krzyczeć:

— Lii! Nie wytrzymam dłużej! Ja... Jeszcze chwila i spuszczę się... Za bardzo cię pożądam... — Wytrzymaj, zaciśnij zęby! Tym razem nie będziesz tak cierpieć jak w Nowym Jorku! Tym razem weźmiesz udział i to być może w większym stopniu niż Moray. Czy dobrze się prowadziłeś pod moją nieobecność?

— Jak dziewczica. A ty?

— Nie tknęłam żadnego faceta. Wiesz o tym dobrze, że nie mogłabym tego zrobić pod twoją nieobecność, ale trochę pieściłam się sama. A ty robiłeś to?

— Tak, wspominając ostatnią potyczkę z Mora-yem...

— A ty Moray? Zerznąłeś coś?

— Ale nie tutaj w The Pines — odburknął od niechcienia Moray.

— To co? Chcecie trochę pobuszować przed śniadaniem? — Lii pieściła swoje piersi.

— Owszem, chcę przekąsić ciebie! — odpowiedział zniecierpliwiony Robert.

Uśmiechnęła się prowokująco. Podała ręcznik Morayowi.

— Wytrzymaj mnie dobrze Moray. I nie zapomnij o każdym zakątku... a Robert będzie teraz grzecznie stał i patrzył. A jeśli będzie się dobrze zachowywał, to być może dam mu małą niespodziankę...

— Och, Lii! Chyba nie dam rady, chyba nie chcę być grzecznym chłopczykiem... Ja po prostu... chcę cię zerznąć!

— A ty Moray? Nie miałbyś ochoty się spuścić?

— Raczej tak — powiedział Moray. Wycierał ją. Jego penis uderzał raz po raz o jej brzuch, o jej uda, o pośladki, gdy się kręciła.

— Zgoda! Dam wam coś na przystawkę! — uśmiechnęła się dwuznacznie Lii. Wzięła ręcznik od Moraya i rozłożyła go w cieniu drzewa. Położyła się na nim, rozkraczyła nogi ukazując przyrodzenie lekko zarośnięte włosami.

— Podejdźcie tutaj! — rozkazała — Zaczynjcie się brandzlować. Chcę patrzeć, jak walicie konia, chcę, żebyście się na mnie spuścili...

Patrzyła na młodzieńców, jak z poświęceniem wykonują postawione przed nimi zadanie. Ich wielkie pały lśniły w słońcu. Lii patrząc na ten wspaniały widok podnieciła się, zaczęła się pieścić sama...

— Macie takie wspaniałe twarde pały! Chcę, żebyście mnie pokryli waszą spermą, całą od czubka głowy aż po stopy.... Chcę ją czuć na brzuchu, na buzi... chcę jej dużo... chcę jej całe mnóstwo... tak dużo.... mmmh... lubię patrzeć na wasze kutasy.... Aaach! Pysznie!

— Lii! — krzyknął Robert waląc z pasją kutasa

— Spuszczam się!

— Tak! Tak! Spuść się na mnie! — darła się Lii wpychając po kilka palców na raz w otwartą cipę

— Ty też Moray! Ty też! Spuść się na mnie razem z Robertem!

— Już! — wydarł się Moray. Nie mógł dłużej wytrzymać. Scena bardzo go podnieciła. Pierwszy wystrzelił Robert, jego kremowa fontanna wylała się na jej twarz i brzuch. Lii nie przestała się masturbować. Otworzyła usta. Liziała ściekającą spermę. Potok Moraya skierował się ku jej udom, rękoma, nogom. Przestała się pieścić, rękoma wcierała spermę w twarz, w brzuch i w twarde piersi.

— Spuściłem się, jak świnia! — użalał się Robert. Dzierżył w dłoni fujarę, która jeszcze zdradzała oznaki życia.

— Tak, jesteście świniami, a ja jestem dziwką! Ale ja się jeszcze nie wyżyłam!  
— I mnie jeszcze nie starcza! Nie chcę się masturbować, chcę cię zerznąć!  
— Więc ruchaj mnie, ty świniu! — rozkraczyła bezwstydnie nogi. — Wsadź mi swojego wielkiego kutasa, chodź tu i wsadź mi go całego, a Robert niech stoi i patrzy!  
— Dziwka! Wstrętna dziwka! — Robert był blady z podniecenia. — Jesteś wielką dziwką! Moray położył się na Lii, skierował swoją czerwoną pałę w stronę szparki Lii. Robert patrzył, jak otwór jego ukochanej otwiera się, by przyjąć wielką pałę. Chwycił za swojego fiuta, dreszcz przeszył jego ciało. Powoli zaczynał się masturbować...  
— Aaaach! Ale jest twardy i wielki! — krzyczała Lii przytulając się mocniej do Moraya — Pierdol mnie Moray! Zerznij mnie, jak należy! Ooooch! Tak! Tak! Właśnie tak! Silniej! Mocniej! Mocniej, Moray, mocniej!!! Moray wbił się w nią z całym impetem, wygiął, by móc ssać jej sutki, by móc je gryźć. Wbijał się w nią nie tracąc czasu, z wielką siłą i wprawą wiercił się w jej mokrej i ciepłej cipie.  
— Aaach! Moray mnie rżnie, Robercie, Moray mnie rżnie! Jest mi wspaniale! Już! Już.....  
— Ty kurwo! Ty dziwko, jesteś wielką dziwką!!! — darł się Robert. Jego kutas stał twardo  
— Spuszczę ci się na twarz, ty dziwko! Lii nie słyszała go. Nie widziała go nawet. Tkwiała w ramionach Moraya. Drżała targana serią spazmów, oczy na wpół przymknięte, usta otwarte w zdławionym krzyku, jej

twarz wygięta grymasem przyjemności i potwornego bólu. Pokryta potem opadła bez sił. Moray walił ją nadal w poszukiwaniu własnej przyjemności, która zbliżała się milowymi krokami.

— Och, Moray! — Robert masturbował się coraz szybciej — Zaczekaj chwilę, spuścimy się razem! Chcę jej się spuścić na twarz, poczekaj na mnie! Moray przestał. Siedział sobie spokojnie w pochwie. Patrzył na przyjaciela.

— Wsadź go do ust, Robert! Wsadź go do ust, niech ci go ssie! Niech ci wyssie całą spermę. Weź jej piersi, niech wie, kto tu rządzi! Moray musiał ustąpić miejsca przyjacielowi. Dźwignął się na rękach, ruchał ją wolniuteńko, upajał się widokiem jej białej cipy, jej ciała, które ledwo dawało rady, się rozciągnąć, przyjąć jego wielką pałę.

— Zrobię to... Tak! Zrobię to! Robert przybliżył się, stanął nad Lii dotykając pałą jej usta. Lii oddawała się spragnionym samcom nawet nie patrząc na to, co robią. Jej oczy były przymknięte. Pchnął, usta ustąpiły. Przebrnął przez zaporę białych zębów...

— Wsadzam ci go do ust, ty dziwko! Chcę się tak spuścić! Prosto do ust! Aaaach! Lii odpowiedziała mu mrużąc obłeśnie, jej usta zacisnęły się z większą siłą. Robert pchnął głębiej prosto w ciepłe gardło. Krzyknął z przyjemności.

— Aaaach! Jesteś moją dziwką! Moją dziwką i spuszczam ci się do ust! Aaaach! Ssij wszystko! Połknij to!

— Ja też... Ja też! Boże!!! Spuszczam się!!! — darł się Moray. W ostatniej chwili wyszedł na zewnątrz. Długie powtarzające się wystrzały pokryły ciało Lii, spływały z warg, trafiały w piersi, w okolicach pępka utworzyły najpiękniejsze w świecie jezioro. Moray wył i mrucał, wydawał z siebie dźwięki przypominające konające zwierzę. Po chwili Robert i Moray legli obok niej. Lii leżała zrelaksowana, smakując spermę Roberta.

— Mmmmh... Jaka smaczna.... Masz smaczną spermę, Robert! Wiesz o tym? Robert podparł się na łokciu, pocałował jej lepkie usta, Lii odpowiedziała mu muśnięciem zwiędłego penisa.

— Byłeś wspaniały i otrzymasz swoją nagrodę, ty świntuchu — uśmiechnęła się do niego — Ależ zgłodniałam. Wiecie co? Zjemy coś teraz, a potem się jeszcze pobawimy, okay? Propozycja zwróciła utracone siły. Chłopcy podskoczyli radośnie, ona poszła w ich ślady śmiejąc się radośnie. Słońce dawno już zaszło. Ciemność wszystko zakryła. Lii wyjęła z koszyka mnóstwo pysznych rzeczy, w tym butelkę francuskiego wina. W oka mgnieniu połknęli wszystko.

— Właściwie to od czasów naszego spotkania w Nowym Jorku nie byłem tak zrelaksowany i w tak dobrej formie — Robert zapalił papierosa — Czekałem na ciebie kawał czasu...

— Ja też miałam wielką ochotę cię zobaczyć, Robert — Lii uśmiechnęła się — Ale nie byłam zbyt pewna co do naszej przyszłości. Zresztą w tej chwili też mam wątpliwości. No, nic! We wrześnie otrzy-

mam dyplom na uczelni i wówczas podejmę decyzję.

— Ja chciałbym, żebyś mi powiedziała, że mnie kochasz. To wszystko!

— Tak, Kocham cię! Ale Kocham cię teraz, w tej chwili! A chcę mieć pewność, że będziemy się kochali zawsze i wszędzie! Ponadto... Chciałabym pożądać tylko Ciebie, tymczasem tak nie jest, przynajmniej na razie. Mieliśmy kilka wspólnych doświadczeń i przyznam, że to aktualne jest najbardziej obiecujące, ale taka młócka w trójkę nie może trwać wiecznie...

— Jeśli chodzi o mnie to może sobie trwać, wiesz? — odpowiedział pośpiesznie Robert — Nie myśl, że po ślubie będę chciał mieć wyłączność. Te spotkania w trójkę bardzo mnie podniecają i bardzo mi się podoba, gdy jakiś facet cię obmacuje. Fakt, że wolałbym, aby był to Moray. Mam na względzie przyjaźń, która nas łączy...

— Pogadamy o tym — ucięła krótko Lii — Teraz powinniśmy się wykąpać, potem wrócimy do szałasu, a ty otrzymasz swoją wielką nagrodę. Poderwała się i śmiejąc się pobiegła w kierunku wody. Robert i Moray pobiegli za nią. Woda w rzece była ciepła, bawili się, pływali, obmacywali się. Podniecali się. Lii trzymała chłopców za pały, były już twarde... gotowe do użytku. Poczwała, jak nadciągają fale podniecenia. Wyszli więc z wody i poszli do szałasu. Prowadziła ich trzymając za fiuty, rozmyślając o tym, co sama zrobi i o tym, na co im pozwoli.

— Chyba nigdy mi się nie znudzą, te wasze kutasy! — cieszyła się pozwalając chłopcom na to, by obmacywali ją pożądliwie, by ssali jej sutki. Robert długo się z nią całował.

Moray wpakował palec pomiędzy jej pośladki. Lii oderwała się od Roberta.

— Ty świnió! Robert! Czy ty wiesz, co on chce zrobić? Chce mi wpakować palec do pupy! I co ty na to?

— A ty chciałabyś tego? Może, gdy ja będę cię pieścił i tę twoją słodką cipkę... Jesteś cała mokra, ty mała, słodka dziwko!

— To chcica! Chcę waszych kutasów! Ale teraz wpakuj mi Robert swoje palce. I ty też, Moray! Chłopcy ścisnęli ją, Moray wpakował palucha, wiosłował namiętnie w środku. Robert czynił dokładnie to samo. Jego palec tkwił po dłoń wetknięty w jej cipie. Lii dała Robertowi język do ssania podczas, gdy jej ręce waliły konia spragnionym miłości chłopcom.

— Nie wytrzymam! — krzyknęła Lii odrywając się od nich — Zwariuję z chcicy! Twój język Robercie jest taki smaczny! Wasze palce, które mnie przeszukują! Wasze fiuty tak twarde! Chcę... chcę coś zrobić... Najpierw chcę wam dogodzić, nie chcę, żebyście się od razu spuścili... Dzisiaj wieczorem ja tu rządę... Będziecie moimi niewolnikami...

— Jak chcesz to zrobić? — spytał Robert nie wyciągając palca z jej mokrej cipy — Pamiętaj o mojej nagrodzie, chcę wiedzieć...



— Nie, przestań! Wyciągnij swój palec! Ty też, Moray! Przestańcie świntuchy! Posłuchali jej, byli jednak zbyt napaleni, spięci, niecierpliwi. Lii usiadła na jednej z belek szałas.

— Do mnie! Chcę wam ssać wasze kutasy, chcę wam dogodzić bo, gdy przyjdzie moja kolej, musicie wytrzymać jak najdłużej... Chłopcy podbiegli do niej podnieceni, stanęli przed nią wypinając fujary. Lii ujęła je w sposób, który szczególnie przypadł do gustu Morayowi. Pieściła je, przytawiła usta do dwóch fioletowych od podniecenia żołądki. Zaczęła jej ssać. Wpierw Roberta, później Moraya. Ssała ich na zmianę nie zapominając, by ręką podtrzymywać erekcję. Moray głaskał jej włosy. Robert wyciągnął rękę, by pieścić twarde piersi, ścisnął jej sutki. Miała pełne usta, piszczała i mruzczała z przyjemności.

— Wasze kutasy są takie piękne! Kocham je! Są tak piękne, gdy są twarde! — cieszyła się ssąc jednego po drugim.

— Lii, kochanie! Nie chciałbym się tak spuszczać! — marudził Robert — Ssiesz go wspaniale i... nie wytrzymam długo! Lii, kochanie! Chcę twojej cipy! Chcę cię zerznąć! Zaprzeczyła ruchem głowy. Ssała go nadal nie zapominając o magicznym ruchu dłoni. Wyjęła z ust kutasa Roberta i zanim wzięła do ust fiuta Moraya, który czekał cierpliwie na swoją kolej, rzekła do Roberta:

— Nie! Masz robić tak, jak ja sobie tego życzę, albo nie dostaniesz obiecanej nagrody. Chcę połknąć twoją spermę, jest taka pyszna!

— Jesteś prawdziwą dziwką, Lii! — ścisnął mocniej jej pierś Powiedz jej Moray, że jest dziwką!

— Jest wielką kurwą! — wykrzyknął Moray - Niech połyka twoje skarby, daj jej, ile tylko zechce! Spuść jej się do ust! Lii zaczęła ssać fiuta Roberta. Robert chwycił ją za głowę. Zaczął ją ruchać w usta długimi posuwistymi ruchami. Odbijał się od gardła, wychodził na zewnątrz i powracał.

— Teraz dziwko! Połknij wszystko! Aaaaach! Wszystkooooo! Lii ssała i połykała. Jednocześnie waliła konia Morayowi.

— Przestań! Umrę! darł się Robert, chciał ją odtrącić. Zdążyła jednak go złapać, przytrzymała za uda ze zdumiewającą siłą.

— Ty dziwko! Umrę przez ciebie! Nie wytrzymam! — Robert wiercił się usiłując się uwolnić. Przyjemność, której doznawał wydawała się wręcz bolesna. Lii nie puściła go. Miało się wrażenie, że chce go zjeść.

— Jesteś dziwką! Chcę ci rozwalić tyłek! Puść mnie... Oooch, zostaw mnie w spokoju! Oooch! Przestań ssać! Robert usiłował się wyrwać, ciągnął ją za włosy, ona zachowywała się tak, jakby chciała, żeby Robert cierpiał. Robert przygryzł wargi, gwałtownym ruchem wbił się w samo gardło. Zrozumiał, że jego penis nie straci nic ze swojej twardości, że będzie nadal taki twardy, że będzie siedział spokojnie w ciepłym gardle Lii.

— Ty kurwo! Chcesz ssać? Ssij, ssij, proszę! Udławisz się od mojej spermy! Przestała natychmiast, popatrzyła na niego.

— Dalej jest twardy! Tego chciałam! Och, Robercie! Kochanie! Pozwól, żebyśmy zrobili to tak, jak ja chcę! Odwróciła się do Moraya.

— Połóż się na ziemi! Moray wykonał jej polecenie. Lii pochyliła się nad nim, wzięła do ust jego członka. Robert patrzył na nich waląc konia.

— Od tyłu Robercie! Wsadź mi go od tyłu, do cipy! Uważaj, żebyś się nie spuścił. Jak będziesz czuł, że jesteś blisko, wyciągnij go! — Dobrze Lii, zrobię, jak chcesz! Robert podszedł bliżej, jego żołądź przebiła się przez białe futerko i wbił się po samą rękojęść. Westchnął z zadowolenia, zaczął ją rytmicznie pompować. Lii ssała z przyjemnością fiuta Moraya.

— Aaach! Nareszcie! Ależ wspaniała cipa! Mmmmh! Ale mi się podoba! Aaach, kochanie, jesteś wspaniała! Odpowiedziała mu mruczeniem, usta miała wypełnione członkiem Moraya, tyłkiem starała się chwycić każdy kawałek fujary Roberta. Robert czuł, jak błyskawicznie zbliża się orgazm; czuł, że będzie to kosmiczny orgazm, wielki, jeden z tych, które się nigdy nie kończą, że będzie to trzęsienie ziemi. Jego młode atletyczne ciało wypinało się w wysiłku, jego fiut penetrował jej głębie, uderzał o pośladki, odbijał się, każde nowe uderzenie było silniejsze, śmielsze, pożądliwsze. W pewnym momencie przypomniał sobie o jej poleceniu. Jednak długotrwałe podporządkowanie dało o sobie znać i powiedział sobie: skoro życzy sobie tego, to niech tak będzie. Przestał.

— Och, Lii! Kochanie! O mało się nie spuściłem! Rozszedł się głuchy odgłos tak, jakby ktoś otworzył butelkę szampana. To Lii wyciągnęła z ust wielkiego członka Moraya.

— Wspaniale Robercie! Przestań, zaczekaj...lepiej, nie! Lepiej, żebyś go wyciągnął nawet jeśli jest mi przykro z tego powodu... Tak mi przykro... Robert usłuchał. Wielki i twardy kutas wyszedł na zewnątrz mokry, obślizgła żołądź była spuchnięta z podniecenia. Robert odniósł wrażenie, że udało mu się o jedną sekundę, jeszcze chwila, a byłby eksplodował. Jeszcze w tej chwili walczył z orgazmem, który mógł nadejść niespodziewanie i zdradzić go. Lii chwyciła członek Moraya i ścisnęła go mocno. Chciała się przekonać o jego konsystencji. To, co zobaczyła spodobało jej się. Przekręciła się tak, by spocząć na nim okrakiem. Wolno opuściła się na niego. Gdy zaczął ją penetrować, westchnęła mocno. Palcami rozszerzała swoje przyrodzenie. Krzyknęła cicho, gdy penis wszedł do połowy swojej długości. Pisnęła, gdy zapełnił całe wnętrze. Jej białe włoski zmieszały się z ciemnymi włosami przyrodzenia Moraya. Pośladki Lii oparły się o uda młodzieńca. Nie było już nawet milimetra miejsca, które Moray mógłby mieć nadzieję wypełnić.

— Tak! Czuję go w całym ciele! Ale... ale jest długi, Moray! Ale jest wielki, ale mi się podoba! Czuję, jak uderza o moje... moje serce! Mam go w gardle... Wbij mnie na pal, kochanie! Przebij mnie... Boże! Jak dobrze! Moray, ty się nie ruszaj! Chodź tu Robercie! Chcę również Roberta! To jest

mój prezent dla ciebie! Wsadź mi go do tyłka, kochanie najdroższe! Chcę, żebyś mi się spuścił do środka! Chcę, żebyś mi go wsadził do tyłka i żebyś się spuścił! W pierwszej chwili Robert nie zrozumiał, nie mógł uwierzyć, pragnął tego od tak dawna. Lii pochyliła się nad Morayem, wsadziła mu język do ust. Robert zobaczył, jak przed nim wyrasta różowy otwór z kutasem przyjaciela w środku.... i spostrzegł obiekt swoich marzeń! Zobaczył go. Wyjąc, jak ranne zwierzę przywarł do niego. Nie patrząc na nie, nie zważając na ból, jaki mógł sprawić Lii, wycelował i wbił się w nią. Poczuł, jak kutas wchodzi głębiej, krzyknął:

— Rozwalę ci tyłek, ty dziwko! Lii stężała. W chwilę później młodzieńcy zaczęli się poruszać. Krzyczała, błagała ich, by ją rozwalili, by ją ruchali. Było w tym coś zwierzęcego, trwało to chwilę, było przepiękne i gwałtowne. Spuścili się jednocześnie. Nie pamiętali później krzyków, jęków, sprośnych ponagleń, dziwnych ruchów ciał. Moray spuścił się w środku. Robert wykrzyczał mnóstwo sprośności pomieszanych ze słowami miłości. Osiągnął orgazm. Tak potężnego się nie spodziewał. Lii czuła się tak, jakby latała po niebie, czuła się lżejsza od piórka, nie była w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa, z tych które przychodziły jej do głowy. Jestem dziwką! — to właśnie chciała głośno wykrzyzczeć światu.

## Rozdział dwunasty

Następnego dnia Moray dowiedział się od Molly, że wieczór w domu skończył się fatalnie. Pokojówka słyszała, jak pan Shapiro (Frank — mąż Joan) krzyczy, słyszała również odgrążającego się pana Paula. Później pani Joan zapakowała Franka do samolotu i odlecieli. W trzy godziny później wróciła sama. I tak, jakby tego było mało, biedna Molly musiała przeżyć około północy najazd Susan, która wtargnęła do jej pokoju. Wściekła zwymyślała pokojówkę od królików Mariusa.

— Myślała, że jesteś ze mną. Gdyby cię znalazła u mnie, to chyba urwała by ci jaja! — tłumaczyła Molly — Mnie groziła, że jeśli nie będę się trzymała z daleka od ciebie, to utnie mi piersi i da je do zjedzenia kurom na podwieczorek! Moray wrócił do posiadłości sam, bez Roberta, około drugiej rano. Robert pojechał odwiedzić Lii. Moray powrócił do swoich obowiązków zaczynając od podania śniadania panu Dawleyowi, które zgodnie z harmonogramem swoich zajęć miał zwyczaj jadać o wpół do ósmej w małej sali obiadowej.

Paul

Dawley przeglądał dziennik wydawany w Bismarck, przywożony każdego dnia o siódmej przez chłopaka na motorze. Wyglądał całkiem nieźle, mimo że było widać, iż jest zmęczony. Poinformował pana Paula, iż przyszła do niego korespondencja.

— Chciałbym, żebyś przygotował śniadanie również dla pani Shapiro... hmmm... dla mojej córki Joan — poprawił się tak, jakby wymawianie nazwiska zięcia sprawiało mu ból — Joan zatrzyma się z nami kilka dni, być może jakiś czas... Paul Dawley skończył swoje śniadanie, wybrał fajkę. Moray pomógł mu nałożyć lekką, letnią marynarkę, a potem odprowadził go do samochodu.

— Myślę, że moja córka Joan jest trochę nerwowa. Postaraj się to wytrzymać, czasami potrafi być nie do zniesienia... Moray zapewnił go o tym, że sobie poradzi. Paul Dawley odjechał do fabryki. Moray wrócił do kuchni. Marius przygotował śniadanie dla Joan.

— Lubi kuchnię francuską, lubi jeść lekko — tłumaczył Moray owi. Gorące rogaliki, kawa z mlekiem, sok z owoców.

— Wpierw podam pani Rose — zapowiedział Moray. W pewnym sensie czuł się winny wobec kobiety, w której kochał się skrycie. Przecież w gruncie rzeczy ruchał bezwstydnie dziewczynę, która ma zostać synową pani Rose. Co by powiedziała, jak by postąpiła pani Rose, gdyby dowiedziała się o tym? Słuchając Lii i Roberta, i ich wywodów na temat wolnego i swobodnego seksu, wszystko wyda-

wało się łatwe, ale miał wrażenie, że pani Rose nie byłaby tym zachwycona. Myślał o tym, pchając przed sobą wózek ze śniadaniem, gdy napotkał Susan.

— Pięknie! Zapewne byłeś gdzieś ruchać jakąś indiańską dziewczynę, co? Nie było cię nawet w pokoju Molly, tej małej kurewki za trzy grosze!

— Przystaniesz, albo będę zmuszony dać ci klapsa! — mówił serio Moray — Muszę zawieźć śniadanie twojej matce, a potem wrócić do pracy. Więc bądź uprzejma i zejdz z drogi.

— Tak się dziwnie składa, że ja i moja mama jemy razem dzisiaj śniadanie...

Rozmawiałam z Ralphem wczoraj wieczorem. Był pijany, ale widział cię, jak odjeżdżasz samochodem. Gdzie byłeś?

— Nie twoja sprawa. Proszę cię, złaż z drogi!

— A co się stanie, jeśli cię nie posłucham? Co, uderzysz mnie? Zrobisz to, prawda? Więc wal, macho, zrób to!

— Figa z makiem! Odejdź Susan, twoja matka czeka na śniadanie.

— Odejdź Susan! Oczywiście, to naturalne! Jestem dzieckiem! Ten krety, mój szwagier Frank, jest po uszy w długach, ale ja nie mogę nic o tym wiedzieć! Ta idiotka moja siostra wyszła za męża za impotentą, aleja o tym nie mogę wiedzieć! Idź spać, Susan! Odejdź Susan! Boże, przestań się odzywać do mnie w ten sposób! Moray, ty idioto! I uważaj, bo jak będziemy mężem i żoną, to ci się odpłacę! Była autentycznie wściekła (i tak piękna, zauważył Moray), że trudno się było z nią sprzeczać. Moray



wybuchnął śmiechem, natychmiast zauważył, że to ją obraziło.

— No, przestań! Nie chcę się kłócić od samego rana! I nie śmiałem się z tego, że jesteś śmieszna, ale... Moray przerwał. Z tą piekielną dziewczyną nigdy nie było wiadomo, jakich słów używać, w jaki ton uderzać albo jak się zachować.

— To dlaczego się śmiałeś? No, dlaczego się śmiałeś? Mów albo wyleję śniadanie mojej matki!

— Nie ma mowy! — postanowił być twardy. Uznał, że powinien postępować uczciwie z Susan. Nie chciał jej traktować jak małą dziewczynkę, nie chciał jej oszukiwać, nie chciał wykorzystywać jej niewiedzy.

— Dlaczego nie chcesz mi tego powiedzieć? — Teraz Susan zdradzała niecierpliwość, wyrażała to nie tylko oczami, ale całym ciałem. Moray nie mógł nie zauważyć zgrabnej figury dziewczyny, jej elegancji, jej pięknej i niezwykle ekspresyjnej twarzy, oczu o intensywnym niebieskim kolorze, które wyraźnie kontrastowały z jej jasną karnacją i z włosami w kolorze blond. Popatrzył na jej usta... były to usta kobiety: czerwone, gotowe do pocałunków, wyraźnie zarysowane. Pokręcił głową, jakby chcąc odpędzić złe myśli.

— Moray! Zrozum, cierpię, gdy mnie traktujesz, jak dziewczynkę! Ja nią nie jestem!

— Susan, nie traktuję cię jak dziewczynkę, ale nie jesteś również kobietą, powinnaś zdawać sobie z tego sprawę... — Masz zaledwie cztery lata więcej ode mnie, głupi szkocki Morayu! Ja mam trzynaś-

cie, a ty siedemnaście. Gdy będziesz miał osiemnaście, ja będę miała czternaście. Gdy będziesz miał dziewiętnaście, ja będę miała piętnaście, gdy będziesz miał dwadzieścia jeden ja będę miała siedemnaście, a od dawna wiadomo, że dziewczyna, która ma siedemnaście lat jest bardziej dojrzała niż szczeniak w wieku dwudziestu jeden! Ton Susan zmieniał się z każdą wyrzucaną z siebie liczbą osiągając na końcu apogeum. Była wściekła, jej oczy wysyłały błyskawice. Pragnęła zwęglić Moraya żywcem. W pewnej chwili poczuła jego oczy na swoich ustach, poczuła je na twardych stojących, małych piersiach, wyraźnie zaznaczonych pod lekką koszulką.

— Moray, ja...

— Idź sobie, Susan! Rozumiesz to czy nie? Spływaj stąd! Jego ton był chłodny, zdecydowany. Moray popatrzył na nią twardym wzrokiem.

— Tak, dobrze... Pójdę sobie.... Coś się wydarzyło pomiędzy nimi. Ona poddała się, on stał się twardy, ale w pewnym momencie znaleźli się na tym samym poziomie.

— Przepraszam cię, Moray, ale wiesz, dlaczego tak się zachowuję... — wymruczała.

Chciała coś jeszcze dodać, ale odwróciła się na pięcie i pobiegła w głąb korytarza. Moray pokręcił głową, pchnął wózek i poszedł w kierunku pokoju, w którym urzędowała Rose Dawley. Zastukał. Usłyszał jej ciepły głos, który prosił o wejście.

Mariusz też już wiedział o awanturze, która wybuchła poprzedniego dnia, ale nie wypytywał Moraya,

w jakim humorze znalazł państwa domu. Wszystkim było wiadome, że Rose Dawley nie ulega humorom nigdy i z żadnych powodów. I tak też było w tym przypadku. Rose spokojnie wymieniła kilka kurtuazyjnych zdań z Morayem, który oczekiwał, aż pani Rose pochwali śniadanie, następnie grzecznie oddalił się. I jeśli się nie mylił, pani domu spacerowała teraz w towarzystwie Susan po ogrodzie i wypytywała Ralpha o możliwość posadzenie krzaków róż, które wybrały z katalogu roślin.

— Okay, to jest śniadanie dla pani Joan. Uważaj, żeby ci nie wydrapała oczu, jeśli jest w złym humorze. Nigdy nie miała łatwego charakteru, ale zdecydowanie jej się pogorszył, od kiedy wyszła za mąż...

— Za kilka minut zejdę po śniadanie dla Billingsa. Co powiedział lekarz?

— Starość. Myślę, że pan Dawley przydzielili mu rentę i małe mieszkanie na terenie naszej posesji. Myślę, że obejmiesz jego miejsce i gratuluję ci z tego powodu. Stary Billings zarabia dwa razy więcej od ciebie, niczego w zasadzie nie robiąc. Nie komentując, Moray popchnął wózek w stronę wewnętrznej windy towarowej. Na górnym piętrze pokoje państwa były wielkości apartamentów: sypialnia, przedpokój i łazienka. Największy apartament zajmowali państwo Rose i Paul Dawleyowie, pozostałe były przeznaczone dla dzieci. Moray zastukał do przedpokoju apartamentu zajmowanego przez Joan. Nie usłyszał odpowiedzi. Zastukał raz jeszcze, po czym wszedł do środka. Pokój był pusty. Moray

otworzył okna, zawahał się, a następnie zapukał do sypialni. Ze środka doszedł przyciszony protest, wszedł do środka. Musiał przyzwycząić oczy do ciemności, by móc rozróżnić postać leżącą w łóżku. Odsunął grzecznie zasłonę.

— Śniadanie, pani Joan. Czy życzy sobie pani, żebym przyszedł później?

— Zostaw je i idź do diabła!

— Tak jest! — odrzekł Moray uśmiechając się mimo woli.

— Co powiedziałaś? — jej głos był bardziej bojowy niż śpiący.

— Powiedziałem: tak jest, proszę pani! Zostawiam wózek w przedpokoju.

— Nie, wejdź do środka. Sprawdź, czy w łazience jest ciepła woda. To było absurdalne, pomyślał Moray. Istniało centralne ogrzewanie wody. Również na piętrze dla służby była ciepła woda. Przyszło mu do głowy ich pierwsze spotkanie z Joan w jej domu w Stanton, gdy Frank i Robert rozmawiali o pieniądzach w jednym pokoju a on i Joan znajdowali się w drugim. Ona zaproponowała mu zieloną nalewkę...

— Kelner musi słuchać, to wszystko, pamiętasz o tym? — powiedziała mu Joan widząc, że się waha. Moray pamiętał, co mu kazała zrobić: Pokaż mi kutasa! Moim zdaniem jest wielki, jak... Pokazała mu pięść z wystającym ze środka palcem pokazującym małego fiutka... Zaczynij się masturbować, spuść się do kielicha... Zielony płyn, biała i gęsta sperma wlewająca się i mieszająca w środku, jej

żądanie i ona mieszająca zawartość palcem... i przed wypiciem całości zlizywała resztki z brzegów...

— Tak, proszę pani! Czy życzy pani, abym otworzył okna?

— Chcę, żebyś sprawdził, czy w łazience jest ciepła woda, upierała się Joan. Moray wszedł do łazienki. Była ciepła woda, o czym powiedział Joan.

— Bardzo dobrze — powiedziała — Napełnij wannę. Dorzuć sole, te zielone i te czerwone. W takich samych częściach. Moray usłuchał. Wrócił do pokoju oznajmiając, iż kąpiel jest gotowa.

— Wystygnie śniadanie — ośmielił się przypomnieć.

— To nie twoja sprawa, nie martw się tym — jej ton był niegrzeczny, wręcz bezczelny. Joan wstała z łóżka. Pod prześcieradłem była naga i Moray przełknął ślinę. Coś poruszyło się w jego spodniach. Była równie piękna, jak Lii Wade, być może nawet bardziej podniecająca. Pomiedzy udami był widoczny czarny trójkąt przykrywający przyrodzenie i tajemnicę seksu.

— Czy mogę odejść, pani Joan? — drżał mu głos. Był na siebie wkurzony.

— Powiem ci, kiedy będziesz wolny. Weź duży ręcznik z szafy i wejdź do łazienki. Tylko, żeby ci nie przyszły do głowy głupie pomysły, zrozumiałeś?

— Tak, proszę pani. Nie, proszę pani. Odnalazł ręcznik i wszedł do łazienki. Joan siedziała już w wannie, pluskała się w ciepłej wodzie i w solach perfumowanych. Patrzyła na niego, jak na robaka.

— Połóż gdzieś ten ręcznik i nie stój, jak strach na wróble! — krzyknęła na niego. Moray przypomniał sobie, co mu powiedział Paul Dawley, kilka godzin wcześniej, gdy odjeżdżał do fabryki: Staraj się przetrzymać Joan... Jest bardzo nerwowa...I czasem bardzo agresywna... Przypomniał sobie Joan wypijającą jego spermę i... jego kutas osiągnął zadowolający stopień stwardnienia. Położył na krześle ręcznik. Czekał. W wannie zielone sole mieszały się z czerwonymi, ręce Joan mieszały wodę wyzwalając mocny zapach perfum, w końcu położyła się wygodnie, nogi szeroko rozwarte, piersi na pół wystające z wody, głowa oparta o wannę.

— Teraz zrobisz to, co ci każe! — rozkazała mu Joan — Jesteś moim niewolnikiem i masz mnie słuchać. Wyciągnij fiuta i wal konia. Masz się spuścić do wanny. Dwa razy. Zrozumiałeś? Masz się masturbować bez przerwy i masz się spuścić dwa razy, ale do wanny! Moray pomyślał, że to była prawdziwa mania, prawdziwe zboczenie. Za pierwszym razem do kielicha, teraz do wanny, gdzie siedziała sobie spokojnie i gapiała się na niego z szyderstwem w oczach. I... dwa razy — powiedziała. Tym się nie martwił, ale naszła go wątpliwość: nie był zmuszony do tego, mógł się sprzeciwić. Ale później pomyślał: co powie panu Paulowi Daw-leyowi? Co powie pani Rose Dawley, gdy będzie musiał odeprzeć ewentualne zarzuty, jakie mogłaby mu postawić Joan? Prawdę? Nie. Prawdy nigdy nie powie. Nie chciał ranić pana Paula, przede wszystkim nie wyobrażał sobie, że będzie musiał o tym

opowiadać pani Rose. Nie! Nigdy! A ponadto w spodniach jego kutas był nadal twardy i czuł, że zaraz wybuchnie. Moray wiedział, że usłucha, chciał się masturbować w obecności Joan i chciał wpuścić swoją spermę do wanny. Jeden raz, dwa razy, sto razy, jeśli tylko da radę!

— Na co czekasz? — jej oczy błyszczały, usta miała zaciśnięte, jej ręce były rozciągnięte wzdłuż ciała, jakby bała się go dotknąć. Moray zauważył, że dłonie są zaciśnięte w pięści. Nie zdejmując idealnie wyprasowanej marynarki otworzył rozporek, uwalniając ze spodni węża o wielkiej głowie. Joan wybałuszyła oczy. Chcę się spuścić dwa razy tak, jak ona sobie tego życzy, ale natychmiast, powiedział sobie Moray przypatrując się ciału na wpół zanurzonemu w wodzie. Dałby wszystkie skarby tego świata, by móc ją wyciągnąć z tej wanny, rzucić na łóżko i zerznąć tak, by nie mogła złapać oddechu! O tym myślał, gdy nadciągnął błyskawiczny orgazm. Nawet on był zaskoczony! Nasienie leciało wysoko w powietrze i lądowało w wodzie cicho chlupocząc. Jeden z wytrysków uderzył w pierś Joan, inny wylądował na jej brodzie. — Dalej, świntuchu! Nie na mnie, do wody! Dalej, pośpiesz się, ty świniu! Oczywiście, że jej pokaże, tej dziwce, jak się osiąga orgazmy. Nie będzie go traktowała, jak niewolnika, jak przedmiot przyjemności! Bierny?! Nie, to ona była bierna, to ona leżała nieruchoma i gapiała się na jego fiuta, to ona zaciskała pięści aż jej kostki były białe, to ona cierpiała, to ona nie mogła wytrzymać z żądz.

A było to widać z przygryzionych warg, po tym, jak twarde były jej sutki wystające z perfumowanej wody!

— Tak, proszę pani! Będę się masturbował, spuszczę się do wody tak, jak pani sobie tego życzy...

— Zamknij się skurwysynu! — krzyknęła na niego — Zamknij się i wal konia!

Zobaczymy, czy potrafisz się spuścić raz jeszcze! Moray nie przestał nawet na chwilę, jedynie zwolnił trochę rytm. Patrzył na jej czarne włosy pomiędzy udami. Pomyślał: Chcę cię wyruchać, ty suko, chcę słyszeć, jak bła gasz o kutasa, chcę słyszeć, jak wyjesz z bólu! Chcę ci rozwalić tyłek, ty kurwo, dziwko, bo niczym lepszym nie jesteś! Wyobraził sobie, jak kutas wdziera się do środka i jak ona krzyczy i... fiut zeszywniał raptownie. Moray pomyślał, że za chwilę osiągnie drugi orgazm. Jeszcze chwilę i., ta dziwka zacisnęła nogi! Ty suko, pokaż mi swoją cipę, pokaż mi ją! Tak, teraz ją pokazuje... Znowu ją schowała! Co za dziwka! Zrozumiała na czym rzecz polega i teraz to wykorzystywała! Ale on zmienił obiekt zainteresowań. Patrzył się na jej twarde sutki wystające z wody i wiedział, że Joan umiera z żądz na ten swój masochistyczny sposób. Spuścił się z większą rozkoszą niż przedtem. Tym razem specjalnie skierował wytrysk w jej stronę, uderzał w jej piersi, w wystające sutki, w jej twarz, resztę do wody pokrytej białymi wstęgami jego nasienia.

— Głupek! Wstrętna świnka! — syczała, ale nie ruszyła nawet palcem, żeby oczyścić twarz i piersi



— Nie potrafisz robić nic lepszego, jak tylko się spuszczać! Głupia i nielogiczna była raczej ona, pomyślał Moray, ale powiedział:

— Zrobiłem to, co pani sobie życzyła. Czy mogę teraz odejść?

— Nie! Idź i przyprowadź tutaj Molly! Ale natychmiast! — krzyczała.

— Tak, proszę pani. Zaraz ją pani przyślę — westchnął Moray.

— Nie! Chcę was oboje, głupi zwierzaku! Chcę was oboje, pośpiesz się!

— Tak, proszę pani. Moary wyszedł z łazienki, wziął telefon i przycisnął mały przycisk łączący pokój z kuchniami. Odpowiedziała Molly we własnej osobie.

— Przyjdź natychmiast do apartamentu pani Joan

— polecił jej Moray i odłożył słuchawkę zanim głupia dziewczyna poprosiłaby o wytłumaczenie. Wszedł z powrotem do łazienki.

— Molly zaraz przyjdzie, proszę pani!

— Będzie lepiej dla tej małej suki, jeśli się pośpieszy! Ona jest kompletną idiotką, nie rozumiem dlaczego moi rodzice nadal ją trzymają w domu!

— Tak, proszę pani — powiedział Moary. Joan popatrzyła na jego spodnie.

— Kto cię upoważnił do schowania twojego urzędnika?!

— Ja... ja zrobiłem to, co pani sobie życzyła. Pomyślałem więc, że...

— Ty nie masz myśleć! — darła się rozwścieczona Joan — Jesteś sługą! O takim samym poziomie umysłowym, co Molly! Macie tylko słuchać!

— Tak, proszę pani — odparł Moray. Zdecydował, że przetrwa i że nie będzie się buntował. Zapukano do drzwi. Moray oddalił się, by je otworzyć. Przyszła Molly. Miała kretyński wyraz twarzy.

— Pani Joan czeka na ciebie — powiedział krótko Moray popychając Molly w kierunku łazienki. Dziewczyna wsadziła głowę do środka. Usłyszała szybkie: Wchodź, do jasnej cholery!

— Tak... proszę pani... Jestem już, pani Joan.... Moray zauważył, że Molly nigdy nie była przerażona. Ani wtedy, gdy wzywał ją pan Paul, ani wówczas, gdy prosiła ją pani Rose. Ani w tych chwilach, gdy powinna była zdradzać strach, np. po zbitiu wartościowej wazy.

— Usiądź na bidecie, kretynko! — krzyknęła na nią Joan podskakując w wodzie. Molly usłuchała, nie rozumiejąc przyczyn i nawet nie zadając sobie trudu, by rozszyfrować przyczyny takich żądań.

— Moray! Niech Molly possie ci kutasa, a potem ją zerznij! Chcę zobaczyć, czy jesteś do tego zdolny! Dalej, nie chcę słuchać żadnych ale! Pośpiesz się! Moray nie miał zamiaru podnosić jakichkolwiek obiekcji, był ciekawy, dokąd zaprowadzi gra prowadzona przez Joan. Gdzie chciała zająć? Co tak naprawdę tkwiło w jej duszy, oprócz tych manifestacji, które tylko pozornie były sadyzmem, gdy w rzeczywistości Joan karała samą siebie? Podszedł do Molly. Ona zerknęła na wszystkie strony tymi swoimi oczkami, poza właściwym kierunkiem, wyciągnął fiuta jeszcze sterczącego i obślizgłego od spermy.

— No, bądź dobrą dziewczynką i zacznij go ssać

— nakazał Moray. Miał pierwszą satysfakcję: Joan zmieniła pozycję, by lepiej widzieć. Zwrócił uwagę na mocno sterczące sutki i pomyślał, że Joan tylko się zdaje, że rozkazuje. Molly była przyzwyczajona do słuchania w każdej sytuacji. Otworzyła czerwone usta i Moray pchnął do środka fiuta. Molly polizała go, zaczęła ssać głośno połykając ślinę. Moray wiedział, że dziewczyna jest nimfomanką. Mimo, że zawsze pragnęła samca, nigdy nie udało jej się osiągnąć prawdziwego orgazmu. Była nieszczęś-niczką, której życie odmówiło wszystkich najpiękniejszych radości, jakich może dostarczyć kobiecie. Powoli, na oczach Joan, jego fiut osiągnął swoje klasyczne rozmiary, był twardy, i wielki i nadal siedział sobie spokojnie w ustach Molly.

— Ty draniu! Rznij ją teraz!

— Jak pani sobie życzy, żebym to zrobił? — zapytał Moray nie dbając o ton głosu, który był ewidentnie sarkastyczny — Na stojąco? Od tyłu? Na podłodze?

— Ty sukinsynu! Rznij ją od tyłu! Masz się spuścić do cipy! — krzyczała. Uderzyła pięścią o powierzchnię wody, bryzgi wody poleciały na całą łazienkę. Trafiły też w marynarkę Moraya.

— Wstań Molly! Ściągnij majteczki i odwróć się. Czy życzy sobie pani, abym zapłodnił Molly?

— powinien był oczekiwać wybuchu szału, ale tym razem otrzymał całkiem sensowną odpowiedź:

— Nie, ty idioto! Co ci przychodzi do głowy? Z takich dwóch głabów narodziłby się potwór!

Rznij ją i pokaż mi, jak się spuszczasz, oczywiście, o ile jesteś w stanie! Molly zdjęła majteczki, schyliła się posłusznie, głowę skierowała w stronę ściany, ręce oparła o sedes. Gdyby Moray myślał o niej, to prawdopodobnie nawet by mu nie stanął, miałby wrażenie, że rżnie biedaczkę, która nie jest w stanie przeciwstawić się takiemu starcowi, jak Billings, że zadaje się z takim obleśnym typem, jak Ralph, że chodzi do łóżka z takim zwierzęciem, jak Marius; biedaczka, która nie może żyć bez samców, a niestety nie ma z tego żadnej przyjemności. Jeśli jego fiut pozostawał twardy, to dzięki Joan i jej pięknemu ciału. Moray wiedział, że pragnie Joan i że ją posiadzie. Przystawił fiuta do czarnego rzadkiego lasu zakrywającego krocze Molly i pchnął go przeciw przeciwnikowi. Robiąc to patrzył na Joan, której błyszczące oczy zdradzały ogromne zainteresowanie. Szyja Joan była napięta, kobieta przygryzała wargi, zaczęła wynurzać się z wanny, by lepiej widzieć.

— Dobrze. Wobec tego nie zapłodnię jej. Będę ją rznął tak, jak pani lubi na to patrzeć. Pokażę pani moją spernę, pani Joan, mam jej jeszcze całe mnóstwo...

— Stul pysk i wal ją! — krzyczała Joan wiercąc się w wannie. Moray zauważył, że Joan gały wychodzą z orbit. Pomyślał, że ona jest jeszcze bardziej chora od Molly, ale że przynajmniej dla niej ma właściwe lekarstwo... Powoli pchnął kutasa do środka i zapytał:

— Molly, podoba ci się?

— Tak, proszę cię, wsadź mi go całego i zerznij mnie! Moray wsadził go do końca, pchnął mocniej, uderzył udami o pośladki Molly i... usłyszał, że aż jęknęła z przyjemności.

— Dziwko, lubisz kutasa! — syczała Joan. Dłonie miała tak silnie zaciśnięte na brzegu wanny, że kostki były białe. Moray nie poczynił żadnego komentarza. Zaczął walić ze wspaniałą regularnością, pamiętając, by często wyciągać całego fiuta tak, by Joan mogła lepiej widzieć jego wielkość. Nigdy nie przywiązywał większej wagi do wielkości penisa, ale im częściej słyszał, jak jego partnerki chwala go, zaczął myśleć, iż ma to jakieś znaczenie dla kobiet.

— Podoba ci się, Molly? — pytanie czysto retoryczne, odpowiedź płaska bez zmiany tonacji:

— Tak, Moray, podoba mi się...

— Głupia, mała krowa, nic więcej... No, dawaj, Moray! Spuść się! Na co czekasz, ty idioto?! To oczy Joan, a nie cipa Molly spowodowały, że osiągnął orgazm. Dziwka, mówiła Joan o Molly, ale to ona raczej nią była! Moray nadal pracował rytmicznie zaciskając ręce na biodrach Molly. Nie patrzył jednak na swoją partnerkę, lecz na widza. Ich oczy spotkały się i było to, jak iskra zapalnika: Moray ledwo zdążył wyciągnąć fiuta i już oblewał Molly, jej ubranie, jej uda, jej pośladki. Moray nie przestał patrzeć na Joan. Jej wzrok był jak zaczarowany, utkwiony w penisie wyrzucającym potoki białej lawy.

— Może tak być, proszę pani? Czy już możemy odejść? — pytał obraźliwym tonem. Joan nie była

w stanie odpowiedzieć. I dopiero po chwili przypomniała sobie o pytaniu.

— Nie! Wpierw musisz zerznąć jej tyłek! Rozwal tyłek tej suce! Molly zdobyła się jednak na protest:

— Nie! Moray, masz za dużego fiuta! Nie! Proszę cię, rozprujesz mnie!

— Proszę pani, ja myślę, że ona ma rację!

— Nie rozśmieszaj mnie, idioto! — krzyknęła Joan. Stała w wannie ukazując przepiękną figurę, niestety zdawało się, że starciła panowanie nad sobą — Mój mąż ma dwa razy większego od twojego! Dalej, wal ją w tyłek, jeśli oczywiście panicz Moray jest jeszcze w stanie! Ale tam! Już ci nie stoi! Nie masz siły! Jesteś zwykłym robakiem, kretyńcem, idiotą o opadniętym fiucie!

— Proszę cię, Moray! Nie rób mi krzywdy! płakała Molly. Odwróciła się, by zobaczyć w jakim jest stanie kutas Moraya i widząc, że twardy i wielki, przestraszyła się nie na żarty.

— Nie jest znowu taki miękki, ja bym powiedział, że jest raczej twardawy — powiedział spokojnie Moray odwracając się w stronę Joan — Jeśli zechciałaby pani sprawdzić...

— Jesteś kłamcą! To nieprawda! Jest miękki! Paskudny, obleśny, miękki kutas! — darła się Joan tak głośno, że Moray przeraził się, czy jej głos nie jest słyszany również w innych częściach domu. Joan wyglądała tak, jakby przeżywała atak hysterii. Moray przestraszył się. Krzycząc wierciła się, uderzała rękoma w niewidzialnego przeciwnika, miała pianę na ustach:

— Dość! Dość! Niech zjeżdża stąd ta mała dziwka! Precz! Śmiertelnie przestraszona Molly uciekła, potykając się o majtki. Moray złapał Joan tuż przed tym, jak kobieta usiłowała uderzyć głową o kafelki. Musiał z nią walczyć, by ją unieruchomić. I gdy w końcu udało się to, Joan wybuchnęła płaczem. Przytuliła się do Moraya, wypływając z siebie potok niezrozumiałych słów, zalewając marynarkę Moraya, jego krawat z emblematami klanu rodzinnego, koszulę i spodnie. Moray wziął ją na ręce i przeniósł na łóżko. Ogarnęła go niemiłosierna żądza.

— Moray, proszę cię! Nie rób mi krzywdy! Nie bij mnie! — błagała go. Z oczu płynęły łzy.

— Joan, ja ciebie pragnę! — wykrzyknął — Chcę, żeby było ci dobrze. Nie chcę cię bić!

— Bądź dobry dla mnie! — błagała go. Moray pchnął w jej pochwę twardego kutasa. Otworzyła się przed nim, przytuliła się do niego rękami i nogami. Nadal płakała, mimo požądania. Przestała, gdy Moray wszedł głębiej. Była mokra, ale tak wąska, że Moray miał kłopoty, by wejść w nią za jednym ciosem. Zmienił sposób. Był tkliwy i słodki, całował ją, lizał jej wargi i gdy Joan przygryzła mu wargę, uznał, że jest gotowa, by go przyjąć:

— Chcę cię, Joan! Chcę cię całą! pchnął z siłą. Joan westchnęła z przyjemności, Moray zaczął ruchać z pasją.

— Aaach! Powoli! Nie mścij się na mnie! Powoli! Nie bij mnie, proszę! Moray przestał. Utknął w środku. Całował usta, pogłaskał jej spocone czoło, jej włosy czarne jak heban.

— Joan? Czego się boisz? Ja nie chcę cię skrzywdzić... Słowo honoru, nie chcę cię skrzywdzić! Dlaczego miałbym to zrobić, skoro mi się podobasz? Joan, co ci się dzieje?

— Nie chcę, żebyś mnie bił... Nie rób tego, Moray, jeśli... nawet, jeśli nie będzie twardy... Nie rób mi krzywdy, och! Błagam cię Frank! Ja cię kocham! To nie moja wina! Frank?!? Nazwała go Frank! Nie było wątpliwości i Moray miał wrażenie, że jeszcze chwila, a opadną wszystkie emocje. I pewnie tak by się stało, gdyby nie ogromna wola, by ją posiąść, szczególnie teraz, gdy odkrył ją taką słodką i bezbronną.

— Nie skarbie! Nie zrobię ci krzywdy, chcę ci dogodzić! — wymruczał. Ponownie ją ruchał.

— Daj mi język, Frank, ssij mój język! Moray całował ją, językiem przeszukiwał usta. Starał się nie dawać jej silnych ciosów. Łapczywie obmacywał piersi, niewiarygodnie stojące sutki, ssał czerwony język. Każda chwila zbliżała go do orgazmu.

— Och! Frank! Kochanie moje! Będę miała orgazm! Co za wspaniały twardy kutas! Proszę cię, Frank! Wytrzymaj jeszcze chwilę! Tylko chwilę! Aaaach!!! Frank, kochanie!!! Oooooch! Patrzył na Joan. Była zadowolona. Orgazm zapanował nad nią całkowicie. On sam nie miał siły, by wyciągnąć go na zewnątrz. Gdy Joan krzyczała, krzyczał i on. Spuścił się w niej. Nawet nie zauważył, że w chwili największej przyjemności Joan wbiła mu w plecy paznokcie. Darła mu skórę, krzyczała:

— Frank! Oooooch! Frank, kochanie moje!



## Rozdział trzynasty

Tego dnia przy obiedzie brakowało Roberta i Susan. O pierwszym było wiadomo, że jest gościem państwa Wade, ale Moray nie potrafił sobie wytłumaczyć nieobecności Susan. Joan była zrelaksowana, natomiast pani Rose i Paul Dawleyowie wyglądali na zmartwionych, w ogóle nie tknęli jedzenia. Po scenie, która rozegrała się w łazience ani Joan, ani Moray nie próbowali ze sobą rozmawiać. Moray z natury był cichy i nie wtrącał się w życie innych osób. Joan natomiast była zapewne nadal wstrząśnięta nowym doświadczeniem, które zdaniem Moraya, ukazało jej nowy świat, pełen miłości i prostoty. Po południu wrócił Robert. Był w znakomitym humorze i poszedł do pokoju matki o godzinie, która była nietypowa na ich spotkania. Później Robert odnalazł przyjaciela i zaciągnął go daleko od uszu ciekawskich.

— Lii odleciała do Nowego Jorku — zaczął Robert — Zdecydowała się skończyć szkołę we wrześniu. I zdaje się, iż zdecydowała, że mnie poślubi. Tak przynajmniej mi się zdaje. No cóż, nie

potrafię ci powiedzieć, czy po ślubie nasze stosunki we trójkę będą nadal takie same, może Lii nie będzie tego chciała, i wiem, że ty Moray, będziesz w stanie zapomnieć o tym wszystkim, co się nam przytrafiło...

— To, o czym na pewno nigdy nie zapomnę, to

o tym, że kocham i ciebie, i Lii — śmiał się Moray — Jeśli to prawda, że Szkoci są skąpi, to jest również prawdą, że zadłużę się, by kupić wam najpiękniejszy prezent na świecie! Uścisnęli się, wzruszeni czując, że ich przyjaźń jest autentyczna. Robert przeszedł jednak do innej sprawy.

— Moja mama niepokoi się Susan. Wyobraź sobie, że dzisiaj rano Susan wróciła do college'u. Postanowiła, że zrobi dwa lata w jednym roku,

1 wobec tego, będzie się uczyła przez pozostałą część lata. Moi rodzice nie potrafią zrozumieć tej nagłej miłości do nauki, ale ja chyba zaczynam coś niecoś rozumieć. Nie chce być traktowana, jak dziewczynka, zwłaszcza przez ciebie, Moray...

— Robert, ja nie zrobiłem niczego, żeby...

— Okay, nie musisz mi tego mówić, aleja dobrze znam swoją siostrę. Mimo swoich trzynastu lat ma żelazną wolę. Jest w tobie zakochana i szybko jej to nie przejdzie. Myślę, Moray, że powinniśmy dać jej trochę czasu...

— Słuchaj Robert, mnie Susan bardzo się podoba, ale...

— Uważasz, że jest dziewczynką? Mylisz się, Moray. Za kilka lat, najpóźniej trzy, będziecie równi wiekiem. Nie muszę ci mówić, że będziesz mile przyjęty w roli szwagra. No, ale nic, nie

mówmy o tym. Pozostając jednak przy szwagrach, muszę wyznać ci coś przykrego. Pokapowałeś się pewnie, że pomiędzy Frankiem a Joan sprawy nie układają się najlepiej. Kiedy pobrali się on był mistrzem Północnej Dakoty. Piękny młodzieniec, mistrz baseballu, magister uniwersytetu w Columbia. W Stanton ich ślub był wielkim wydarzeniem, ale w kilka miesięcy później zaczęły się kłopoty. Moi rodzice tego nie wiedzą, ale na skutek czegoś, co wydarzyło się pomiędzy nimi, Frank zaczął pić, zadłużać się, a w ostatnich czasach myślę, że również zaniedbał Joan. Ona nigdy się do tego nie przyzna, jest zbyt dumna, a może boi się, że ojciec zniszczy Franka. Ja osobiście połamalbym mu kości, gdybym wiedział, że bije Joan. Moja mama chciałaby, żeby Joan zatrzymała się u nas w The Pines, chociaż na kilka tygodni i wydawało się, że ona nawet się z tym zgadza, jednak zaledwie parę godzin temu powiedziała, że kocha Franka i wraca do niego jeszcze dzisiaj wieczorem. Ja osobiście uważam, że to błąd. A co ty, o tym sądzisz?

— Ja uważam, że twoja siostra powinna wrócić do męża. — westchnął Moray po chwili namysłu — Jeśli ona naprawdę go kocha, to sądzę, że wszystko się między nimi ułoży...

— Sądzisz?

— Inaczej bym tego nie mówił. Może twoja siostra jest... ja wiem?... jak by to powiedzieć?... zbyt dumna z siebie i ze swojego nazwiska... może powinna być bardziej tolerancyjna dla swojego męża...

— Porozmawiam wieczorem z tatą. No nic. Zdaje się, że tegoroczna zima będzie bardzo smutna, bez Lii, bez dziewczyn. Nie chcę iść do łóżka z byle dziewczyną, ale jeśli chodzi o ciebie, to poznam cię z Oczyma Księżycą i Słodką Gazelą, dwoma dziewczynami z indiańskiego rezerwatu, całkiem niezłe...

— Nie, myślę, że nie chcę ich poznać uśmiechnął się Robert — Trochę samotności i kilka chwil relaksu dobrze mi robi...

— Nie wiem, czy słyszałeś o Billingsie? Lekarz powiedział, że lepiej przydzielić mu rentę. Nie będzie on nam bardzo pomocny, zdaniem lekarza nie jest w stanie wykonywać swoich obowiązków. I o tym moja mama chciałaby z tobą porozmawiać. Jednak zanim pójdziesz do niej, chciałbym ci coś powiedzieć. Dlaczego nie przyjmiesz oferty taty na pracę w fabryce? Bylibyśmy razem i jestem przekonany, że mógłbyś zostać jednym z kierowników...

— Słuchaj, ja znakomicie czuję się w domu — Uwielbiam twojego tatę i panią Rose...

— I oni również cię lubią i być może bardziej niż ty ich, potwierdził Robert — Ale tato uważa, że Szkot nie może całe życie być kelnerem. Jego zdaniem Szkoci to rasa panów! Pogadam z nim — Moray był zadowolony. Wrócili do domu. Robert poszedł zadzwonić do Lii, Moray natomiast poszedł do pokoju pani Rose, gdzie czytała, jak było to jej zwyczajem o tej porze.

— Dziękuję za przyście. Chodzi o Billingsa. Jego stan zdrowia nie pozwala mu na dalsze wyko-

nywanie zajęć i postanowiliśmy przyznać mu małą rentę. Będzie mieszkał w małym mieszkaniu. Trzeba go zastąpić i pomyślałam o tobie. Mój mąż, zresztą Robert również, sądzą, że powinieneś pracować w fabryce. Obydwaj uważają, że byłbyś znakomitym kierownikiem... Rose Dawley zrobiła przerwę i uśmiechnęła się. Ilekroć uśmiechała się Moray był nią oczarowany. I tak też stało się tym razem. Wiedział, że pani Rose czeka na odpowiedź, ale nie potrafił oderwać wzroku od jej pięknej twarzy, słodkiej i surowej jednocześnie, otoczonej ciemnymi i lśniącościami włosami. Gdy w końcu udało mu się wydobyć słowo zabrzmiało ono z nutką podniecenia.

— Chciałbym podziękować zarówno pani, jak i panu Paulowi i Robertowi. Dziękuję, czuję się zaszczycony, ale... kocham pracę, którą wykonuję w tym domu i jeśli pani nie ma nic przeciwko temu...

— Chciałbyś nadal ją wykonywać? Och, Moray tak bardzo się przyzwyczaiłam do ciebie, że brakowałoby cię bardzo — uśmiechnęła się. — Powiem o tym Paulowi, ale jestem przekonana, że tak łatwo tego nie przełknie.

— W fabryce mogę spędzać swój wolny czas — zaproponował Moray. On chciałby uszczęśliwić wszystkich.

Dobrze, tak właśnie zrobimy. Oczywiście, jeśli przyjmiesz posadę Billingsa, będziesz potrzebował kelnera. Powiem o tym Joan, wyjeżdża dzisiaj wieczorem do Stanton.

Poproszę ją, by w miarę możliwości znalazła kogoś normalnego.

— O, nie, proszę pani! — protestował Moray. Nie chciał rezygnować z podawania do stołu. Bardzo lubił to zajęcie — Nie ma takiej potrzeby, a ja bym nie chciał, żeby... to był ktoś, kto nie będzie na wysokości zadania!

— Chcesz sam wszystko zrobić? — uśmiechnęła się Rose.

— To nie będzie trudne zajęcie. Billings jest stary, a ja nie jestem stary. Mogę wykonywać obydwa zajęcia, proszę pani!

— Przyznam szczerze, że byłoby mi przykro, gdybyś nie podawał do stołu, a ponadto nie wiem, czy bym się przyzwyczaiła do obcej twarzy w domu... No nic, porozmawiam o tym z Paulem. Oczywiście będę popierała twoją tezę.

— Ogromne dzięki, pani Dawley! Stało na ich zdaniu. Moray awansował do roli kamerdynera i otrzymał pensję Billingsa, ale nadal podawał do stołu ku radości wszystkich domowników. W wolnych chwilach spędzał czas w fabryce u boku Roberta, który w niedziele uczył Moraya latać samolotem. Było dla niego ogromną satysfakcją, gdy Moray dokonał pierwszego nienaganego lądowania na rzece. W domu Ralph wykazał się większym zdyscyplinowaniem, nie pił już tak wiele i nie napadał już na Molly chyba, że ona sama tego szukała. Nadzwyczaj dobrze dogadywał się z panią Rose Dawley. Razem wybierali tkaninę na zasłony, a nawet ubrania dla niej. Moray wykazał wrodzony, dobry gust. Często razem latali do Stanton zobaczyć się z Joan i Frankiem, który zdawał się być

całkiem inną osobą: był miły dla wszystkich, słodki dla żony, nie miał już worów pod oczami, które nie były już zaczerwienione. Joan była wesółą, uśmiechniętą, jak nigdy do tej pory. Moray zastanawiał się nad tą zmianą, i czy nie była ona związana ze sceną w łazience. Nie był, jednak zbyt ciekawski, wystarczyła mu satysfakcja, że Joan i Frank żyją w dobrej harmonii i że Paul i Rose Dawleyowie są z tego powodu zadowoleni. Robert był prawie szczęśliwy. Lii pisała mu długie listy miłosne, w których przewijało się jej wielkie pożądanie. Obiecała, że przyjedzie na Boże Narodzenie. Pisała mu o tym, co będą robić, sami, tylko we dwójkę.

— Oznacza to, że jest już pewna tego, że mnie kocha i że nie musi być podniecona przez obecność trzeciej osoby — głośno rozumował Robert pokazując list przyjacielowi — Oczywiście, ja jestem gotowy cię zaakceptować, jeśli ona tego będzie chciała...

— Zobaczysz, że tego nie zrobi — uśmiechnął się Moray — Przeszła już przez to stadium... Z college'u w Stanton mała Susan dzwoniła do domu kilka razy w tygodniu, ale nigdy nie pytała o Moraya. W zamian pisała długie listy do Roberta, a w nich dużo miejsca zajmował Moray.

— Proszę cię, nie zabieraj go do rezerwatu Indian, a zwłaszcza do Fortu Berthold. Są tam potworne świntuchy. Ja się nim zajmę, gdy przyjdzie właściwy moment... Robert pokazywał te listy Morayowi. Razem się śmiali, jednak Robert był przekonany, że siostra bierze całkiem serio to, co mówi.

— Gdy wbije sobie coś do głowy, to nie ma na to siły. Zresztą za parę lat będziecie mieli właściwy wiek. Sądzę, że ani mamie, ani tacie nie sprawi przykrości, jeśli... Moray kręcił głową, zaskoczony i zawstydzony. Dziwne wrażenie na nim robiło, gdy Robert mówił na panią Rose mama. W ostatnich czasach zadreślał się obecnością pani Dawley, nie był w stanie sobie wyobrazić, że ona może być czyjąkolwiek matką. Często zastanawiał się nad jej życiem seksualnym z mężem. Marzył o tym i... cholernie się podniecał. Może robił błąd nie szukając jakiejś dziewczyny, na przykład jakiejś piękności z indiańskiej osady. Może powinien odbić sobie na Molly ten dziwny stan podniecenia. Nie mógł w każdym razie pozostawać z daleka od pani Rose Dawley i ona, ze swojej strony, coraz więcej czasu spędzała z Morayem i coraz częściej prosiła go o różne rady. Polecieli razem do Stanton, gdy Moray podjął decyzję, że chce zdać egzamin drugiego stopnia na pilota. Rose chciała kupić trochę ubrań i bielizny, no i oczywiście wykorzystując obecność Moraya, poprosić go o radę. Moray odbył egzamin z samego rana i przeszedł go pomyślnie. Następnie odprowadził panią Rose do ulicy, gdzie miały swoją siedzibę najlepsze sklepy, wypowiedział się na różne tematy, wywarł dobre wrażenie na paniach w sklepie i dopiero w trakcie kupowania bielizny odsunął się na bok. Przyszła w końcu kolej na męskiego krawca i na nic się nie zdały protesty Moraya.



— Zgadzam się z Paulem, że powinieneś nosić eleganckie ubrania. Dostyc z ubraniami kamerdynera — zdecydowała w końcu. Wybrali tkaninę i buty. Zdecydowano również termin drugiej przymiarki. Na sam koniec poszli do najlepszej restauracji w mieście.

— To dziwne wrażenie, że to nie ty podajesz do stołu. Ci tutaj są dobrze wyszkoleni, ale nie posiadają twojej delikatności i wrodzonej uprzejmości. Tak czy owak, jestem bardzo głodna i czuję, że mogłabym zjeść całego homara! Zrobiła to faktycznie, popiła go na dodatek połową butelki szampana. Moray nigdy nie widział jej tak radosnej, wręcz szczęśliwej. I nigdy tak pięknej i... tak... tak podniecającej! Czarne oczy lśniły, czerwone usta były przymknięte, za nimi często rozbłyskały białe zęby dwudziestoletniej dziewczyny. Miała na sobie lekką sukienkę, dobrze przylegającą do ciała. Moray przez całe śniadanie miał twardego penisa. Do hotelu wrócili na piechotę. Zawsze tam się zatrzymywali, nawet wówczas, gdy mieli wrócić tego samego dnia do The Pines.

— Jest bardzo wygodny — tłumaczyła Morayowi Rose — Choćby po to, by się wykapać, czy po to, by chwilę odpocząć przed powrotną podróżą. Mamy jednak dużo czasu, nie sądzę, by sprzedawcy ze sklepu zdążyli już dostarczyć zakupy. Może przespacerujemy się jeszcze trochę. Masz ochotę? Moray miał oczywiście ochotę. Chodzili po ulicy, patrzyli na wystawy sklepowe. Zatrzymali się przed wejściem do kina.

— Może wejdziemy? Chociaż na pół godziny, dla zabicia czasu... Weszli do środka. W całkowitej ciemności zatrzymała się i Moray, który szedł z tyłu wpadł na nią, poczuł jej twarde pośladki. Odskokzył. Wzięła go za rękę.

— Poczekajmy chwilę. Pozwólmy oczom przyzwyczać się — szepnęła Nic nie widzę. Moray czuł jej miękką rękę w swojej, jej ciało opierające się o jego, cała krew spłynęła do penisa. Stał nieruchomy, przepojony każdą chwilą kontaktu, zastanawiając się, czy przypadkiem ona sobie tego nie życzy i mając nadzieję, że nie zwróci na to uwagi. Powoli oczy przyzwyczały się. Tymczasem na ekranie rozgrywała się nocna scena: jakaś postać o zamaskowanej twarzy wdrapywała się po rynnie na dach domu.

— Tam jest rząd pustych foteli — szepnęła pani Rose Morayowi prosto do ucha. W tym samym momencie skończyła się nocna scena. Na jej miejscu pojawiła się kolejna, rozgrywająca się w jasnym pokoju. Usiedli. Na ekranie jakaś blondynka rozbierała się w sypialni. Gdy znalazła się w bieliźnie, scena zmieniła się. Mężczyzna stanął na parapecie i podglądał przez okno. Za oknem ta sama kobieta układała w kasetce swoją biżuterię. Moray popatrzył na profil pani Rose: był piękny, usta miała przymknięte, czekała na kolejną scenę. Założyła nogę na nogę, spódnica ześlizgnęła się ukazując kawałek nóg. Moray miał w nosie blondynkę na ekranie. Jego wzrok był utkwiony w tym małym kawałku ciała pokrytego nylonem. Kolejna scena.

Blondynka zdejmuje bieliznę. Przegląda się w lustrze. W końcu kładzie się do łóżka. Ubrana w niewielką koszulkę nocną, weszła pomiędzy dwa prześcieradła i zgasiła światło. Okno otwarło się powoli. Widać było postać mężczyzny wskakującego do środka. Pani Rose była wpatrzona w rozgrywającą się scenę. Przełykała ślinę. W środku panował teraz półmrok. Mężczyzna wyjmował po kolei wszystkie klejnoty. Nagle zapala się nocna lampka: kamera skierowana na przerażoną twarz kobiety, jedna z piersi wyskakuje na wierzch. Kamera na twarz mężczyzny. Uśmiech sarkazmu, nóż skierowany w stronę kobiety. Jego głos:

— Siedź cicho, jeśli nie chcesz by wydarzyło ci się coś gorszego! Jej głos:

— Nie! Błagam cię! Nie rób mi nic złego! Rose Dawley w swoim fotelu sprawiała wrażenie zupełnie zaszokowanej. Oczy szeroko otwarte śledzące każdy ruch na ekranie.

Głos mężczyzny:

-- Nic ci nie zrobię, jeśli będziesz dla mnie dobra... Podchodzi do łóżka. Kamera na steroryzowane oczy blondynki. Mężczyzna przykłada jej nóż do gardła. Kobieta traci przytomność. W końcu facet odkłada nóż na nocny stolik, gasi światło. Dziwne odgłosy, jakby walki, jej głos

błagający:

— Nie! Nie rób mi tego! Głos faceta:

— Zrobię to, na co będę miał ochotę! Moray widział, że Rose ma wzrok utkwiony w ekranie. Drżała. Nie tracąc z pola widzenia ekranu odnalazła rękę Moraya i ścisnęła ją silnie.

— Jak sądzisz? Co jej zrobi? Chce ją zgwałcić?

— Obawiam się, że już to robi — odpowiedział Moray rzucając wzrokiem na ekran — Czy życzy pani sobie, żebyśmy wyszli?

— Nie! Jeszcze nie! Za chwilę... Ale... Co on jej robi? Nie widzę zbyt dobrze bez okularów! Moray patrzył na ekran.

— Zdarł z niej koszulę nocną i wiąże jej ręce z tyłu, na plecach! A teraz... No cóż... Gwałci ją... Na ekranie widać było kobietę związaną i wydającą z siebie różne dźwięki, a później oddech tego gościa leżącego na niej...

— On... On ją gwałci od tyłu! — krzyknęła pani Rose — To sadysta!

— Oczywiście! — odpowiedział Moray. Ręka pani Rose cholernie go podniecała, w ogóle nie interesowało go to, co dzieje się na ekranie.

— Ale to chyba na niby, prawda?

— Oczywiście!

— Ale ona jest goła, pod mężczyzną...

— Tak, jest goła...

— On ją związał i wyzyskuje ją w ten sposób... tak bestialski... Moray zauważył, że pani Rose cała drży, wierci się w fotelu, jej ubranie odkryło kolejne fragmenty ciała, widać było czarny pas do pończoch, piękny kawałek ciała... Bał się, że jeszcze chwilę, a spuści się prosto w spodnie! To by była niezła historia! Wolałby się zabić niż pokazać, że nie okazuje jej wystarczająco dużo szacunku, nawet przy pomocy oczu. Scena zaciemniła się. Na sali zapaliły się światła, skończyła się pierwsza część.

Niektórzy z widzów patrzyli z zainteresowaniem na piękną kobietę i młodzieńca siedzących w ostatnim rzędzie. — Chodźmy stąd! Szybko! — zdecydowała Rose. Wstali, Moray szedł przodem ze spodniami wypchanymi członkiem, który ani myślał, by zmaleć. Na zewnątrz Rose zaczęła biec. Moray nie potrafił wytłumaczyć sobie tej nagłej zmiany humoru. Była tak wesoła i skora do uśmiechu aż do czasu, gdy weszli do tego przekłętogo kina. Teraz była blada, usta zaciśnięte, oczy utkwione w jednym punkcie. Idąc często wychodziła przed niego i Moray, mimo iż czuł się winnym z przyjemnością patrzył na smukłą sylwetkę, na jej piękne nogi, na ślicznie zarysowujące się biodra i grę pośladków pod spódnicą. Gdy doszli do hotelu portier poinformował ją, iż paczki zostały przyniesione i zostały wstawione do jej pokoju. Krótко podziękowała. Moray dał niewielki napiwek portierowi. Wsiedli do windy. Dojechali na właściwe piętro i weszli do jej małego apartamentu.

— Ale gorąco! — rozejrzała się dookoła — Proszę cię Moray, przymknij co nieco zasłony w sypialni, dobrze? Ja wejdę tymczasem do wanny i trochę się'odświeżę! Poszła do łazienki, a Moray zasłonił okna. Był już koniec września i niezwykle, jak na tę porę roku, upał opanował miasto. Wrócił do salonu, z łazienki usłyszał głos pani Rose, która zachęcała go do zdjęcia marynarki.

— Moray! Zdejmij marynarkę, inaczej ugotujesz się! Nie, absolutnie nie czuł się na siłach, by zdjąć marynarkę i zostać w samej koszuli. Koszula ozna-

czała dla niego karę. Zbeszcześcił dobre imię pani Rose. Na szczęście penis zmniejszył uprzejmie swoje rozmiary, ale całe jego ciało przechodziły ciarki. Drzwi od łazienki otwały się. Wyszła Rose Dawley. Moray poczuł, jak jego policzki rozgrzewają się do czerwoności. Jego ciśnienie wzrosło do niepokojącej granicy. Rose miała na sobie najbardziej skąpą bieliznę osobistą, jaką Moray kiedykolwiek widział.

— Moray! Nie zdjęłeś marynarki! Moray przełknął ślinę. Stojąca w odległości dwóch kroków od niego Rose Dawley powiedziała:

— Zdejmij pasek od spodni! Potrzebuję go. Moray szukał rozpaczliwie pomocy, usiłował odwrócić wzrok, ale ona nie pozwoliła mu na to. Ruchem powolnym, lecz zdecydowanym zsunęła z siebie ubranie, które po części zakrywało ciało. Podeszła do niego. Dwoma palcami poradziła sobie z jego marynarką i... jego kutas uderzył z całej siły o spodnie. Moray przestraszył się, że pękną mu spodnie. Zbliżyła się jeszcze bardziej. Czuł jej gorący oddech.

— To był błąd! Źle zrobiłam, wchodząc do tego kina — szeptała Rose — Bardzo źle zrobiłam, ale... to i tak nie ma znaczenia. Wyciągnęła pasek z jego spodni i spojrzała na wyrzucenie.

— Źle zrobiłam wchodząc do tego kina, ale trudno! I tak kiedyś by się to wydarzyło! Chodź tu Moray! Pójdź za mną! Moray poszedł za nią, jak automat. Przyglądał się jej pięknym udom i długim nogom owiniętym czarną jedwabną pończochą, jej pośladkom wypełniającym czarny kombinezon.

Czuł, jak bardzo była podniecona, czuł zapach jej ciała'. Stanęli przy szafce nocnej. Rose zdjęła bransoletkę, kolie, kolczyki. Na samym końcu zegarek. Spojrzała na Moraya nieprzytomnym wzrokiem.

— Jesteś złodziejem! Zwiąż mi ręce z tyłu na plecach! Moray przełknął ślinę. Wahał się. Gapił się na jej duże piersi wypychające górną część kombinezonu. W końcu poczynił krok do przodu, by odebrać od niej swój własny pasek, który nadal mu podawała.

— Chcę, żebyś mnie związał, żebyś zabrał moją biżuterię i żebyś mnie zgwałcił! Ale chcę, żebyś to zrobił na poważnie, Moray! Nie chcę, żebyś udawał. I tak masz na to ochotę, widać to po twoich spodniach! Zawsze miałeś ochotę, a ja zrozumiałam to od pierwszego dnia! Myślisz, że jestem głupia i ślepa? Nie traćmy czasu! Zwiąż mnie! Odwróciła się do niego plecami, krzyżując ręce na plecach. Morayowi drżały ręce, ale cała jego żądza parła go nieodwracalnie ku jej prośbom. Związał ją paskiem od spodni. Gdy skończył nie potrafił powstrzymać się od wbicia jej pomiędzy pośladki kutasa, który nadal był uwięziony w spodniach.

- Rzuć mnie na łóżko! Zgwałć mnie! Tak, jak ten złodziej! Chcę, żebyś mnie skrzywdził!  
— krzyczała.

— Nie, pani Rose! — wybuchnął nagle Moray — Oszaleję przez ciebie! Zrobię ci to, co ja będę chciał! Ściągnął pośpiesznie spodnie, chwycił Rose i rzucił na łóżko. Położył się na niej, szukał jej ust. To ich pragnął, a nie gwałtu! Ssał jej gorące usta,

lizął, gryzł, starał się włożyć język do ust. Rose opierała się, broniła przed Morayem, który napierał coraz mocniej, wpychał fiuta pomiędzy jej uda.

— Nie chcę! Puść mnie! Nie! Nie chcę! — krzyczała. Moray nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Przytrzymał ją za głowę. Jego usta przywarły do jej ust.

— Kazesz mnie później powiesić, ale ja i tak cię wezmę! Chcę cię! Pragnę cię! Wybuchnę, jeśli cię nie będę miał! Zerwał z niej górną część kostiumu. Wyskoczyły nabrzmiałe piersi, okrągłe, duże, o sterczących brodawkach. Moray rzucił się je całować, macał je nachalnie. Jego kolana walczyły o więcej miejsca pomiędzy udami. Nie poddawała się nadal. Moray wbił rękę pomiędzy uda, szukał dostępu pomiędzy jedwabną bielizną a pasem do pończoch. Czuł gęsty las włosów wypychający majteczki. Nie wytrzymał. Drąc zerwał je, ściągnął siłą pończochy. Wbił rękę w cipę z tak wielką siłą, że Rose westchnęła i krzyknęła cichutko z bólu. Wygięła się w łuk. Krzyknęła:

— Neeee!

— Ja chcę! Ja! — wył Moray. Tak chciał ją posiąść, twarz w twarz patrzeć, jak podniecenie wykręca jej grymas na twarzy, jak jego ręce zniewalają piersi, kutas torujący sobie drogę pomiędzy udami.

- Chcę cię! Nawet, gdybym później miał umrzeć! Moja piękna pani...

— Nie! Puść mnie! broniła się krzycząc. Zatykał jej buzię językiem. Czasem Rose odpowia-



dała językiem, ale w chwilę później odwracała głowę. Moray musiał trzymać ją za włosy, by zechciała nie uciekać. Wówczas gryzł jej piersi, ssał je. Tak właśnie chciał ją posiąść, nie chciał niczego tracić z piękna jej twarzy, jej grymasów, jej piersi, jej miękkiego ciała, równie miękkiego, jak jedwab pokrywający jej uda. Pragnął wylizać to całe piękne ciało, mimo iż czuł, jak orgazm zbliża się galopem. Nie miało to większego znaczenia. Wiedział, że jeśli nawet się spuści, to i tak na tym się nie skończy, że Rose Dawley będzie jego, że chociaż raz będzie jego. Zerwał z niej w końcu również dolną część kombinezonu. Rose wzdychała, krzyczała, że nie chce, wierciła się, usiłowała uciec, ale ręce miała związane za plecami. Moray był coraz bardziej podniecony, momentami działał, jak szalony. Lizał jej brzuch, język wdarł się do pępka, lizał i ssał go, ustami chciał wessać jej przyrodzenie. Rose krzyczała. Moray poczuł, że ciało Rose drży. Wierciła się w jego rękach. Krzyczała. Kłęła go. Błagała o litość... a w końcu osiągnęła orgazm na długo przed nim, wyjąc, krzycząc, płacząc. Moray ssał łąpczywie jej cipkę, mocno zaciskając pośladki i uda... Ale również Moray dotarł do końca swoich potyczek. Wystrzał za wystrzałem, białe i kremowe mieniące się w świetle paski leciały w powietrzu trafiając na ciało Rose, na pościel, na dywan... Wył i darł się... Moray podniósł się na rękach. Spojrzał na Rose. Leżała u jego stóp, zwyciężona przez przyjemność i męską siłę. Schylił się. Lizał jej usta, piersi, głaskał włosy, pocałował jej oczy i nos. Zdobyła się na to, by powiedzieć:

— Och, nie! Co mi robisz... Nie chcę! Przestań! Puść mnie!

— Nie, pani Rose! Nie mam najmniejszego zamiaru! Teraz należysz do mnie... Będę cię lizał... Chcę cię dotknąć wszędzie i wszędzie cię wylizać! Będziesz moja! Chcę, żebyś miała orgazmy, pani Rose! Potem będziesz mnie mogła zabić, zastrzelić, jak wolisz! Przysięgam! Jeśli będziesz chciała, dam się nawet zabić! Jak opętany, Moray lizał jej ciało, językiem docierał wszędzie. Zmusił ją w końcu, by rozkraczyła nogi. Powoli, gapiąc się na to, co zaraz robi. Jego penis wdzierał się w gęsty czarny las włosów, otwierał sobie drogę w jej przyrodzeniu, jej cipka uformowała wąską obręcz dookoła jego kutasa. Z westchnieniem na ustach wbił się w nią do końca, położył się na niej, jego twarz przylegała do jej twarzy, jego ręce trzymały ją silnie tak, jakby pragnął podkreślić jego władzę nad ciałem, które przebił własnym fiutem. Ruszał się wolniuteńko. Krzyknęła, przygryzła usta, wygięła ciało do tyłu. Zawyla z przyjemności i natychmiast przypomniała sobie:

— Nie! Nie chcę cię!

A właśnie, że będziesz chciała! Ruchał ją coraz silniej, coraz głębiej, coraz szybciej. Spuścił się w niej bez słowa, ale nawet nie zwolnił. Od zbyt dawna jej pragnął, od zbyt dawna śnił o tej chwili. Patrzył na nią. Zaraz zbliżą się do drugiego zrywu. — Tak! Zrób to! Chcę, żebyś to zrobiła! Doprowadzasz mnie do szału!

-- Nie dam rady... Nie wytrzymam... Zostaw mnie.... RUCHAJ mnie, Moray! RUCHAJ mnie!!!

Nareszcie! W końcu przyszło zezwolenie i aprobata. Dosyć z tym udawaniem, dosyć z tym śmiesznym scenariuszem. Wydusiła to z siebie: RUCHAJ mnie, Moray! Dopiero, co się spuścił i chciał zrobić to raz jeszcze tak, jak ona, żadnych sztuczek, żadnych dewiacji, po prostu cipa i fiut, to było to i nic ponadto!

— Tak, kochana pani Rose! Będę cię ruchał! Słodka pani Rose, która mnie doprowadzasz do szału! Czujesz, jak cię rucham?! Dam ci tego, ile tylko zechcesz! I umrę przez ciebie, żadna kobieta tak mi nie dogodziła! Wbijał się i wychodził na zewnątrz. Krzyczała, wyła, narzekała, wyginała się, by dostać maksymalnie dużo penisa, usiłowała uwolnić rękę, by ścisnąć to piękne muskularne ciało, które ją posiadało. Moray zauważył to, zatrzymał się, by zdjąć kłępujące więzy.

— Tak, Moray! Zrób to! Błagam cię! Dalej! — przytuliła się do niego.

— Ty też, pani Rose! Ty też mnie doprowadzasz do szału! Proszę spuśćmy się razem! — krzyknął Moray. Rose wbiła z całą siłą paznokcie w plecy Moraya, podarła koszulę, ale on nawet tego nie zauważył. On wiedział, że po prostu będzie to najwspanialszy orgazm, jaki przeżył, a gdy już się to stało, czuł tylko, jak paznokcie Rose drą jego skórę na paski....

## Rozdział czternasty

Zima nadeszła niespodziewanie w połowie października. Rzeka w swoim górnym biegu tam, gdzie były zatoki pokryła się kruchą warstwą lodu. Rankami drzewa świeciły brylancikami z lodu. Ludzie wydychali białe obłoki pary. W garażach odkurzono śnieżne skutery. Robert zabezpieczył starego Grummana przed atakiem zimowej zawiei. Oczekiwano teraz grubszej warstwy lodu, by móc używać Pipera, ten bowiem był wyposażony w płozy i umożliwiał lądowanie na śniegu i lodzie. W domu kominki płonęły dniami i nocami. Życie w domu Dawleyów płynęło dalej spokojnym rytmem. Moray zawiesił w szafie strój kamerdynera. Chodził nadal elegancko ubrany i pozostawał grzecznym sługą. Jego wizyty w fabryce nasiliły się ostatnimi czasy i jego handlowa natura wzięła szybko górę, zwłaszcza w kontaktach z Indianami z rezerwatu. Morayowi udało się zbić ceny na miejskich dostawach żywności, a oszczędności pozwoliły mu podwyższyć ceny na dostarczane przez Indian wyroby ze skóry i inne charakterystyczne przedmioty ludowe: koce, mokasyny, ubrania szyte ze skór. Rezultat był taki, że dostawcy ze

Stanton i z The Pines poszli na skargę do Paula Dawleya twierdząc, że Moray szantażuje ich tym, że zwróci się do kogoś innego, jeśli nie obniżą cen za dostawy do domu.

— Szkoda, że ich nie słyszeliście — śmiał się któregoś dnia Paul w trakcie kolacji z Rose, Robertem i Morayem — Nazwałem ich oszustami, ich i tego starego Billingsa, z którym mieli dziwne konszachty. Innym rezultatem było to, że Indianie widząc, iż są dobrze traktowani zaczęli przynosić prawdziwe wyroby szyte ręcznie, a nie jak do tej pory maszynowo w Forcie Berthold. Rozeszła się wieść i Moray mógł podnieść dwukrotnie cenę dla kupców, którzy specjalnie przyjeżdżali tutaj aż z Nowego Jorku, by kupić indiańskie wyroby. Wytwórcy z rezerwatu tylko na tym zarabiali, więc podniesiono produkcję. Ponadto Moray kategorycznie sprzeciwiał się płaceni whisky lub ginem — a to oznaczało wdzięczność wodza Indian, Czarnego Orła, który wysyłał mu dary i zaprosił na indiańskie święto. W tym samym czasie Moray nabierał doświadczenia w fabryce i... żył sobie wygodnie w wielkim domu z kamieni. Już w trakcie lotu Grummanem, którym wracał owego słynnego popołudnia z Bismarck, Rose Dawley jasno powiedziała swojemu młodemu kochankowi:

— Dzisiaj zrobiliśmy tak, jak ty chciałeś. Następnym razem zrobimy tak, jak ja tego będę chciała. Zgoda? Moray nie mógł postąpić inaczej, jak tylko przyjąć tę kuszącą propozycję. W kilka dni później otrzymał wytłumaczenie dziwnych obyczajów sek-

sualnych Rose Dawley: pokazała mu teczkę pełną czasopism i pornograficznych broszur. Wszystkie dotyczyły gwałtów.

— Czytałam je, bardzo mnie podniecały. Zostawiły we mnie swój ślad, a ty jesteś jedyną osobą, która wie o tym. Paul niczego się nie domyśla, ale... z nim rzadko osiągam orgazm. Jest zbyt słodki, zbyt zakochany... Moray i Rose osiągnęli kompromis: raz jego sposobem, dwa razy na jej sposób. Moray wchodził wówczas z maską na twarzy do pokoju, w którym odpoczywała, mając na sobie wyłącznie bieliznę osobistą. Udawał, że kradnie biżuterię, a gdy ona budziła się on używając noża groził jej, wiązał i pakował kawałek szmaty do ust (film, który obejrzeli w Bismark wyjątkowo zapadł jej w pamięć i nigdy nie nudziła się scenariuszem). Na zakończenie bił ją po pośladkach, aż do czerwoności. Następnie pakował fiuta prosto do odbytu i dla niej była to prawdziwa męka. Bez niej jednak nie potrafiła osiągnąć prawdziwej przyjemności, gdy kochał się z nią normalnie.... Robert nadal pracował w fabryce, myślał i pisał do Ul, a ona odpisywała mu na bieżąco. Na każdy weekend przyjeżdżali Joan i Frank, coraz szczęśliwsi i coraz bardziej uśmiechnięci. Sklep Franka prosperował. Moray dostarczał niezwykle cennych rękodzieł indiańskich, jak stare fajki, uprzęż i siodła do jazdy na kucykach, pióra i inne interesujące przedmioty. Jeśli chodzi o Susan, to nadal dzwoniła do matki i pisała do Roberta z ewidentną chęcią pozyskania wiadomości o Morayu. Zima zrobiła się ostrzejsza,

lasy iglaste pokryły się śniegiem, niektóre jej fragmenty całkowicie zamarły. Indianie z rezerwatu często przyjeżdżali do The Pines, by handlować z Turkusowymi Oczami (tak nazywali Moraya). W domu paliły się kominki, w każdym pokoju było ciepło i przytulnie. Od czasu do czasu przyjeżdżali goście: kupcy z Nowego Jorku, rodzina Wade pragnąca, by Lii poślubiła Roberta, czasem zjawiali się kupcy futer z Kanady, kupcy mebli z Dawley z Kanady, z Los Angeles, z Chicago. Przyjmowano wszystkich. Marius przechodził siebie, Moray dwoił się i troił, by zadowolić swoich gospodarzy. Paul Dawley coraz częściej marudził, że tracą mnóstwo pieniędzy nie mogąc w pełni wykorzystać umiejętności Moraya w fabryce. W takich chwilach Robert uśmiechał się tajemniczo i prosił ojca o zachowanie cierpliwości twierdząc, że Moray zgodzi się, gdy przyjdzie na to czas. Rose jedynie uśmiechała się słodko, odmawiając wtrącania się. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem Molly zaszła w ciążę z Ralphem. Dziewczyna trzymała to w tajemnicy, aż do chwili, gdy postanowiła porozmawiać o tym z Morayem. Moray poszedł porozmawiać z Ralphem. Ten zareagował bardzo twardo: nigdy, ale to nigdy nie ożeni się z taką dziwką, jak Molly.

— Jeżeli tak myślisz, to postaram się, byś jadł bożonarodzeniowego indyka w innym domu! Ralph wymierzył Morayowi cios, ale Moray był szybszy. Powalił go i obiecał, że jeśli jeszcze raz spróbuje, to go zmasakruje. Tego samego wieczoru Molly wyjawiała swój stan pani Rose, a Ralph

poprosił o spotkanie z panem Paulem, by dowiedzieć się, jaka będzie jego sytuacja w przypadku ślubu z Molly. Zgodnie z radą żony Paul odpowiedział, że przydzielili im dwupokojowy apartament na drugim piętrze, ten sam, w którym kiedyś mieszkał Billings i że dokona zapisu na rzecz dzidziusia.

— Słodkie Boże Narodzenie — śmiał się tego wieczora Robert komentując wydarzenia przy szklaneczce whisky — Święte i białe Boże Narodzenie. Wszystko jest miłością, wszystko zamienia się w dźwięk dzwonek i sań sunących po białym śniegu. Przyjedzie Lii, przyjedzie Joan i Frank, którego odzyskaliśmy cudem, przyjedzie Susan i wszyscy otrzymają swój prezent, który odnajdą pod wielką choinką. Jakie prezenty wybrał w tym roku Święty Mikołaj, alias mamuśka, alias Rose Dawley? Wydaje mi się, że wróciłem w dziecinne lata...

— Dowiem się o tym jutro po południu, ale będę się wystrzegał, by tobie tego nie mówić. No nic, teraz pożegnaj się, a ty lepiej przestań pić, inaczej zaczniesz śnić, że Lii poślubi wodza czarnego Orła, a nie Roberta Dawleya... (Brakowało pięciu dni do świąt. Naokoło domu otoczenie zamieniło się w lodowy świat. Nawet wielka rzeka była martwa, wielkie bele drewna stały zakute w lodowej pokrywie. Robert ogrzewał silnik Pipera, naokoło niego sypał śnieg. Obiecał Lii, że poleci po nią do Bismarck, nie było jednak innych środków komunikacji. Pługi śnieżne nie były w stanie nadażyć



z odśnieżaniem dróg, śnieg pokrywał wszystko coraz większą pokrywą mimo ton soli i wielkich pługów śnieżnych. Robert i Moray pożegnali się, później blondynek wsiadł do kabiny samolotu. Piper popłynął na śniegu, nabrał prędkości, oderwał się od białej ziemi. Moray wrócił do domu i wszedł do apartamentu pani Rose. Nim zapukał do drzwi, jego fiut był twardy, jak stal. Zdarzało się to za każdym razem, tak bardzo podniecała go perspektywa spotkań z panią Rose... Rose siedziała przy kominku w salonie. Okno pokryte było parą, za oknem świat tonął w szarości nie pozwalając spojrzeć ku niebieskiemu niebu. Moray patrzył, jak Rose pali czasopisma i książki. Przewracała odruchowo kartki, wrzucała je do kominka...

— Dosyć tego... — westchnęła Rose tuląc się do Moraya — Dosyć z tymi obrazami sztucznie podniecającymi, dość z moimi sprośnymi myślami i... dosyć również z tobą Moray. Nawet nie wiesz, jak wiele mnie to kosztuje. Oznacza to dla mnie zamknięcie się w mojej wieży starości, to tak, jak zrezygnować z integralnej części mojego życia, ale... Ale myślę, że czas to zrobić. Słuszne jest to zrobić, trzeba to zrobić... Moray osłupiał. Gapił się bez sensu na płomienie pochłaniające książki, całe strony naraz zamieniające się w popiół...

— Nie!... — krzyknął w końcu — Co to ma znaczyć? A ja, pani Rose? Ja nie mogę z ciebie zrezygnować!

— Będziesz musiał, a dla ciebie rezygnacja nie będzie taka trudna i taka ciężka...

Przyzwyczaisz się

— uśmiechnęła się — Za kilka dni mój dom przyjmie Joan i Franka, przyjadą również Robert i Lii, moja przyszła synowa. Mogłabym zostać babcią już za rok. Przyjedzie również Susan, moja mała Susan.... bardzo mi jej brakuje, tego małego szatana... Nie, Moray, zdecydowałam się! Przechodzę do roli starszej pani, słodkiej i mądrej żony, muszę być gotowa, by zostać babką...

— Pani Rose, z żadną kobietą nigdy nie było mi tak dobrze! Z żadną kobietą!

— Zapamiętam to na zawsze, Moray! — westchnęła Rose Dawley. — Pomogłeś mi w tym, by zostać kobietą i... to normalną kobietą. W końcu przyznałam wyższość twojej metody nad moją, ale teraz muszę wrócić do mojej roli. Kocham Paula, obawiam się, że pomyliłam się co do niego. Zwłaszcza w ostatnich latach. Ty dałeś mi młodość i siłę, ale on kochał mnie przez całe życie i chcę mu to wynagrodzić!

Moray nie był zadowolony — Zawsze cię szanowałem i ty o tym wiesz. Zrobię to również teraz mimo, że kosztuje mnie to bardzo wiele i chcę, żebyś o tym wiedziała! — chciał odejść, ale Rose powstrzymała go.

— Moray! Nie rozstaniemy się w ten sposób! Jest jedna rzecz, której nigdy nie robiliśmy i teraz ją zrobimy! Chodź tu Moray, podejdź bliżej i nie udawaj, że ci nie stoi! Zauważyłam to, jak tylko wszedłeś do pokoju!

— Co chcesz zrobić, Pani Rose? — spytał Moray.

— Dobra, dobra. Wiesz bardzo dobrze, co chcę zrobić. Chcę ci go possać, Moray, chcę połknąć twoje nasienie i zapamiętać jego smak. Chcę się tego nauczyć również po to, by móc dogodzić Paulowi i... jednym słowem, chodź tu, Moray! Nie czekał, by powtórzono to dwa razy. Stał przed nią, ona siedziała w fotelu. Rose przytuliła policzek do wybruszenia w spodniach Moraya, zacisnęła ręce na jego udach.

— To ostatni raz Moray, mówię poważnie! — rozpięła rozporek. Jego fiut wyskoczył twardy i nabrzmiały, wolny i łaknący pocałunków i pieszczot. Pocałowała go, polizała żołądź, wahając się wsadziła go sobie do ust, po czym cofnęła się.

— Moray, tak naprawdę to nigdy tego nie robiłam... nie potrafię tego robić...

— Jesteś najbardziej głupiutką kobietką, jaką w życiu widziałem, pani Rose! — zaprotestował Moray — Najbardziej głupią i najbardziej podniecającą! Całuj go i ssij, jeśli chcesz, ale mogę cię zapewnić, iż wystarczy bliskość twoich ust, by wystrzelił! Nie wierzysz mi? Weź go do ust... Jej czarne oczy śledziły każdy jego ruch podczas, gdy usta zaciskały się na fiucie.

\_ Patrz, co się teraz stanie, pani Rose! — krzyknął Moray. Zdażyła spojrzeć na czerwoną główkę i zrozumiała. Ledwo zdażyła otworzyć usta, długie białe wystrzały trafiły prosto do gardła i zalały jej usta. Gdy Moray opróżnił się, pocałowała i polizała penisa, spróbowała, jak smakuje. Fiut nadal pozostawał twardy.

— Aaach! Pani Rose! Jeśli ma to być nasz ostatni raz, to proszę, chcę umrzeć w ten sposób! Chcę umrzeć! Tak mi się to podoba! Ooooch!! Chwycił ją za głowę, ona ssła z pełnym oddaniem. Od razu zrozumiała, jak to się robi. Usta i język potrafiły zadbać o miłego gościa. Całowała, ssła i lizła tak, jakby robiła to od dawna. Moray krzycząc spuścił się raz jeszcze.

— Ssij! Wypij wszystko, słodka pani Rose!

Trzy dni do Bożego Narodzenia. Ostatni samolot, który wylądował w The Pines był to samolot Roberta z Lii na pokładzie. Nad całą Północną Dakotą szalały zamiecie śnieżne. Susan zadzwoniła z college'u uprzedzając rodzinę, że żadna taksówka śnieżna nie chciała jej przywieźć do domu za żadne skarby tego świata. Paul Dawley prosił ją, by absolutnie nie ruszała się z miejsca. Wieczorem przyjechał do The Pines psi zaprzęg prowadzony przez Szarego Wilka, syna Czarnego Orła, wodza Indian. Przywiózł ze sobą podarunki dla rodziny Dawleyów, uznawanej z dawien dawna za przyjaciół, a w szczególności dla Moraya — Turkusowych Oczu. Młodzi pogadali ze sobą krótką chwilę.

— Czterdzieści mil stąd do Stanton? To jest nic dla mnie i dla mojego zaprzęgu. Ja i ty wyjedziemy do Stanton, by wziąć Białego Kwiatuszka, małą córkę ojca Paula. Najpierw jeść dla moich husky's. Żadnej nędzy. Świeże mięso, dużo. Razem z mięsem mieszanek mąki kukurydzianej i krwi. Psy odpocząć do wieczora. Gdy noc, wyjedziemy. Jutro Stanton. Odpocząć. Dobrze jeść moje psy. Wrócić

do The Pines z Białym Kwiatuszkiem, szybko jak wiatr, szybko jak skrzydła ptaka, szybko jak błyskawica z nieba. Moray porozmawiał z Paulem i Rose. Wahali się. Porozmawiał z Robertem.

— Jedź z Szarym Wilkiem — zdecydował — To nie jest wariat. Znam go od dawna. Wrócisz z Susan. Ale... dlaczego to robisz, Moray? Susan nie oczekuje tego, pogodziła się już z tym, że święta spędzi w Stanton.

— Ja myślę, że nie. Sądzę, że oczekuje kogoś z nas. I myślę, że będzie najlepiej, jeśli pojedzie Moray.

— Dlaczego tak uważasz? — zapytał Paul Dawley.

— Dlatego, że nasza mała jest zakochana w Mo-rayu — interweniowała pani Rose — Czy sprawiłoby ci to przykrość, Paul?

— Nie! Wręcz przeciwnie! Skąd! Byłbym najszcześniejszym człowiekiem pod słońcem...

— przerwał, by spojrzeć na Moraya. Oczywiście, gdyby jej miłość była odwzajemniona! Co mi powiesz na ten temat, Moray?

— Na świętego Graala! Czy nie uważacie, że przyśpieszamy co nieco wypadki? Na razie interesuje mnie jedno: żeby Susan spędziła święta w domu. Zgoda? Wszyscy byli zgodni. Husk's najadły się do syta i odpoczęły do późnych godzin.

0 dziesiątej wieczorem w potwornej ciemności

1 okropnej zawiei, Szary Wilk i Turkusowe Oczy ruszyli.

Boże Narodzenie.

Pani Rose przygotowywała prezenty: miały pozostać niespodzianką do samego końca. Rose Dawley kończyła instruowanie Moraya. Młody Szkot miał twarz w kolorze terakoty, w niektórych miejscach schodziła mu skóra na skutek nadmiernej opalenizny.

— Jeśli skończyliśmy, chciałbym skorzystać z okazji i zejść na dół, by pożegnać się z Szarym Wilkiem.

— Oczywiście, zejdź, proszę. Pozdrów go ode mnie i powiedz, że oczekujemy go i Czarnego Orła, gdy tylko stopnieją śniegi. Moray spotkał Szarego Wilka koło sań. Plotkował z Susan. Przestali, gdy podszedł do nich Moray.

— Czy można wiedzieć, co wiesz? Co to za wielka paczka?

— Lodówki — odpowiedział Indianin. Moray popatrzył na niego wzrokiem niedowiarka.

— Lodówki? Powiedziałaś lodówki? O tej porze roku?

— Zapomniałaś o porze lodów? — śmiał się Szary Wilk — To podarunek Słodkiej Pani Rose. Wiozę do mojej rodziny. Zobaczymy się, gdy lód zrobi się woda, dobrze? Wskoczył na sanie i pogonił psy. Ruszyli, nabrali prędkości, po chwili zniknęli na białym tle otaczającego ich świata. Susan przestała machać ręką i włożyła ją do kieszeni kożucha. Była czarna od słońca.

— Skończyłaś z prezentami? Co przygotowała dla mnie?

— Nie mogę ci tego powiedzieć, wiesz o tym dobrze — odpowiedział Moray, gdy szli w kierunku domu. Ich nogi tonęły w śniegu.

- Tym gorzej dla ciebie — odburknęła Susan.
- Co to ma niby znaczyć?
- Pomyślałam o specyficznym prezencie dla ciebie — wytłumaczyła Ale... jeśli go nie chcesz...
- O co chodzi? zapytał udając nieświadomego.
- Och, nic ważnego. Myślałam, że napijemy się razem coca-coli, na przykład dzisiaj wieczorem po kolacji...
- I to wszystko?
- No, może nie do końca — uśmiechnęła się Susan, biorąc go pod ramię i przytulając się do niego — Myślałam, że wyciągnę ci fiuta i trochę się nim pobawię. Dowiedziałam się od moich koleżanek, jak trzeba to robić. No i jak? Co o tym sądzisz?
- Przestaniesz, Susan, czy nie? — zaprotestował Moray, ale był zaniepokojony propozycją. Weszli do domu. W holu, który przypominał szkockie zamki, lśniły dwie broje. Było to dzieło Ralpa, który poświęcił na to dwa dni pracy.
- Wejdziemy do mojego pokoju, chcesz? — pytała Susan patrząc na Moraya niewiarygodnie pięknymi oczyma — Będę musiała rozgrzać ręce nad kominkiem, zanim ci go wezmę do ręki, inaczej zamarznie...
- Nie bądź głuptasem, Susan!
- Głuptasem to ty możesz być! Zapomniałeś, że za dwa miesiące obchodzimy urodziny? Ja czternaste, a ty osiemnaste? Czy chcesz powiedzieć, że czternastoletnia dziewczyna nie może walić konia osiemnastolatki? Uważaj, głupi Morayu Brae-

mar Dunnottar z hrabstwa Moray! Uważaj na to, co mi odpowiesz, gdyż w Stanton jest cała banda chłopaków i mogłabym im walić konia, a ponadto mogłabym wziąć go do ust, jak robią to niektóre moje przyjaciółki i...

— Dość! — ryknął Moray. Jego ton wskazywał na potworny strach. Stał przed dziewczyną, która szyderczo się uśmiechała.

— A więc nie chcesz, bym robiła pewne rzeczy chłopcom ze Stanton? Wejdźmy wobec tego do mojego pokoju. Musisz mnie w końcu nauczyć, jak to się robi, a może nie? Weszli schodami na górę. Ona zerknęła na sporą nabrzmiałość w spodniach Moraya. Usiłowała wyobrazić sobie, jak wygląda mieszkaniec spodni i jakby poruszał się w jej środku i...

— Och, wystarczy! Masz, Susan! To twój prezent! Wszystkiego najlepszego z okazji świąt!